

Uśaskawiają
Billy'ego Kida

Sianokosy
Moździerza

Najlepsze kryminały
z Północy i Południa

60

52

Panie Prezydencie, przyjmij portret w prezencie!

10

PRZE KRÓJ

NR 32 / 98 / 10 SIERPNIA 2010 / CENA 4,95 ZŁ
www.przekroj.pl



ISSN 0033-4444
5892-1300

RETRO DAY SPA

2009



AL. UJAZDOWSKIE 18/11

Salon zaprasza na:

- ~ aromaterapeutyczne masaże relaksacyjne
- ~ masaże prawdziwą ciepłą czekoladą
- ~ odżywcze masaże płynnym miodem
- ~ rytualne masaże świecą
- ~ naturalne peelingi, rytuały
- ~ świecowanie uszu
- ~ grę zabiegów na twarz i ciało
- ~ zabiegi dla Dwojga



Zapraszamy do wykupienia zaproszenia do Salonu,
jako prezentu dla bliskiej osoby.



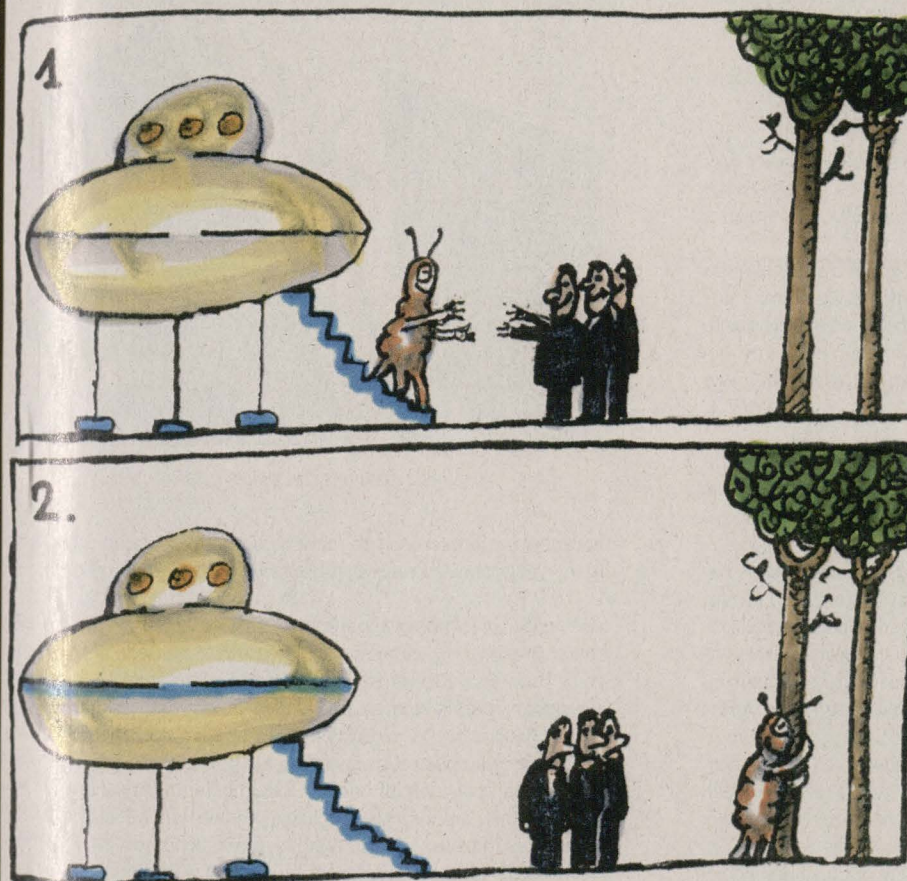
RETRO DAY SPA

Al. Ujazdowskie 18/11, 00-478 Warszawa
tel. 22 622 03 69, tel.kom. 0 509 947 477
biuro@retrodayspa.pl, www.retrodayspa.pl

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU ZWIEWNIE NIE PISZEMY...

...o Pewnym Polityku PO,
który po sukcesach na niwie
polityki ekshumacyjnej
postanowił ocieplić i domądrzyć
swoją wizerunek:
„wróciłem do Leśmiana
piszę o nim książkę”, „jestem
już pod koniec trzeciego tomu
mojego poezji”, „do Leśmiana
chodzę codziennie
między 7 a 8 rano,
siedzę dzieci i żona jeszcze
piją, na tarasie, w zieleni,
z widokiem na suwalskie
wzgórza”. Bo Leśmianowi
PPPO przecież nie zaszkodzi,
ale trochę nam nijak myśleć
o takim poecie w takim
towarzystwie.

...o pośle Sławomirze Nowaku,
którego mimo morderczej
elokuwencji bezpiecznie nie wybrano
na zastępcę czegoś tam w PO.
Bośmy oburzeni, że posłowie
Platformy nagle mogą sobie
samowolnie kogoś wybrać albo
i nie wybrać. A czekając na – oby
widowskie – wyciągnięcie
z nich konsekwencji,
proponujemy, by dynamiczny
trener-premier oddelegował
Nowaka pod warszawski
krzyż. Krzyżowców pewnie nie
przestraszy, krzyżowczyń nie
zbałamuci, ale niewykluczone,
że zanudzi pół Traktu
Królewskiego na śmierć.
Ku chwale Pomorszczyzny.

...o udurczonych paniach
i panach z Prawa
i Sprawiedliwości.
Bo nie kopiemy klęczących.
Choćby się o to najwymowniej
prosilili.

...o widmie zapateryzmu,
które krąży nad katolicką
Polską. Bo chętnie
przyjrzelibyśmy się mu z bliska,
lecz martwi nas niewymownie,
że polskie widmo zapateryzmu
nazywa się Napieralski, więc
wielebni mogą spać spokojnie
przez następne dziesięciolecie.

...ciągle o tym samym?

Marcin Sendecki

PRZE KROJ

6 | Świat według „Przekroju”
Katarzyny Janowskiej

KRAJ I ŚWIAT

- 8 | Krótko
- 10 | Prawdziwy obraz prezydenta
- 14 | Awantura o krzyż pokazała słabość
zarówno państwa, jak i Kościoła
- 16 | Europa nie chce Romów
- 18 | Billy Kid znów ma szansę
na ulaskawienie

SYLWETKA

- 22 | Robert Mazurek pyta Roberta
Górskiego, skąd u niego ten
patriotyzm
- 26 | Ryszard Nowak poluje na Dode
- 28 | Oliver Stone walczy z systemem
- 32 | Teczki osobowe i Olga Woźniak
zagląda w zęby Churchillowi

CYWILIZACJA

- 34 | Testosteron – latem szczególnie
aktywny
- 37 | Też pytanie!
- 38 | Amazonia odkrywa tajemnice
przed NASA
- 40 | Korzystaj – grilluj na zdrowie
- 42 | Podróże z „Przekrojem” – szlakiem
Millennium

KULTURA

- 44 | Sylwetka: Dlaczego Morrison został
bogiem?
- 49 | Film: „Zły porucznik”, ale straszny
„Projekt dziecko”
- 51 | Książki: Pomnik dla Majakowskiego
- 52 | Książki: Kryminalna wojna
- 56 | Muzyka: Niestraszny nam Wodecki
- 58 | Festiwal: Solidarity of Arts
- 60 | Lektura: Jacek Tomczuk rozmawia
z Leszkiem Możdżerem

OTWÓRZ OCZY

64 | Koniec corridy

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 6 | Listy
- 49 | Kroniki popkultury Orbitowskiego
- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką,
Obyczajówką Witkowskiego
i Lewoskrętnie Kurkiewicza
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Jerzego Pilcha
- 70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Dla PiS-u Komorowski nie jest już
wrogiem zaprzysięgłym.
Jest zaprzysiężonym.



Portret władzy Niebieskim kąpielówkom mówimy „stop” i fundujemy prezydentowi portret

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

KIEDYŚ WIZERUNEK WŁADCÓW KREOWALI ARTYŚCI. DZIŚ ZAMIAST WY-
smakowanych płócien na miarę Velásqueza mamy zdjęcia Bronisła-
wa Komorowskiego w niebieskich kąpielówkach.

Niebieskim kąpielówkom mówimy „stop” i fundujemy prezyden-
towi portret autorstwa Marcina Maciejowskiego.

BRONISŁAW KOMOROWSKI Z OBNAŻONYM TORSEM NA DZIAŁCE, NA ŁÓDCE,
przy grillu – zdjęcia prezydenta elekta obiegły brukową prasę, co ro-
dakom wcale nie przeszkadza. Bo on taki nasz, polski, pod wąsem,
lekkio zaokrąglony.

Krzyki i śmiechy rozległy się dopiero wtedy, gdy minister Sikorski
ogłosił, że chce – zresztą zgodnie ze światowymi standardami – po-
wiesić portrety prezydenta Komorowskiego w polskich ambasadach.
To już się nie spodobało. Bo czy to aby nie dowód na zbytnią pychę,
zarozumiałość, panoszenie się i Bóg wie co jeszcze? I pytanie jak zwy-
kle: kto i za ile miałby to zrobić?

TRADYCJA OZDABIANIA AMBASAD I URZĘDÓW PORTRETAMI AKTUALNIE
rządzących umarła w latach 70. Towarzysz Gierek wołał serwować
społeczeństwu pomarańcze i banany niż własne portrety. I trudno za-
przeczyć, że jakaś mądrość w tym była.

Po 1989 roku żadna głowa państwa nie pomyślała, żeby dać się na-
malować. Prezydent Jaruzelski zamienił mundur na garnitur i na tym
zakończył kreowanie wizerunku. Prezydent Wałęsa, choć słynie z te-
go, że każde zdanie potrafi zacząć od „ja”, o własny portret, który za-
wisłby w urzędach, nie zadbał. Prezydent Kwaśniewski, któremu umi-
łowania własnej osoby też odmówić nie można, tak długo nie mógł się
otrząsnąć po pierwszym zdobyciu pałacu i fali niechęci, którą prze-
ciwnicy próbowali go podtopić, że sportretować się, i to fotograficz-
nie, zgodził się dopiero pod koniec drugiej kadencji. Prezydent Lech
Kaczyński do salonowców dbających o własny wizerunek nie należał,
więc i pozowanie malarzowi nie przyszło mu pewnie do głowy.

A szkoda, bo dobry portrecista może przenieść polityka do historii
– jeśli nie politycznej, to z pewnością sztuki. XVII-wieczny król Hisz-
panii Filip IV istnieje dziś w powszechnej świadomości dzięki por-
tretowi Velásqueza. Ten nie dość, że dodał królowi dostojństwa,
to jeszcze sprytnie zamaskował wrodzone defekty modelu należą-
cego do z defektów słynącej linii habsburskiej. Jan III Sobieski wraca-
jący spod Wiednia na portrecie Marcella Bacciarellego, autora malar-
skiego pocztu królów polskich, jest silny, władczy i męski. Tymczasem
w rzeczywistości był tak gruby, że nie był w stanie sam dosiąść konia.
Król Staś na jednym z obrazów rzeczonego Włocha klęczy przed uczo-
nym. I wszystko jasne: król przedkłada wiedzę nad władzę. Dobry pę-
dzel może zdziwiać cuda. Wiedzą o tym wyspecjalizowani w kreowa-
niu wizerunku Amerykanie. Każdy prezydent USA obowiązkowo mu-
si dać się sportretować. Malarzskich atelier nie mogą ominąć brytyjskie



bez tytułu, olej na płótnie, 54x40 cm

koronowane głowy. A ich poddani tygodniami są w stanie dyskutować
o nowym portrecie królowej lub książąt Williama i Harry'ego.

UPRZEDZAJĄC NARODOWĄ DEBATĘ NA TEMAT, KTO MA PRAWO SPORTRE-
tować prezydenta, oddaliśmy sprawę w ręce naszego ulubionego ar-
tysty. Bronisław Komorowski na portrecie autorstwa Marcina Macie-
jowskiego opublikowanym na okładce „Przekroju” jest dostojny, a za-
razem swojski, wyposażony w narodowe znaki szczególne. Dzięki te-
mu to nie tylko portret prezydenta, ale portret polskiego everymana
godny ścian polskich ambasad. Obraz chcielibyśmy ofiarować panu
prezydentowi. I liczymy, że z tą akcją pójdzie nam tak dobrze jak z uli-
cą imienia Mariana Eilego. Władze miasta Krakowa pozytywnie od-
powiedziały na moją prośbę opublikowaną w jubileuszowym nume-
rze „Przekroju”, by jedną z ulic nazwać imieniem twórcy naszego ty-
godnika. Wprawdzie zamiast ulicy będzie skwer w okolicy krakow-
skich sądów, ale i tak się cieszymy.

– Maluję krótko i na temat – mówi Marcin Maciejowski, rocznik 1974.
Ma łatkę najbardziej polskiego z artystów średniego pokolenia. Jego
prace są często świadomą apoteozą swojskości. Malował idoli polskiej
masowej wyobraźni (upokorzonego Andrzeja Gołotę), bohaterów krajowych
tabloidów, dresiarzy, kiboli (słynnego Miśka, fana Wisły Kraków). Ale
też polityków czy obrazy ze scenami z II wojny światowej. Fascynują go
popkulturowe klisze „męskości” i „kobiecości”, ale swoimi obrazami dotyka
też narodowych świętości, obsesji, lęków i nadziei. Oswajał je publiczność
Nowego Jorku, Los Angeles, Wiednia czy Monachium. Od 2000 roku
związany z tygodnikiem „Przekrój”.

Kultura najwyższych lotów

An air of culture

Lotnisko Chopina

sponsorem wydarzeń muzycznych
w Roku Chopinowskim:

- Międzynarodowego Festiwalu
Muzycznego „Chopin i jego Europa”
- Międzynarodowego Konkursu
Pianistycznego im. Fryderyka Chopina.

Chopin Airport

is the sponsor of two music events
in the Chopin Year:

- The International Music Festival
‘Chopin and his Europe’
- The International Fryderyk Chopin
Piano Competition.

Lotnisko Chopina
Chopin Airport

Lotnisko Chopina w Warszawie Partnerem Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina.
Warsaw Chopin Airport is a Partner of The Fryderyk Chopin Institute.

PRZE-
KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile
ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ: Marek Zajac DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Kasper Skirgajlo-Krajewski SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Małgorzata Sadowska, Marcin Sendecki (zastępca szefa), Jacek Tomczak
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski KRAJ: kraj@przekroj.pl, Paweł Winczorek (redaktor), Agnieszka Fiedorowicz
Igor Ryciak, Anna Szulc, Donat Szylke; stałe współpracuje: Agata Janowska ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarokiewicz, Joanna Woźniczko-Czeczott, Łukasz Wójcik
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab, Olga Woźniak; stałe współpracują: Irena Cieślinska, Piotr Kossobudzki ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieczyński; stałe współpracują: Ola Salwa, Kalina
PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyr. art.), Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski, stałe współpracuje Agnieszka Kwiatkowska FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański;
PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

GREMI
GRUPA

WYDAWCA: GRZEGORZ HAJDAROWICZ, WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 55, FAKS 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Jan Godłowski DYREKTOR WYDAWNICTWA: Sławomir Mokrzycki DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW: Artur Rumianek PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16, 22 525 99 51 DYREKTOR DYSTRYBUCJI: Elżbieta Maciążek DRUK: RR Donnelley PRENUMERATA PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Allor Bank S.A. 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mail: prenumerata@przekroj.pl
Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystribucji tel. 22 525 99 69 PRENUMERATA PRZEZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

przekroj.pl

CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

Kościół pod pręgierzem

Artykuł „Watykan na ławie oskarżonych” piora Rafała Kostrzyńskiego („Przekrój” 30/2010) musiał wywołać emocje. I wywołał...

I pięknie. Dość milczenia. Pedofile w sutannach zasłaniający się Bogiem powinni ponieść zasłużoną karę, dokładnie taką jak każdy inny przestępca.

– ann 2010.08.03 12:47

Gdzie Luter dzisiejszych czasów? Nareszcie ktoś odważył się poruszyć górę! Brawo! Ukrywanie przestępstw pod osłoną sutann trwa już zbyt długo. Nie jestem wrogiem Kościoła, ale coraz częstsze doniesienia o kolejnych tego typu aferach zmuszają mnie do zastanowienia się – może potrzebna nam kolejna reformacja?

– Signum 2010.08.03 14:18

No a co potem? Jak już powalą Watykan. Umierać będą samotni i wykorzystani w dwójnasób. Bo na procesach zarobią tylko prawnicy.

– xyz 2010.08.04 14:23

Czuje, że coś się zaczyna zmieniać. Kościół katolicki nie lubi zmian, zmiany są złe. Rozwój jest zły. Żle, że ludzie myślą i się buntują. Można było przyznać się do błędu, ale wtedy Kościół przyszedłby się, że nie jest Strażnikiem Wartości, że jest tylko przedsiębiorstwem. Następuje dewaluacja

znaczenia Kościoła i bardzo mnie cieszy fakt, że będzie mi dane widzieć jego upadek.

– Barbi 2010.08.04 17:04

Winni. Ciekawa retoryka: Piszą, że w 2001 roku kolumbijski kardynał Dario Castrillón Hoyos podziękował w oficjalnym liście francuskiemu biskupowi Pierre'owi Picanowi za to, że tak długo ukrywał księdza molestującego dzieci. Chodziło o Renégo Bissey'a, który dostał 18 lat więzienia za gwałty na chłopcach. „Gratuluję ci, że nie wydałeś księdza cywilnym władzom. (...) Cieszę się, że mam w episkopacie kogoś, kto wołał pójść do więzienia, niż zadenuncjować swojego syna i kapłana” – pisał Hoyos. Kardynał do dziś jest z tego dumny. Chwalił się, iż gratulował biskupowi, że zachował się jak ojciec chroniący swoje dzieci i że list do Picana napisał po konsultacjach z Janem Pawłem II oraz kardynałem Josephem Ratzingerem, wtedy jeszcze przewodniczącym Kongregacji Nauki Wiary... Czyli mamy komplet: dwaj papieże umoczeni. Wiedzą, że ojciec powinien chronić swoje dzieci. I za to powinni dostać kary surowsze niż zwykli ludzie, bo są osobami, które lud obdarzył szczególnym zaufaniem.

– andy 2010.08.05 09:58

Szalik na krzyżu

Komentarz Agnieszki Graff „Szalik”, („Przekrój” 31/2010) napisany jeszcze przed słynną walką o krzyż na Krakowskim Przedmieściu, po tych wydarzeniach zyskał na znaczeniu. Oto wasze opinie:

Mnie już od tego wszystkiego w krzyżu strzyka!

Osobiście nie zaskakuje mnie działalność tej grupki bojówek zasilonej „komandosami” z RM. To na szczęście margines i folklor polityczno-pseudoreligijny... Jednak fanatyzm i szaleństwo wymalowane na twarzach tych ludzi są naprawdę przerażające (niektórzy wyglądali, jakby zażywali leki psychotropowe w dużych ilościach). Mam nadzieję, iż kiedyś będzie u nas jak w innych krajach Europy. Jednak dziś znów pokażą w świecie „prawdziwych Polaków” w akcji, a polski jokes odżyją... Proponuję, aby „prawdziwi Polacy” nie próżnowali i ustawili przed pałacem jakieś 2010 krzyży – zgodnie z datą roczną. Dziwię się jedynie, że nie można rozegnać grupki fanatyków – w innych krajach nie patyczkowano by się z nimi. Dziwny jest również chocholi taniec kolejnych ekip rządowych z Kościołem w Polsce – instytucją bezkarną, nietykalną, z którą wszyscy obchodzą się jak ze „śmierdzącym jajem” – nawet



lewica! Trzeba jednak przyznać, że tym razem również księża nie byli w stanie utrzymać w ryzach swoich „owieczek”. Owieczki mało ich nie zagryzły... Doprawdy widzę w naszym kraju ważniejsze problemy niż stawianie lub usuwanie krzyży.

– Fox Mulder 2010.08.04 14:04

Dziękuję za ten tekst. Po prostu Dziękuję, ot... tak jak na;-) trzydziestokilkuletniego Polaka Przysłało;-) Cały mój Torysizm Polski kłania się Pani;-) Bo jakby nie było, moim Godłem Jest Orzeł!!! Nie Gęś!!! ani struś... Arkadiusz R. Skowron (błazen nie tylko od święta;-)

– ArS Chmurnoryjny 2010.08.04 14:29

Bardzo się autorka przestraszyła Polaków. To próbuje leczyć się groteską. Tolerancja woła i woła, a „dziennikarki” swoje.

– JW 2010.08.04 16:07

Żydz na okładce

A oto jak komentowaliście naszą ostatnią okładkę na Facebooku:

Podoba mi się obniżenie winiety tytułowej i wrzucenie od góry zajawek, jeśli mogą się podzielić jakąś skromną swoją uwagą.)

– Natalia Urbaniak

Okładka jest mega!

– De Jot

Bardzo fajna ilustracja.)

– Natalia Gruszecka

Ilustracją dla tego tytułu trafiłście w dziesiątkę! Żydz sami nie wiedzą, a tak naprawdę dążą do powtórzenia historii, którą znają z autopsji.

– Milena Jankowska

0 VAT za dużo

Z przykrością przeczytałem w najnowszym numerze artykuł „Procent rodu złotych” pana Igora Ryciaka. Z przykrością, bo poraziła mnie niewiedza autora na temat zasad naliczania podatku VAT. Jeżeli ktoś nie ma pojęcia o jakimś temacie, to nie powinien pisać artykułów w danym zakresie albo przynajmniej ktoś kompetentny powinien przed publikacją sprawdzić merytorycznie treść artykułu napisanego przez laika. Od kilku miesięcy z przyjemnością czytałem „Przekrój”, gdyż była to odskocznia od szampowych i pełnych błędów merytorycznych artykułów „Wprost”

i „Newsweeka”. Niestety, ww. artykuł zaburzył moją wiarę w kompetencję autorów piszących w „Przekroju”. Szkoda... Z poważaniem

Jacek Goszczycki
Warszawa

Od redakcji: Ubolewamy, bijemy się w piersi, nie mamy nic na swoje usprawiedliwienie. Tak, popełniliśmy błąd. Ale teraz już do końca życia będziemy pamiętać: nie nalicza się VAT-u od VAT-u.

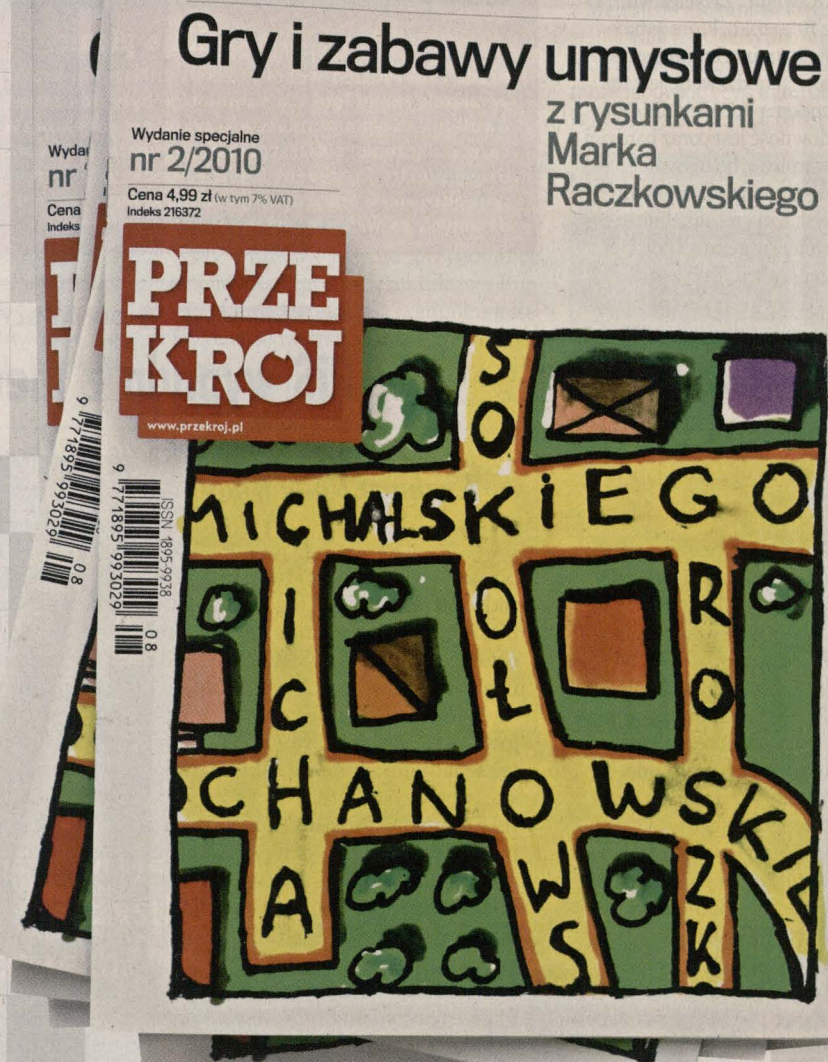
Zapraszamy na stronę tygodnika, którą znajdziecie pod adresem www.przekroj.pl.

Szukajcie nas w portalu społecznościowym Facebook, wpisując do wbudowanej wari wyszukiwarki po prostu „Przekrój”.

Znajdziesz nas też na <http://www.myspace.com/przekroj>

Już w sprzedaży!

KRZYŻÓWKI PRZEKROJU



Zbiór najciekawszych krzyżówek „Przekroju”
z rysunkowym komentarzem
Marka Raczkowskiego!

KRÓTKO

Niekoszerne burki

Muzułmańska obsesja żydówek

PO INTERWENCJI ZANIE-pokojonych mężów aszkenazyjski rabinat z Jerozolimy zakazuje żydówkom noszenia się „po muzułmańsku”. Inicjatorzy zakazu z miasta Bet Szemesz z przerażeniem opowiadają, że ich kobiety nie tylko zakładają kilka warstw ubrania, przez co wyglądają jak „worki na ziemniaki”, ale też zakrywają całą twarz – ze skromności. Taki styl zapoczątkowało dwa lata temu kilka konserwatywnych kobiet. Dziś w Bet Szemesz mieszka ich około setki. Gdy w lutym miejscowy rabin zwrócił uwagę, że ich strój jest niezgodny z żydowską tradycją, kobiety wyzwały go od liberalistów. – *luc*



Osiemnaście

Czyli jak pobiliśmy Roskich

W 90. ROCZNICĘ BITWY warszawskiej Muzeum Historii Polski otwiera

w tymczasowej siedzibie przy placu Defilad wystawę „Osiemnaście” – według historyka D’Abernona to starcie było „18. decydującą bitwą w historii świata”. Zwycięstwo z 1920 roku, które zatrzymało marsz komunistów na Zachód, zwane jest też cudem nad Wisłą. Ta cudowność jest coraz bardziej wątpliwa, bo ujawnione niedawno dokumenty wskazują na zupełnie racjonalny geniusz polskiej generacji. Taki jest też cel wystawy – przekonać Polaków, że wygrali tę bitwę bez anielskiej pomocy. – *luc*

Ucieczka z wyspy

Bezrobocie wypycha imigrantów z Irlandii

ZIELONA WYSPA – JESZCZE niedawno przedstawiana przez polityków jako wzór dla Polski – wciąż nie może się otrząsnąć z kryzysu ekonomicznego. Według Eurostatu Irlandia ma najwyższy w Europie poziom emigracji, dwukrotnie wyższy niż druga na liście Litwa. Jeśli trend się utrzyma, to w ciągu roku z Irlandii wyjedzie 120 tysięcy osób. Główny powód exodusu to oczywiście bezrobocie, które właśnie osiągnęło 13,7 procent, a więc poziom nienotowany od 16 lat. Prawie jedną piątą osób bez pracy stanowią imigranci. – *raf*

Co mówią liczby

295 tysięcy litrów cytrynówki z lubelskiego Polmosu wypili Polacy w lipcu tego roku (dane za AC Nielsen). Cytrynówka to prawdziwy hit gorzelniarni. Trunek zadebiutował jesienią, a już zajmuje drugie miejsce w rankingu najchętniej kupowanych wódek w kraju, zaraz za żółą krowką. – *iggy*



Rosja płonie

Przez cały tydzień wokół Moskwy i Riazania szalało prawie 600 pożarów. W piątek zamknięte dla samolotów były oba stołeczne lotniska. Poziom dwutlenku węgla w mieście trzykrotnie przekroczył już dopuszczalny limit, co w połączeniu z 40-stopniowym upałem zgotowało moskwićanom prawdziwe piekło. Prezydent Dmitrij Miedwiediew przerwał wakacje i jeszcze w drodze na Kreml zdymisjonował kilku wysokich rangą oficerów odpowiedzialnych za walkę z pożarami. – *luc*

PO-UKŁADANKI DONAT SZYLLER

PiS wypada z mediów

PO przy współudziale SLD odpartyniła Krajową Radę Radiofonii i Telewizji z jednej partii – Prawa i Sprawiedliwości

DO NOWEGO SKŁADU RADY NIE WSZEDŁ żaden przedstawiciel tego ugrupowania. W środę 4 sierpnia Sejm wybrał ostatnich członków KRRiT – Witolda Grabosia i Sławomira Rogowskiego.

Pierwszy z nich zasiadał już w Krajowej Radzie w latach 1995–2001. Był też senatorem z ramienia SLD. Rogowski, scenarzysta, producent i były dyrektor Agencji Filmowej TVP, również był kandydatem Lewicy. – Szukajcie, a znajdziecie. Szukaliśmy więc najlepszych. Udało się – pokusił się o biblijną refleksję wicemarszałek Sejmu Jerzy Wenderlich z SLD.

W KRRiT zasiadają też wyznaczeni przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzysztof Luft i Jan Dworak oraz wskazany przez Senat profesor Stefan Pastuszka (kandydat PSL).

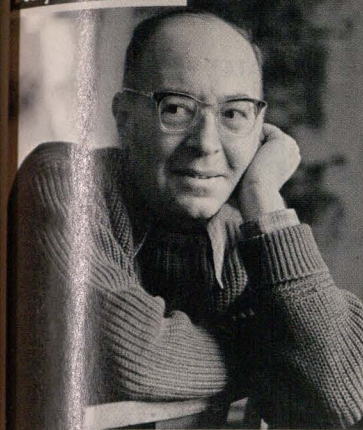
Sejm przyjął także nowelizację ustawy medialnej autorstwa Platformy, która pozwala między innymi wymienić władze mediów publicznych. Ich kadencja upłynie z dniem wejścia w życie nowego prawa. Wicemarszałek Sejmu Stefan Niesiołowski z PO zapewnia, że nowelizacja pozwoli „oddać media publiczne społeczeństwu”.

Jak ustalił „Przekrój”, społeczeństwo już wstępnie podzieliło się antenami TVP. W telewizyjnej Jedynce ludzie z PO mają zastąpić tych z PiS. W Dwójce rządzonej przez ludzi Lewicy ma się obyć bez większych zmian. TVP Info podzielią między siebie Platforma Obywatelska i SLD, a ośrodki regionalne przypadną PSL.

Rozmów z kandydatami na prezesa telewizji publicznej jeszcze nie było, ale jak zdradza nam jeden z polityków Sojuszu, pod uwagę brane są między innymi kandydatury Tomasza Liśsa, od niedawna redaktora naczelnego tygodnika „Wprost”, Macieja Grzywaczewskiego, byłego szefa telewizyjnej Jedynki za prezesury Jana Dworaka, i naczelnego nieistniejącego już „Życia” Tomasza Wołka.

I tylko PiS nie uznało podniosłości odpolitycznienia. Ustami Jana Dziedziczaka mówiło w Sejmie o „partyjnym skoku na media publiczne”. – PO i SLD mają koalicję – ogłosił Dziedziczak. Nie wspominał o trwającym do tej pory porozumieniu PiS z Sojuszem we władzach telewizji publicznej i Polskiego Radia.

Pomyśleli i nazwali



REDAKTOR EILE UPAMIĘTNIONY

BEZIMIENNY DOTĄD KRAKOWSKI SKWER dostanie imię. I to nie będzie jakie, bo redaktora Mariana Eilego. W ten sposób krakowscy radni uczczą pamięć wybitnego satyryka, malarza i scenografa, a przede wszystkim twórcy tygodnika „Przekrój”.

„Eile to nazwisko i symbol” – tak Agnieszka Osiecka w „Szpetnych czterdziestoletnich” opisała genialnego redaktora, który mimo że pochodził ze Lwowa, to właśnie pod Wawelem stworzył najśłynniejszy polski tygodnik. Zauważyli

to teraz rajcy, którzy uznali, że o nadzwyczajnych zasługach Eilego powinna przypominać... zielen miejska.

Z apelem do prezydenta Krakowa o przemianowanie ulicy Małej (przy której mieszkał redaktor) na ulicę Mariana Eilego wystąpiła już w maju tego roku redaktor naczelna „Przekroju” Katarzyna Janowska. Jednocześnie Maciej Twaróg, pracownik Muzeum Historycznego miasta Krakowa, złożył w magistracie propozycję, by patronem jednej z ulic został „Przekrój”.

Ostatecznie stanęło na skwerze sąsiadującym z krakowskim sądem, który jest sporo oddalony od miejsca, gdzie przez lata powstawał tygodnik. Na łamach lokalnej prasy Jerzy Fedorowicz z komisji kultury ratusza wyjaśnił, że radni nie znaleźli w Krakowie ulicy, która byłaby godna wielkiego redaktora. Ulicy Przekrój też nie będzie, bo uznali, że... promowałyby nasz tygodnik.

– Dziwię się, „Przekrój” to przecież jedna z najśłynniejszych marek Krakowa – zauważa Maciej Twaróg.

My możemy jedynie przypomnieć sentencję jednego z wcielen Eilego – Kreci P.: „Ludzie straszliwie komplikują sobie życie, do wszystkiego włączając arytmetykę”. – *ana*

POWIĘKSZ SWÓJ KRAJ

SINGAPUR, NAJBOGATSZY KRAJ AZJI, ZAWSZE BYŁ W CZOLÓWCE najmniej skorumpowanych państw świata. Teraz w rankingu poleci w dół, bo tamtejsza policja zatrzymała gang urzędników, którzy za łapówki legalizowali lewe transporty piasku z sąsiedniej Malezji. Po co bogatemu Singapurowi 130 tysięcy ton piasku rocznie? Żeby się rozwijać. Od 1980 roku populacja się podwoiła, a PKB poszybował o tysiąc procent. Ale na wyspie już 20 lat temu skończyło się miejsce – w sensie fizycznym. Dlatego Singapurczycy za pozwoleniem władz wykradają kilometry kwadratowe (w sumie już 130) oceanowi, zasypując go piaskiem. Na wyspie piasek skończył się już 30 lat temu, dlatego Singapurczycy zaczęli go importować, głównie z Malezji. Problem w tym, że kraj ten w latach 90. też zapragnął się powiększyć i zakazał wywozu budulca. Mimo to eksport z Malezji do Singapuru kwitł, bo singapurscy urzędnicy wystawiali lewe certyfikaty pochodzenia piasku. Po ostatnich aresztowaniach nie będzie to już takie łatwe, ale być może łapówkarze zostaną ulaskawieni. Działali przecież w żywotnym interesie państwa. – *luc*



Również Kambodża degraduje swój odcinek Mekongu, aby sprzedać piasek z jego dna do Singapuru

REKLAMA

Mój elegancki telefon jest jak idealna torebka – wszystko mam zawsze pod ręką.”

Rozmowy w dobrym stylu. Nowa emporiaELEGANCE.

Ten łatwy w obsłudze i atrakcyjny telefon wyjątkowo trafnie spełnia oczekiwania dojrzałych konsumentów o wyszukany guście. Przejrzysta funkcjonalność czyni instrukcję obsługi zbędną, a minimalizm jego kształtów zadowoli każdego miłośnika wyrafinowanych projektów.

Dostępny w salonach i sklepach sieci ERA, PLUS, PLAY i ORANGE.

Łatwiejsze kontakty z bliskimi.®



emporia

PREZYDENCKIE USTAWKI W BUDZIE

PODCZAS WIEJSKICH WAKACJI BRONISŁAW KOMOROWSKI POWIEDZIAŁ NAM WIĘCEJ O SWOIM POMYŚLE NA PREZYDENTURĘ NIŻ W WYGŁOSZONYM W PIĄTEK ORĘDZIU

To pierwszy polski prezydent, który zanim jeszcze złożył przysięgę, dał nam się poznać od podszewki. A nawet bez niej. Żaden jego poprzednik nie stał przed elektoratem rozbrany do majtek. Tymczasem Komorowski już takiego widzieliśmy: wychodzi z rzeki, ociekając wodą, w niebieskich szortach. Mogliśmy też podziwiać, jak pływa żaglówką (w tych samych niebieskich spodniach). Jak jeździ na rowerze, buja się w hamaku, organizuje żonie huczne imieniny (tym razem już kompletnie ubrany). Komorowski pełno jest na Pudelku, w „Fakcie” i „Super Expressie”. Nic, co robił na wakacjach w Budzie Ruskiej, małej wsi na Suwalszczyźnie, nie jest nam obce. Na łamach tabloidu widzieliśmy nawet, jak wchodzi do wiejskiej sławki i z niej wychodzi. – Nie kryguje się, nie ustawia do zdjęć tak, żeby wypaść jak najlepiej. Jest naturalny – chwali prezydenta fotoreporter Piotr Kowalczyk, który dla „Super Expressu” zrobił pierwszą serię zdjęć z Budy. – Byliśmy umówieni, nie chowałem się za płotem.

Zresztą w Budzie u Komorowskich płotu nie ma.

Kowalczyk ustalił zwykłą sesję jeszcze z Krzysztofem Luftem, który odpowiadał za medialną stronę kampanii Komorowskiego. Podejrzewa jednak, że teraz większość fotoreporterów się chowa, a potem sprzedaje tabloidom zdjęcia robione z ukrycia.

Nie myli się. – Komorowski nawet przypadkowo napotkany jest miły. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się i mi pomachał – wspomina Piotr Grzybowski, któ-



ry również pracuje dla „Super Expressu” i sfotografował słynne już wyjście prezydenta z jeziora, podczas gdy sam krył się w krzakach.

Branża poczuła, że zaczął się popyt na fotki głowy państwa. I nikt z fotoreporterów nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek było zapotrzebowanie na takie zdjęcia Wałęsy, Kwaśniewskiego czy Kaczyńskiego.

– Ostatnie tygodnie nicnierobienia w Budzie Ruskiej to nie trywialne ocieplanie wizerunku, ale przemyślana taktyka, która dużo mówi o przyszłych posunięciach prezydenta Komorowskie-

go – ocenia doktor Olgierd Annusewicz, politolog i specjalista kreowania wizerunku z Uniwersytetu Warszawskiego.

Przed zaprzysiężeniem postanowiliśmy więc na własne oczy zobaczyć, jak z nicnierobienia wykuwa się nowa prezydentura.

Gładkości ma w Warszawie

3 sierpnia, południe, w Warszawie przed Pałacem Prezydenckim awantura o krzyż. Ktoś próbował się do niego przywiązać, ktoś krzyczy: „Polsko, obudź się”. Tłum napiera, szarpie się ze strażnika-



W pracy trzeba wyglądać poważnie, ale na urlopie prezydent pozuje (i to dosłownie) na swojego chłopca.

I koło napompuje, i w hamaku się pobuja, od niechcenia przepłynie rzekę.

A wszystko pod czujnym okiem tabloidowych fotoreporterów

mi miejskimi. Histeria. A w Budzie Ruskiej cisza, aż w uszach dzwoni. Po łąkach snują się krowy i bociany. Wiejską drogą czasem przejedzie policyjny patrol. Wytrząsą ich, bo droga wyasfaltowana jest tylko w okolicy, gdzie mieszka sołtys, a tam, gdzie mieszkają Komorowscy, jeszcze nie. – Prezydent u siebie – wnioskują ludzie we wsi po tych częstych przejazdach funkcjonariuszy. – Ponoć pisze orędzie – mówią. Następnego dnia w „Fakcie” będą zdjęcia oddające trud jego pracy: Komorowski siedzi w altanie i szlifuje wystąpienie, a żona dba, żeby miał co jeść i pić.

– Tak, byli już. Pstrykali – mówi o fotoreporterach najbliższa sąsiadka prezydenta (to od jej rodziny Komorowsy 10 lat temu kupili w Budzie stary dom z kawałkiem ziemi). Mieszkają na tyle daleko, żeby nie zaglądać sobie w talerze, ale na tyle blisko, że gdy ona wyjdzie przed swoją chałupę, to widzi chałupę Komorowskich. Widzi też tych wszystkich fotoreporterów, którzy podchodzą do prezydenckiej posiadłości najbliżej, jak się da – a to od strony lasu, a to od łąk. – Pole mi cholery jedno wydeptują – złości się kobieta. – Że też BOR ich nie pogoni! Słyszę w kółko, że skoro moje po-

le, to ja powinnam przeganiać. Ja, stara, na rencie? Dlaczego ja mam biegać, nogi suszyć? Czy to ja powinnam prezydenta pilnować? – pyta.

Mirosław Bobrowski mieszka dalej od Komorowskich, lecz przyjeźdźni często zatrzymują się przy jego domu i pytają, którędy do prezydenta. Coraz więcej tych pytających: – Przyjeżdżają i dziennikarze, i turyści. Każdy ciekaw.

– Ja tam niektórym celowo wskazuję złą drogę – przyznaje się Piotr →

→ Malczewski, który prowadzi w Budzie galerię fotografii. – Prezydent powinien mieć choć odrobinę prywatności – tłumaczy. Wiadomo, że Piotr Malczewski nie rozumiał jeszcze, że słowa „prezydent” i „prywatność”, choć zaczynają się na tę samą literę, kompletnie nie mają ze sobą związku. Szczególnie po tym, jak Bronisław Komorowski sam zaprosił do Budy „Super Express” i TVN24.

– Bo jest otwarty, nie ma nic do ukrycia – tłumaczy Komorowskiego sołtys Bolesław Jurkun. – Dotąd płotem się nie ogrodził, jak to zwykle robią warszawiacy. W domu ma skromnie. Aż kiedyś nawet mu proponowałem: wygładźmy tu trochę, pomożę. A on, że gładości to ma w Warszawie.

– Prosto się nosi, z wiejska, jak my – dodaje Bogumiła Zukowska. – Z całą wsią jest zaprzyjaźniony.

Wiesz liczysz 31 chałup. Niby trochę mało, żeby czynić odniesienia do kraju, ale nie da się wykluczyć, że sposobem bycia, którym Komorowski zjednał sobie ludzi we wsi, próbuje teraz zjednać sobie resztę z 38 milionów obywateli.

Kampania non stop

– To dobrze, że jak każdy normalny Polak odpoczywa na własnej działce – komentuje Eugeniusz Kłopotek z koalicyjnego PSL. Jednak partie opozycyjne nie są przekonane: – Nie rozumiał, że jest prezydentem od chwili wygrania wyborów. Pozwalając tabloidom fotografować się w mokrych gątkach, obniża majestat urzędu – krytykuje europoseł PiS Ryszard Czarnecki. I prorokuje: – To się szybko na nim zemści. – Wbrew krzykom opozycji Komorowski to inteligentny zawodnik – ocenia doktor Annusewicz. Do Polski – jak twierdzi politolog – powoli dociera znane w USA zjawisko kampanii permanentnej. – To znaczy, że na reelekcję prezydent zaczyna pracować już w dniu wyboru na urząd. W Stanach okres od listopada (wybory) do stycznia (zaprzysiężenie) to czas wizerunkowo zaplanowany w każdym szczególe – wyjaśnia. Obama jako prezydent elekt spędzał na przykład wakacje na rodzinnych Hawajach, chodził z córkami na lody i na zakupy do miejscowego centrum handlowego. Zadbano nawet o to, aby media doniosły, że gdy była awaria, to jemu też zabrakło prądu i cierpiał te same niewygody co wszyscy na wyspie.

Czyli wakacje Komorowskiego relacjonowane na bieżąco w mediach to też kampania permanentna?

– Oczywiście – potwierdza doktor Annusewicz. – Widać, że zdjęcia z Budy są publikowane z zgodą zainteresowanego. Część jest robiona za zgodą zainteresowanego. Część jest robiona na ukrycie, ale nikt z tego powodu nie protestuje. Można to więc traktować jako formę przecieków kontrolowanych, żeby ludzie nie pomyśleli, że pozuje, gra pod publiczność. Ma być naturalnie, a więc dlaczego nie w kąpielówkach?

– Media wcale nie lubią autentyzmu. Nad prawdziwym autentyzmem trzeba się naprawować, zapalować na danego człowieka, a jakoś zdjęć i tak może być kiepska – zauwa-

ża medioznawca Wiesław Godzic ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. – Dlatego preferowany jest autentyzm ustawiony, czyli dogadanie się z celebrytą albo politykiem do zaaranżowania naturalnej sytuacji, w ogrodzie, na plaży, na zakupach. To daje osobom kontrolowanym przynajmniej częściowe poczucie kontroli. A niepisana umowa mówi, że tekst, który towarzyszy tak zwanej ustawce, jest bohaterowi przychylny – wyjaśnia Godzic.

Czy w Budzie były ustawki? Tego nie da się potwierdzić, bo wszystkim zainteresowa-

Swojski wypoczynek wpisuje się w lansowany przez PO trend partii normalnych ludzi. Zamiast polować, prezydent Komorowski grilluje i naprawia rowery

nym zależy na tajemnicy. Nasi anonimowi rozmówcy z branży paparazich wskazują jedynie na poszlaki; niektóre zdjęcia Bronisława Komorowskiego wykonane są z dość bliskiej odległości. – To byłaby kompromitacja dla BOR, gdyby bez przyzwolenia kogoś z otoczenia prezydenta dopuszczono obcą osobę na taki dyktans – sugeruje jeden z fotoreporterów.

Dopiero gdy od wykonania zdjęć minie trochę czasu, paparazzi skłonni są uchylić nieco rąbka tajemnicy, ale nadal, rzecz jasna, anonimowo: – Skąd zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego w parku z Martą w samym środku kampanii prezydenckiej? Za te i inne ustawki odpowiadał spin doktor Adam Bielan. Gazeta dostała informację, że o tej i o tej godzinie Kaczyński będzie na spacerze.



Czasem trzeba wsiąść na motolotnię. Choćby po to, żeby zobaczyć prezydentową topless

Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy od osoby z otoczenia nowego prezydenta, nie ma obecnie jednego człowieka, który kreowałby wizerunek głowy państwa. Do niedawna funkcję tę pełnił Krzysztof Luft oddelegowany po wyborczym zwycięstwie do KRRiT. Kimkolwiek więc byli ci, którzy odpowiadali za medialną kontrolę wakacji w Budzie, zdaniem specjalistów od politycznego marketingu mogą być z siebie zadowoleni. Komorowski upiekł na działkowym grillu aż cztery polityczne pieczenie.

Po pierwsze, ten swojski odpoczynek wpisuje się w lansowany przez PO trend partii normalnych ludzi. Prezydent porzucił niepopularne myślistwo. Zamiast strzelać, grilluje i naprawia rowery – wylicza doktor Annusewicz. Zapowiedź tego mieliśmy już w kampanii, gdy w tle sielskich rodzinnych obrazków z obiadem słyszeliśmy w spotach zapewnienia wyborców: „Potrzebny jest nam dobry gospodarz, który umie znaleźć wspólny język ze wszystkimi”. Albo: „Ktoś, kto rozumie problemy zwykłych ludzi, bo sam jest zwykłym człowiekiem”.

Ten podział zaznaczył się już podczas pierwszej debaty Tusk kontra Kaczyński w 2007 roku. Jarosław był kreowany na oderwanego od rzeczywistości, który mieszka z kotem i matką, za to nie ma konta w banku, a Tusk – na zwykłego, wychowanego na podwórku ojca rodziny, który po pracy kopie piłkę. W ten schemat doskonale wpisuje się teraz Komorowski – podkreśla Annusewicz.

Po drugie, wakacje w Budzie uchroniły Komorowskiego od angażowania się w obniżające popularność konflikty polityczne. – Nikt nie może go oskarżyć, że to on próbował usunąć krzyż sprzed pałacu lub nie protestował przeciw podwyżce VAT. Oczywiście te problemy do niego wrócą, ale teraz, w szczycie sezonu ogórkowego, lepiej, że tabloidy chwalały go za wypoczynek na wsi, niżby miały go ganić – dodaje politolog.

Po trzecie, Komorowski zaznacza swoją niezależność. Jak donosiły gazety, nie zaprosił wierzuszki PO na wyprawiane w Budzie imieniny żony. To sygnał: nie będę malowanym prezydentem i nie zamierzam we wszystkim naśladować Tuska. Zwłaszcza że na imieninach pojawili się politycy z bliższego Komorowskiemu kręgu, między innymi powołany przez niego do KRRiT Jan Dworak (na zdjęciu w tabloidzie dźwigał paczkę z alkoholem). Zresztą – jak zauważa Annusewicz – już od dawna Komorowski podkreślał swą autonomię, zaskakując na przykład koalicjantów kandydaturą profesora Marka Belki na szefa NBP.

I zupełnie niezauważalnie przyswoili sobie coś jeszcze: że prezydent to krzepki facet. – Proszę sobie przypomnieć, jak szef kancelarii Jacek Michałowski powiedział mimochodem, że przepłynął z prezydentem trzy kilometry, on się poddał, a Komorowski płynął dalej. To jasny przekaz – z tym prezydentem nie będziemy mieli problemów, a Janusz Palikot nie będzie na konferencjach żądać raportów o stanie jego zdrowia – mówi Annusewicz.



Nie dajcie się zwieść pozorom! To zdjęcie z wyborów Dziewczyny Roku w 1995 roku w gdańskim Cristalu. Nie wiadomo, w jakiej roli wystąpili tam kulturyści, ale koniecznie chcieli mieć zdjęcie z prezydentem

Zdaniem Annusewicza ten właśnie styl swojskiego gospodarza, który z każdym zagadką, zdominuje prezydenturę Komorowskiego. – I to idealnie wpisuje się w zapotrzebowanie społeczne – tłumaczy politolog. – Wałęsa ręcznie sterował, Kwaśniewski dał ludziom posmak elit i prezydentury high life, Kaczyńskiego bezskutecznie kreowano na postać monumentalną. Teraz jest czas everymana Bronka.

Maciej Kosycarz, który był osobistym fotografem Wałęsy, pamięta, że na początku lat 90. nie było zapotrzebowania na prywatne zdjęcia polityków: – Zostałem zaproszony na imieniny Wałęsy, był 1994 lub 1995 rok. To chyba pierwszy w Polsce przypadek, gdy na takim przyjęciu pojawił się fotoreporter. Po imprezie obdzwoniłem wiele redakcji, żadna nie była zainteresowana. Pytali: A czy Wałęsa coś ważnego nam powiedział? Nie, po prostu miał imieniny. To nie chcemy zdjęć. Później wiele razy redakcje składały zamówienia: Niech Wałęsa powtórzy skok przez płot. Nigdy się nie zgodził.

Od szafowania prywatnością z początku stronili też Kwaśniewscy: – W zasadzie przez całą prezydenturę wręcz obsesyjnie chronili przed mediami jedyną córkę – dowodzi Godzic. A Piotr Grzybowski wspomina zamieszanie, jakie rozgryzło się po publikacji w „Super Expressie” w 2004 roku zrobionych z lotu ptaka zdjęć prezydenckiego ośrodka w Juracie. Widać na nich opalającą się topless ówczesną pierwszą damę Jolantę Kwaśniewską. – Naszym celem był teren samego ośrodka. Mimo wielu prób ze strony redakcji nie było zgody na oficjalne sfotografowanie rezydencji. Wydzieliliśmy więc motolotnię i przelecieliśmy nad ośrodkiem – opowiada Grzybowski.

Lech Kaczyński rozumiał siłę prasy brukowej, ale starał się jej unikać. – Zdarzało mu się jednak ocieplać wizerunek. W „Fakcie” ukazały się zdjęcia z kolacji w restauracji, gdy wraz z żoną świętował rocznicę ślubu – przypomina profesor Godzic. Jak udało się nam dowiedzieć, ta kolacja była częściowo ustawiona: – Przeciek na tę, ale i na inne prywatne sytuacje pochodził od jednego z BOR-owców, choć nie wykluczam, że działało się to za zgodą odpowiedzialnych za wizerunek szefa pracowników kancelarii – zdradza jeden z fotoreporterów.

Bye, bye, Buda

Takie zaaranżowane sytuacje zaczął masowo wykorzystywać Kazimierz Marcinkiewicz. – Efektem były zdjęcia uśmiechniętego premiera, który prasuje koszulę – mówi Godzic. Metody Marcinkiewicza przełożyły się na błyskawiczny wzrost jego popularności, a z ustawek zaczęli korzystać inni politycy. Zdjęcia z nimi biorą głównie „Fakt” i „Super Express”. Rynek jest podzielony: – „SE” ma lepszy układ z PiS, a „Fakt” z Platformą – tłumaczy nam jeden z przedstawicieli branży. Ujawnia też inny zakulisowy mechanizm. Większość ustawek tabloid dostaje na wyłączność. Ale ponieważ od 50 do 70 procent zrobionych zdjęć ostatecznie nie trafia na łamy, politycy (lub spin doktorzy) muszą się ubezpieczać. Coraz częściej więc wysyłają na ustawkę fotografów z dwóch konkurencyjnych gazet. Gdy chłopaki zobaczą się na miejscu zdarzenia, zaalarmują redakcje, a te będą bardziej zmobilizowane do publikacji.

Były ustawki w Budzie czy nie, tabloidom musimy oddać sprawiedliwość w jednym – potwierdzamy doniesienia „Faktu”, że droga Bro-

nisława Komorowskiego z Budy na zaprzysiężenie do Warszawy musiała być męką. Trzysta kilometrów w osiem godzin, najpierw wyboiste polne drogi, potem korki i roboty drogowe. Przekonaaliśmy się o tym na własnej skórze.

A zaprzysiężenie? Uroczystość godna, ale w orędziu nie nikogo zaskoczyć nie mogło. Dominowały hasła znane z kampanii, jak „zgoda” i „współpraca”. Już na wstępie prezydent dziękował „prawie dziewięciu milionom obywateli Polski, którzy wynieśli mnie do prezydenckiego urzędu”, ale zaznaczył, że będzie się starał zyskać zrozumienie i uznanie także tych „ośmiu milionów polskich obywateli, którzy oddali głos na kontrkandydata”. Pobudzić do aktywności politycznej będzie usiłował także tych, którzy nie głosowali. Odwołując się do dziedzictwa Solidarności, zachęcał: „Chodźcie z nami”. I podkreślał: „Trzeba nam więcej spokoju i zrozumienia, a mniej walki, niechęci, pogardy, a czasem i nienawiści”.

Doktor Annusewicz: – Orędzie potwierdza, że prezydentura ta upłynie pod hasłem otwartych drzwi pałacu. Prezydent będzie „wspólnie”, „łącznie” i „konciliacyjnie” kreował się na męża stanu. I jak Kwaśniewski zaliczył reelekcję w pierwszej turze.

– Polityka nie polega na tym, żeby być swoim chłopem – ostrzega jednak profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Polityka to podejmowanie działań, które przyniosą konkretne efekty. Nie można tylko i wyłącznie czuć się fajnie.

Po prostu nie da się spędzić pięciu lat w Budzie Ruskiej.

Współpraca Milena Rachid Chehab

Polska droga krzyżowa

Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie głupi... Awantura o krzyż na Krakowskim Przedmieściu dowodzi, że niczego nie nauczyliśmy się na swoich błędach. A przecież okazji do edukacji w ostatnich latach nie brakowało

WOJNY RELIGIJNE MAREK ZAJĄC

PIERWSZĄ NAUKĘ ODEBRALIŚMY NOCĄ 20 PAŹDZIERNIKA 1997 roku, gdy poseł AWS Tomasz Wójcik spadł z drabiny, cichcem wieszając krzyż w sali posiedzeń Sejmu. Druga lekcja odbyła się, niestety, już przed publiką międzynarodową – w 1999 roku policja usunęła z oświetlonego Żwirowiska Kazimierza Świtonia, samozwańczego obrońcę tak zwanego krzyża papieskiego i kolejnych krzyży stawianych w tym miejscu masowych egzekucji. Zresztą Świtonia, jak informowały media, można było zobaczyć pod Pałacem Prezydenckim 3 sierpnia tego roku, gdy protestujący tłum uniemożliwił przeniesienie krzyża do kościoła św. Anny.

Stop. A może jest dokładnie na odwrót. Może właśnie politycy i obywatele, niektórzy politycy i niektórzy obywatele, wyciągnęli z tamtych wydarzeń wnioski i konsekwentnie się ich trzymają. Może historia krzyża sejmowego utwierdziła ich w przekonaniu, że o obecności symboli religijnych w życiu publicznym nie trzeba z nikim rozmawiać, bo o niebo skuteczniejsza jest metoda faktów dokonanych. Także sprawę Żwirowiska uznano za prosty instruktaż, jak przez długi czas wodzić władze za nos, jak wokół jednego krzyża sadzić las kolejnych i skutecznie posługiwać się moralnym szantażem. Tamte historie nauczyły niektórych, że krzyż potrafi wywołać w Polsce emocje, wobec których państwo i Kościół stoją bezradne.

Zeszlotygodniowe wydarzenia spod Pałacu Prezydenckiego przyniosą identyczną lekcję. Nie skłonią do namysłu nad miejscem i rolą symboli religijnych na forum publicznym, nad światopoglądową neutralnością demokracji, nad niebezpiecznym wklęaniem wiary w politykę. Przeciwnie, ich następstwem – obym był złym prorokiem – będzie za kilka miesięcy albo kilka lat kolejna podobna awantura. Bo zza niewielkiego drewnianego krzyża na Krakowskim Przedmieściu wyzierają wielkie słabości polskiego Kościoła i państwa.

1 Z punktu widzenia człowieka wierzącego w miniony wtorek pod Pałacem Prezydenckim doszło do wydarzeń haniebnych. Szarpanina pod krzyżem, wyzywanie księży od zdrajców i kompletne zlekceważenie porozumienia, którego jednym z sygnatariuszy była warszawska kuria. Jak zareagował Kościół? Przyjrzyjmy się twardym faktom.

Przeglądam depesze, które od 3 do 6 sierpnia opublikowała Katolicka Agencja Informacyjna, główny pas transmisyjny dla biskupich oświadczeń. Znajduję tylko ogólne słowa o krzyżu skierowane przez kilku biskupów do swoich diecezjan pielgrzymujących na Jasną Górę, między innymi przez kardynała Stanisława Dziwisza z Krakowa i arcybiskupa Henryka Hosera (diecezja warszawsko-praska) oraz temperujące nastroje wypowiedzi metropolity warszawskiego, arcybiskupa Kazimierza Nycza. I długi wywiad z biskupem Zbigniewem Kiernikowskim z Siedlec, który podkreśla, że „krzyż nie powinien dzielić”. To wszystko. Wchodzę na stronę Episkopatu. Tam jedynie wspólne oświadczenie Kancelarii Prezydenta, kurii, duszpasterstwa akademickiego i harcerzy z 3 sierpnia. Obok dość ostrożnych wyrazów ubolewania, że nie doszło do przeniesienia krzyża, cytuję: „Nadal uważamy, że tylko w drodze dialogu może zostać wypracowane trwałe rozwiąza-

nie, będące godnym upamiętnieniem ofiar katastrofy smoleńskiej, na którym nam wszystkim zależy. Ogrom tej tragedii i duchowy wymiar tamtych dni zasługują na takie upamiętnienie. Apelujemy do wszystkich ludzi dobrej woli, by nam w tym pomogli”. Ze strony prezydium Episkopatu – ani zdania.

Dlaczego tym razem hierarchowie na ogół milczą, choć z reguły w takich sytuacjach, gdy znieważa się święte symbole, upokarza kapłanów i okazuje nieposłuszeństwo wobec kościelnych władz, natychmiast i zdecydowanie zabierają głos?

Znamy to milczenie. Zapadało choćby po kolejnych incydentach na antenie Radia Maryja. Na ogół kryły się za nim albo lęk, by nie narazić się części wiernych, albo przyzwolenie. Kiedy kilka lat temu po obradach Episkopatu zadzwoniłem do jednego z biskupów i zapytałem, dlaczego podczas posiedzenia znowu nie było mowy o rozgłosni z Torunia, usłyszałem: – Powinien się pan cie-

żyć, że nie doszło do dyskusji. Gdyby odbyło się głosowanie, byłby pan wynikiem bardzo rozczarowany.

Nie, duchowni nie chcą awantur. Ale wielu z nich popierało w ostatnich wyborach, aż nazbyt otwarcie, Jarosława Kaczyńskiego. Nie wystąpią więc przeciw tym, którzy stanowią jego najtwardszy elektorat. Nie zamierzają też przyjść w sukurs nowemu prezydentowi i ułatwić Bronisławowi Komorowskiemu wyjście z tarapatów. Polski Episkopat, polski Kościół są podzielone. Ale tu wcale nie chodzi o pęknięcie na liberałów i konserwatystów, ale na tych, którzy religię i wiarę chcieliby radykalnie odciąć od polityki, i tych, którzy taki rozdział uważają w gruncie rzeczy za niepotrzebny, ba – szkodliwy.

2 Skoro w Kościele istnieje grupa szukająca wpływu i oparcia w polityce, to naturalną siłą rzeczy w polityce będzie istniała grupa szukająca wpływu i oparcia w Kościele. Choć już od dawna w Sejmie nie zasiada ani jedna partia deklarująca się w nazwie jako chrześcijańska, to jednak w każdej kadencji mamy do czynienia z ugrupowaniem, które lubi pograć na katolickim fortepianie. I to jeszcze przez dekady będzie stały element naszego politycznego krajobrazu.

Jeżeli kiedyś rozpadłoby się Prawo i Sprawiedliwość, na jego miejsce znajdzie się inna siła, która w imieniu prawdziwych Polaków i prawdziwych katolików wejdzie do parlamentu z co najmniej kilkunastoprocentowym poparciem. A na razie, czując ko-

ścielny wiatr w żaglach, Komitet Polityczny PiS wydaje oświadczenie, że krzyż powinien pozostać pod Pałacem Prezydenckim aż do czasu wybudowania pomnika ofiar kwietniowej katastrofy, choć formalnie partia ta nie jest przecież stroną w sprawie. Efekt oglądaliśmy 3 sierpnia. Lepiej sobie nie wyobrażać, co będzie przed jesiennymi wyborami samorządowymi i przyszłorocznymi parlamentarnymi.

3 Ten nieszczęsny splot polityki i religii zacieśnia się tym bardziej, że państwo wydaje się wobec niego bezradne. Po 1989 roku nie udało się w Polsce wytworzyć ani języka, ani nawet atmosfery do rozsądnego debatowania o miejscu wiary, religii, Kościoła w życiu publicznym. Każda władza, nawet lewicowa, drżała przed wejściem na to pole minowe. Nic dziwnego, że po bi-jatyce pod pałacem szef Kancelarii Prezydenta Jacek Michałowski od razu sugerował, że potrzebna jest interwencja Kościoła – jakby zapominając, że tym samym obnaża słabość państwa.

Choć nie mamy już w Sejmie partii deklarującej się w nazwie jako chrześcijańska, to politycy lubią pograć na katolickim fortepianie

Kłopot w tym, że obecna prze-waga będzie miała dla Kościoła opłakane skutki. Gdy do Polski z całą siłą dotrą debaty o krzyżach w szkołach, urzędach czy szpitalach, wahać może wychylić się w drugą stronę. Nadal nie będzie zdroworozsądkowych dyskusji ani odrobiny empatii czy szacunku dla światopoglądowych oponentów, nadal będą domino-wały rozpalone emocje – tyle że tym razem krzyże zamiast trwać, zaczną zniknąć. Kto siał wiatr, zbierze burzę.

Kościół ma zresztą podobny problem jak państwo – jego czołowe postacie jak ognia unikają decyzji odważnych, a tym samym ryzykownych. Po śmierci Jana Pawła II do znudzenia powtarzaliśmy, że Kościołowi w Polsce brakuje liderów. Teraz zbieramy tego owoce. Jak choćby wtedy, gdy po ogłoszeniu, że para prezydencka zostanie pochowana na Wawelu, odpowiedzialnością za decyzję przerzucali się kardynał Dziwisz i politycy z najbliższego kręgu braci Kaczyńskich. Także za przeniesienie krzyża ani kuria warszawska, ani Kancelaria Prezydenta nie chcą wziąć w pełni odpowiedzialności. Najodważniejsi, prawdę mówiąc, okazali się chyba harcerze.

4 Obecna awantura pokazała też inną smutną prawdę – w kraju, który podobno żyje i oddycha historią, gdzie inwestuje się w historyczne muzea i uprawia politykę historyczną, panuje kompletne pomieszanie pojęć. Kuriozum jest porównywanie krzyża na Krakowskim do jego obrony w czasach PRL. A jeszcze straszniejsze były okrzyki tłumy pod adresem interweniujących strażników miejskich: ZOMO! Gestapo! Proszę wybaczyć dosłowność, ale dzień spędzony w celi w siedzibie gestapo przy alei Szucha na przykład w 1943 roku może uświadomić niektórym zasadniczą różnicę. Ale ta drobna kwestia odzwierciedla niestety rzecz ogólniejszą – w Polsce nie zastanawiamy się nad historią, ale przykrawamy ją do własnych emocji. Tak jak religię zamieniamy ją w pałkę do okładania przeciwników.

5 Choć śledztwo nie dobiegło jeszcze końca, z katastrofy pod Smoleńskiem powinniśmy wyciągnąć już jedną naukę – pozbyć się lekceważącego stosunku do prawa, przepisów, procedur. Poczucia, że zawsze znajdzie się jakaś wartość, interes albo przekonanie, które są ponad literą prawa. Usprawiedliwiają ładowanie w warunkach, w których ładować nie wolno. Ale w minionym tygodniu na Krakowskim Przedmieściu prawo, przepisy, formalne porozumienia znowu przegrały. Okazało się, że nie ma woli ich ani szanowania, ani egzekwowania. I to też jest prawdziwa katastrofa. □



Prawdziwych Cyganów ma nie być

Europa Zachodnia urządza polowanie na Romów.
Chcą się ich pozbyć Francuzi, Niemcy, Belgowie, Duńczycy i Włosi.
Unia Europejska umywa ręce

Centrum Rzymu oszalało na punkcie romskiej muzyki. W Paryżu knajpki w okolicy Moulin Rouge organizują wieczorki z romskimi kapelami i romskim jedzeniem, a na Sorbonie studenci drzwiami i oknami pchają się na wykłady o romskiej kulturze. Jesienią pod Hamburgiem po raz pierwszy odbędzie się festiwal muzyki romskiej. Europejczycy zakochali się we wszystkim, co romskie. Tylko nie w samych Romach.

W ostatnich dniach lipca Nicolas Sarkozy zwołał nadzwyczajne posiedzenie francuskiego rządu w sprawie „dziwnych wybryków romskiej społeczności”. – Nie możemy tolerować w kraju przestępców – tłumaczył prezydent. Po naradzie MSW wydało komunikat, że w ciągu trzech miesięcy policja zlikwiduje 300 z 600 romskich obozowisk w całej Francji, a ich mieszkańcy zostaną wydalenii do Rumunii i Bułgarii.

Tuż za wschodnią granicą, w Niemczech, od kwietnia trwa akcja przesiedlenia 12 tysięcy osób romskiego pochodzenia do Kosowa. Kopenhaga właśnie wyrzuciła 400 Romów, którzy „obniżali poczucie bezpieczeństwa” wśród duńskich sąsiadów. Na początku lipca Flamandowie deportowali do sąsiedniej Walonii kilka taborów (około 700 osób). O Włochach Silvia Berlusconi szkoda już nawet wspominać, bo tam od 2008 roku obowiązuje stan wyjątkowy, wprowadzony specjalnie po to, by ścigać „romski element”.

Czy to europejska oblawa na Romów? – Rzeczywiście, mamy ostatnio złą passę – mówi „Przekroju” Alice Januel, romska działaczka z Francji. – Wielu przyjechało tu z Europy Wschodniej w poszukiwaniu lepszego życia. Ale właśnie tu dogoniło nas to, przed czym uciekliśmy.



Według rządowych statystyk we Francji przebywa obecnie około 500 tysięcy Romów, głównie z Bułgarii i Rumunii. Tamtejsze organizacje pomocowe mówią jednak o liczbie co najmniej dwukrotnie wyższej

– Zabawnie dziś wspomina się święte oburzenie zachodnich Europejczyków na to, jak traktują nas Węgrzy czy Słowacy – komentuje w rozmowie z „Przekrojem” Robert Kusher, szef Europejskiego Centrum Praw Romów w Budapeszcie. – Okazuje się, że w obliczu kryzysu również politykom z tej ponoć cywilizowanej Europy puszcza nerwy. A wtedy najłatwiej wyrzucić obcych z kraju.

Schody do Zachodu

Nie, Romowie nie są niewiniątkami. Sarkozy'ego z równowagi wyprowadził atak 50 uzbrojonych Romów na posterunek policji w departamencie Loir-et-Cher w środkowej Francji. Chcieli zemścić się za młodego ziomka,

który kilka dni wcześniej został zastrzelony przez policję podczas pościgu. Obraz ten dopełniają statystyki francuskiej, niemieckiej i belgijskiej policji, z których wynika, że wzrost zagrożenia przestępczością przesuwają się wraz z romskimi taborami.

Nie zmienia to jednak faktu, że zachodnioeuropejskie państwa, wyrzucając Romów, często działają na granicy prawa. Każdy kraj może deportować nielegalnych emigrantów, ale problem zaczyna się, gdy ci niechciani mają unijne obywatelstwo. Według brukselskich statystyk skarb ten posiada około 70 procent Romów przebywających na terytorium UE.

Teoretycznie rzecz biorąc, jeśli przybył z innego kraju Unii

zarejestruje się w lokalnym urzędzie i wykaże, że ma z czego się utrzymać, państwo goszczące nie może go ruszyć. Tu jednak zaczynają się schody, w sumie trzy. Pierwszy – każde unijne państwo inaczej ocenia zdolność do samoutrzymania się. Drugi – to tak zwana zdolność do integracji, czyli kolejne widzimisię wyższy szczebel, chce wykorzystać Sarkozy. Każdy członek Unii może deportować obywatela innego unijnego państwa, jeśli ten popełnił przestępstwo ścigane publicznie. Drużyna szturmująca policyjny posterunek jest więc na straconej pozycji i wkrótce zostanie wydalona do Rumunii. Ale zdaniem francuskiej policji prze-

wie 80 procent Romów we Francji to przestępcy.

– Chodzi o nielegalne obozowanie. We Francji tak zwani ludzie podróży, jak klasyfikuje Romów tutejsze prawo, mogą robić obozy tylko w określonych miejscach – tłumaczy Alice Januel. Reguluje to prawo Bessona z 2000 roku: każda miejscowość, która liczy więcej niż pięć tysięcy mieszkańców, musi wyznaczyć teren na obozowiska dla ludzi po-

Kosowscy Albańczycy już zadeklarowali, że nie wybaczą Romom ich współpracy z Serbami w czasie wojny. W tym kontekście intrygująco zabrzmiały słowa szefa niemieckiego MSW Thomasa de Maizière'a, który przyznał, że „proces integracji Romów w Niemczech napotyka przeszkody nie do pokonania”.

Żebranie zorganizowane

Niemców i Francuzów swoim sprytem biją na głowę szwedzcy politycy. Sztokholm bez większych problemów mógłby deportować Romów z kraju, bo większość z nich uciekła przed głodem z Rumunii lub Bułgarii i nie jest w stanie utrzymać się w Szwecji bez pomocy państwa. Skandynawowie wpadli jednak na lepszy pomysł.

Tobias Billström, minister do spraw imigracji, wymyślił, że o ile zebranie, którym w Szwecji trudni się wielu Romów, samo w sobie nie jest karalne, o tyle już zebranie zorganizowane jest przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego. W ten sposób przylapani na tym emigranci nie tylko zostaną deportowani, ale też dostaną zakaz wjazdu do Szwecji na minimum trzy lata.

Ta sama Szwecja zaapelowała w lipcu do Komisji Europejskiej o zajęcie się... alarmującą sytuacją Romów w Europie. – Uważamy, że to jest problem, który należy rozwiązać na poziomie Unii – twierdzi Simon Hedlin Larsson ze szwedzkiego ministerstwa do spraw europejskich. – Szwedzki rząd jest szczególnie zaniepokojony wieloma przypadkami łamania praw człowieka wobec Romów.

Komisja Europejska 29 lipca odpowiedziała na apel Szwedów, stwierdzając, że „rozwiązanie problemu ludności romskiej leży w wyłącznej kompetencji państw członkowskich”. Z tym jednak nie do końca zgadzają się eksperci. – Problem zapewnienia obywatelom praw socjalnych, a także przestrzegania praw mniejszości zostały podniesione na poziomie unijnym w grudniu 2009 roku, wraz z wejściem w życie Karty Praw Podstawowych – tłumaczy „Przekroju” Paweł Świeboda, szef demoseuropa – Centrum Strategii Europejskiej.

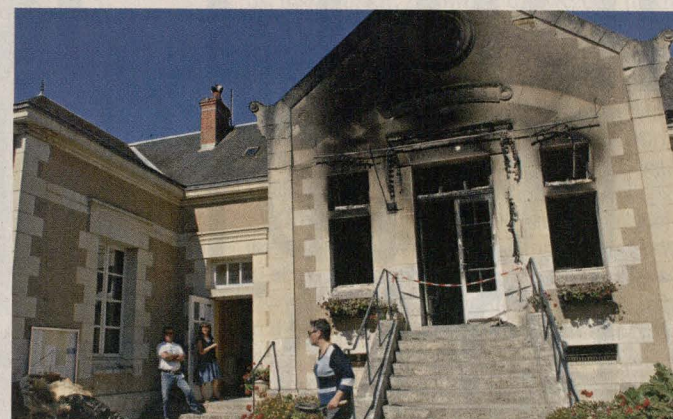
Zarówno rząd Szwecji, jak i rząd Francji oraz Niemiec zaakceptowały Kartę. Za łamanie jej prze-

pisów, dotyczących na przykład praw mniejszości, przewidziane są poważne sankcje, z ograniczeniem prawa głosu w Radzie Europejskiej i wyrzuceniem z UE włącznie.

Szkopuł w tym, że uruchomić te przepisy wobec państwa członkowskiego może tylko inne państwo członkowskie. – Gdyby chodziło o prześladowanie Austriaków w północnych Włoszech, Wiedeń miałby w postaci Karty Praw Podstawowych potężną broń

Bezczynnością Brukseli oburzona jest Amnesty International (AI). Lipcowy raport tej organizacji stwierdza wprost, że „Unia przyrzuca oczy na przypadki poważnego łamania praw człowieka w krajach członkowskich Unii” oraz że niektóre państwa unijne „prowadzą systematyczną antyromską politykę”.

Biuro prasowe unijnej komisarzy do spraw sprawiedliwości Viviane Reding nie chciało sko-



18 lipca uzbrojeni Romowie spalili komisariat w Saint-Aignan. Aby zdusić zamieszki, lokalne władze ściągnęły do miasta 300 żołnierzy

– mówi Robert Kusher. – W naszej sprawie żaden europejski rząd nie zaryzykuje otwartego konfliktu z Paryżem czy Rzymem.

Paradoksalnie unijne przepisy mogą stać się bronią przeciw Romom. Francuski minister do spraw europejskich Pierre Lellouche, który w poprzednim roku przekonywał, że „młodzi Romowie we Francji zajmują się głównie handlem narkotykami”, tym razem zarzeka się, iż w przyszłym roku jego kraj nie wpuści Rumunii i Bułgarii do strefy Schengen (zniesienie kontroli granicznej), jeśli państwa te wcześniej nie zaopiekują się swoimi romskimi obywatelami, którzy rozjechali się po Europie.

mentować tych zarzutów, ponieważ „nie reaguje na oświadczenia organizacji pozarządowych”, i jeszcze raz podkreśliło, że temat mniejszości romskiej jest „wewnętrzna sprawa państw członkowskich”.

Teoretycznie to prawda, tyle że Komisja Europejska potrafiła zdobyć się na działania precedensowe, gdy na przykład stała w obronie praw mniejszości seksualnych, mimo że w tej dziedzinie jej kompetencje są równie wątpliwe.

Cóż, wiadomo, że choć Cyganie ładnie grają, to jednak mieszkają w slumsach, są brudni i kradną. Ich Europa nie zamierza bronić. □

SĄSIEDZI POLAKÓW

ROMOWIE SĄ W POLSCE UZNANĄ PRAWNIE MNIJSZOŚCIĄ ETNICZNĄ. W spisie powszechnym z 2002 roku 12 855 osób określiło się jako Romowie, ale ocenia się, że w Polsce językiem romskim posługują się ponad 35 tysięcy ludzi. W latach 60. i 70. polskie władze wymusiły na Romach porzucenie taborów i osiedlenie się, głównie w Małopolsce. Najnowszy głośny konflikt z polskimi sąsiadami miał miejsce w lipcu tego roku w Limanowej pod Nowym Sączem. Grupa około stu mężczyzn o mało nie zlinczowała romskiej rodziny, po tym jak jeden Rom naubliżał przypadkowej kobiecie.

– luc

PAT GARRETT i BILLY KID POJEDYNEK PO LATACH

DZIKI ZACHÓD RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

PO 130 LATACH OD ŚMIERCI BILLY KID JEST O KROK OD REHABILITACJI. W AMERYCE SZOK – PRZECIEŻ TO WYWRACANIE DO GÓRY NOGAMI HISTORII, W KTÓREJ PODZIAŁ NA DOBRYCH I ZŁYCH JUŻ DAWNO ZOSTAŁ USTALONY. NIE WARTO GRZEBAĆ W DZIEJACH PRAOJCÓW. A MOŻE WŁAŚNIE WARTO?

UŁASKAWIĆ BILLY'EGO KIDA? RENEGATA I MORDERCĘ, który w czasach pionierów, kowbojów, szeryfów i bandytów siał postrach wśród mieszkańców miasteczek Nowego Meksyku? Łotra, którego ścigały dziesiątki stróżów prawa i który zginął z ręki dzielnego przedstawiciela władzy? Rewolwerowca, który został ulubionym czarnym charakterem setek legend i westernów? Historycy zajmujący się Dzikim Zachodem mają jednoznaczną opinię na ten temat – taki pomysł mógł się zrodzić tylko w głowie wariata.

Bill i Billy

Czy gubernator stanu Nowy Meksyk Bill Richardson jest wariatem? Chyba nie. Amerykański Instytut Katona od lat umieszcza go w czołówce najbardziej prestiżowych rankingów gubernatorskich. Docenił go także „Forbes”; na szczycie listy amerykańskich miast najbardziej przyjaznych dla biznesu, według tego miesięcznika, znalazło się Albuquerque. Richardson zalegalizował też marihuanę do użyt-

ku medycznego. Zakazał walk kogutów. Otwarcie wsparł ruch gejowski, co w USA ogólnie – a na konserwatywnym Południu w szczególności – wymaga nie lada politycznej odwagi. A w zeszłym roku doprowadził do tego, że Nowy Meksyk stał się drugim po New Jersey stanem, który zniósł karę śmierci.

Richardson nie boi się podejmowania niepopularnych decyzji. „Nie dbam o głosy, po prostu robię to, co uważam za słuszne” – mawia w takich sytuacjach. Trudno mu zarzucić populizm. A mimo to gdy w listopadzie 2006 roku ubiegał się o drugą kadencję, pokonał swojego konkurenta, republikanina Johna Dendahla, rekordowym odsetkiem głosów (68 do 32).

Tym razem gubernator stanu Nowy Meksyk „uznał za słuszne” wziąć w obronę człowieka, który 130 lat temu został zastrzelony w męskiej walce. Uważa, że jako przedstawiciel władzy zwyczajnie jest mu to winien. Chce naprawić krzywdę, którą w 1881 roku Billy'emu Kidowi wyrządził ówczesny gubernator Lew

Wallace. Wallace, generał dywizji w Armii Unii, znany przede wszystkim jako autor bestsellerowej powieści „Ben Hur”, obiecał rewolwerowcowi wolność w zamian za zeznania obciążające najbardziej notorycznych bandytów. Obietnica nie dotrzymał. Dlatego Richardson rozważa pośmiertne ułaskawienie Billy'ego Kida.

Na wieść o tym w Nowym Meksyku wrzało. Pierwsi odpowiedzieli potomkowie Paty Garrett, szeryfa, który najpierw wyznaczył

500 dolarów nagrody za Billy'ego Kida, a potem sam go dopadł. „To byłaby dla nas potwarz – napisali. – Czy gdyby Billy Kid żył teraz wśród nas, ułaskawiliby pan człowieka, który zarabiał na życie jako złodziej i zabił czterech stróżów prawa oraz wiele innych osób?”

Potem zareagowali liczni miłośnicy legendy o Dzikim Zachodzie. Negatywnie. Ich zdaniem rehabilitacja Billy'ego Kida byłaby błędem. „Nie zgadzam się z tym pomysłem – napisała do na-

szej redakcji Kathy Weiser-Alexander, właścicielka portalu Legendsofamerica.com. – Billy był zabójcą. Choć gubernator Lew Wallace proponował mu ułaskawienie, nigdy nie złożył obiecanych zeznań. Zamiast tego zbiegł z więzienia i zabił dwóch funkcjonariuszy”.

Widać, jaką siłę ma legenda. To jasne, że według obowiązujących dziś standardów Billy Kid jest zabójcą. Nie jest nim jednak bardziej niż Pat Garrett czy wataha stróżów prawa, z któ-

rymi Billy'emu Kidowi przyszło walczyć podczas tak zwanej wojny w hrabstwie Lincoln. Został uznany za bandytę tylko dlatego, że znalazł się po złej stronie. Nie miał innego wyboru, bo ta wojna sama do niego przysłała. To było w lutym 1878 roku.

Pierwsze zabójstwo

Do hrabstwa Lincoln Billy Kid dotarł pięć lat wcześniej, po kilkuletniej tułaczce z matką i ojczymem z Nowego Jorku przez Kolorado, Arizone i Nowy Meksyk. Miał wtedy najwyżej 13 lat (data jego urodzenia nie jest pewna), był chudy, niski i blady. Z powodu dziewczęcej urody stał się obiektem drwin, ale dawał sobie z tym radę. „Braki fizyczne nadrobił błyskotliwością i odwagą – tak pisze o nim Marcelle Brothers, założycielka Aboutbillythekid.com, znakomitej strony poświęconej bohaterowi tej historii. – Nie był niedobrym bachorem jak część jego rówieśników. Był czytany, miły i grzeczny”.

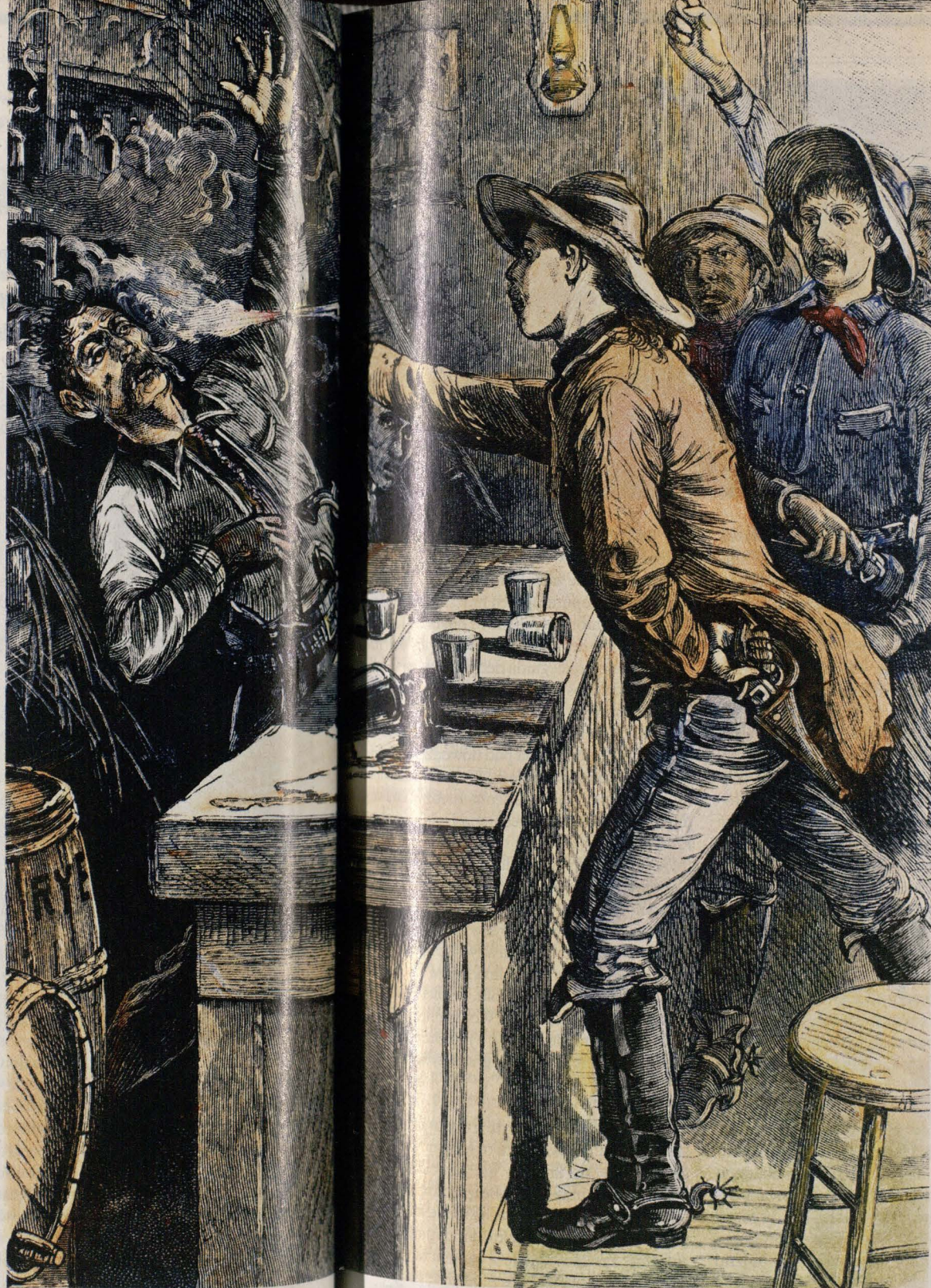
Gdy w 1874 roku zmarła mu matka, a ojczym wyjechał w siną dal, chłopiec zaczął się tułać po rodzinach zastępczych. Po raz pierwszy wszedł wtedy w konflikt z prawem; były to dwie drobne kradzieże (najpierw kilogram masła, później kilka ubrań). Za pierwszą został zrugany przez szeryfa, a za drugą poszedł siedzieć do aresztu, skąd uciekł po dwóch dniach. Przez komin, taki był chudy. Potem stało się coś, co przesądziło o jego dalszych losach.

W Atkins w Arizonie, gdzie znalazł pracę jako pomocnik na ranchu, spodobał się miejscowemu kowalowi Frankowi Cahillowi. Cahill, przeciwnie do Billy'ego Kida (dużo ciała, mało rozumu), lubił przyłożyć chłopakowi i ponizić go przy innych. Marcelle Brothers: „Pewnego dnia, nie wiedząc czemu, Cahill nazwał go alfonsem. Ku jego zaskoczeniu Billy nie pozostał dłużny i zwyzywał go od sukinsynów. Kowal dopadł go, przygwoździł do ziemi i zaczął okładać”. W końcu Billy'emu Kidowi udało się wyjąć rewolwer i strzelić do Cahilla, śmiertelnie raniąc go w brzuch. Billy wskoczył na konia i uciekł. Był to cudzy koń, więc kilka dni później chłopak zwrócił go właścicielowi. Jednak Cahill, zanim umarł, zeznał, że został napadnięty i postrzelony z zimną krwią. Ku zdziwieniu świadków stróż prawa dali mu wiarę. Billy Kid – choć zabił w obronie własnej – był ściągany za morderstwo. Od tamtej pory już zawsze musiał się ukrywać.

Zbiegł do Nowego Meksyku i tam przystąpił do Chłopaków – bandy koniokrądown notorycznego zabójcy Jessego Evansa. Krótka trwała ich współpraca. Billy Kid zaprzyjaźnił się z brytyjskim przedsiębiorcą Johnem Tunstallem, który przyjechał do Lincoln zrobić biznes na handlu bydłem i tekstyliami. Rynek był jednak zajęty przez dwóch wpływowych biznesmenów – Lawrence'a Murphy'ego i Jamesa Dolana, którzy dzięki sowitym łapówkom mieli po swojej stronie szeryfa i Chłopaków. Był to jeden z wielu wówczas przypadków, gdy stróż prawa korzystał z usług bandytów, jeśli dobrze na tym zarabiali. Szeryf William Brady zarabiał na tym →

Typowa artystyczna wariacja na temat Billy'ego Kida. Legendy mówią, że w swojej karierze zabił 21 ludzi

– choć nikt nie potrafi wymienić więcej niż dziewięciu. Ten drzeworyt być może pokazuje śmierć Joea Granta z rąk Billy'ego Kida – ale nasz kowboj nigdy nie nosił dwóch rewolwerów. Joe Grant sam się prosił o zgon, bo z relacji świadków wynika, że pierwszy nacisnął na spust



→ tyle, że Murphy i Dolan czuli się w Lincoln jak we własnym państwie. Nie chcieli rezygnować z monopolu, założyli więc w sądzie sprawę o zarekwirowanie majątku Tunstallowi i jednemu z jego współników. Sąd – przekupiony – wydał wyrok, a jego egzekucją zajął się Brady. Nie udało mu się skrzyknąć bandy w Lincoln, więc skorzystał z usług gangów Evansa i Johna Kinneya. To ludzie, którzy mieli na sumieniu znacznie więcej niż Billy Kid u szczytu sławy.

Evans i jego banda dopadli Tunstalla na prairii, gdy ten próbował ukryć ostatnie nieodebrane mu jeszcze konie. Obyło się bez zbędnych ceregieli. Frank Warner Angel, sędzia śledczy z ministerstwa spraw wewnętrznych, orzekł po oględzinach na miejscu spotkania, że Tunstall został zastrzelony z zimną krwią przez Jessego Evansa, Williama Mortona i Toma Hilla.

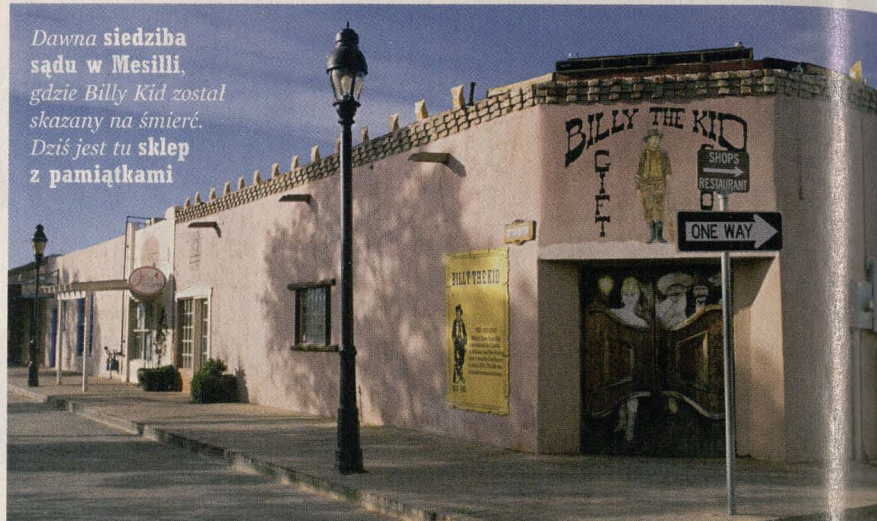
Ludzie Tunstalla (wśród nich Billy Kid) widzieli jego śmierć. Nie mogli liczyć na pomoc wymiaru sprawiedliwości, bo trzęsł nim Murphy i Dolan. Postanowili więc zrobić coś, co robił wtedy każdy, kto miał choć resztki instynktu zachowawczego – skrzyknąć paru posługujących się bronią mężczyzn i pomścić Tunstalla. Był 18 lutego 1878 roku. Właśnie zaczynała się wojna w hrabstwie Lincoln.

Wyjęty spod prawa

Ustawodawcy – tak się nazwali. Przez bandę, której hersztem nie był wcale Billy Kid, lecz niejaki Dick Brewer, przewinęło się kilkudziesięciu kowbojów i ranczerów z amerykańsko-meksykańskiego pogranicza. Większość z nich, jak Doc Scurlock czy George Coe, parała się na przemian a to łamaniem prawa, a to ściganiem tych, którzy je łamią (Coe w odróżnieniu od Kida został ulaskawiony przez Wallace'a i dożył starości jako szanowany obywatel hrabstwa Lincoln). Wspólnicy Billy'ego Kida (wtedy posługiwał się już swoim prawdziwym nazwiskiem William Henry McCarty) nie zamierzali jednak działać jak bandyci. Umocowani prawem przez sędziego Juana Martinezę chcieli doprowadzić morderców Tunstalla przed sąd.

Jak bandyta zachował się za to szeryf Brady. Aresztował Martinezę i zamknął go w więzieniu. Następnie zwrócił się do ówczesnego gubernatora Nowego Meksyku Samuela B. Axtella o „pomoc w zduszeniu anarchii”. Axtell – łamiąc prawo – uznał, że John Wilson, kolejny sędzia sprzyjający Ustawodawcom, został powołany niezgodnie z prawem i musi odejść. W rezultacie tych kombinacji „w majestacie prawa stanowego” ściganie łotrów Evansa zostało uznane za nielegalne.

Ludzie Billy'ego Kida – już oficjalnie uznani za bandytów wyjętych spod prawa – natknęli się na Brady'ego 1 kwietnia w Lincoln. Szeryf wraz z zastępcą zginęli na miejscu. Trzy dni później Ustawodawcom udało się dopaść jednego z członków bandy Evansa – Andrewa Robertsa zwanego Śrutem. Już wtedy krążyły o nim legendy. Mówiono, że zabił więcej ludzi niż ospa, a słynne strzelanie z biodra było jego wynalazkiem. Wymuszonym sporą porcją śrutu



Dawna siedziba sądu w Mesilli, gdzie Billy Kid został skazany na śmierć. Dziś jest tu sklep z pamiątkami

(stad ksywka), który po jakimś postrzale tkwił w jego prawym ramieniu. Do spotkania Ustawodawców z Robertsem doszło przypadkowo w osadzie Młyny Blazera. Nie miał szans; zresztą w starciu z 14 uzbrojonymi po zęby kowbojami szans nie miałyby nawet ospa. Dick Brewer dał Robertsomu wybór – albo daje się aresztować (Ustawodawcy mieli nakaz), albo ginie. Następne minuty przeszły do historii jako jedna z najbardziej niesamowitych strzelanin w historii Dzikiego Zachodu. Śmiertelnie trafiony w pierwszych sekundach wymiany ognia (kulą przeszła biodro i utknęła w brzuchu) Roberts ranił trzech ludzi, zanim zdążył opróżnić magazynkę swojego winchestera. John Middleton dostał w płuco, Coemu urwało kiuk i palec wskazujący, a Scurlock zaliczył niegroźne drasnięcie. Udział Billy'ego Kida w tej strzelaninie zakończył się chwilę później. Słyszając, że ukryty za stodołą Roberts przeładowuje broń, wyskoczył, żeby go wykończyć. Nie wykończył. Trafiony szybkim prostym, który ranny kowboj wymierzył mu lufą winchestera, padł bez czucia na ziemię. Roberts zaś, uzbrojony dodatkowo w jednostrzałowy karabin Springfielda, zabarykadował się w stodole, skąd skutecznie się ostrzeliwał. Udało mu się zabić Brewera, a reszcie wybić z głowy dalsze ataki. Ustawodawcy wycofali się po dżentelmeńsku – wzywając doktora, by opatrzył ich przeciwnika. Roberston zmarł następnego dnia i został pochowany tuż obok Brewera. Nowym hersztem bandy został Frank McNab, a nowym szeryfem John Cope-land – człowiek, który sympatyzował z ludźmi Tunstalla. Wydawało się, że Billy'ego Kida i jego kolegów czekają lepsze czasy.

Jednak po śmierci Brady'ego w pościg za Ustawodawcami ruszył jego były zastępca George Peppin wspomagany nie tylko przez bandę Evansa, ale także przez Wojowników Siedmiu Rzek. To była dopiero zgraja. W czasie pokoju Wojownicy zajmowali się głównie kradzieżą bydła. Robili to w poczuciu całkowitej bezkarności, bo mieli w swoim składzie funkcjonariusza policji federalnej Boba Olingera i korzystali ze wsparcia dwóch innych zastępców

Brady'ego. O skali degeneracji tej bandy najlepiej świadczy to, że po zakończeniu wojny jej członkowie zaczęli się nawzajem likwidować. Fatalna reputacja tych ludzi nie przeszkodziła gubernatorowi Axtellowi dokonać jeszcze jednej korzystnej dla Dolana i Murphy'ego decyzji. Kolejna nielegalna decyzja i szeryf Cope-land podzielił los sędziów Martinezę i Wilsona – został usunięty. Jego miejsce zajął Peppin.

Pod koniec kwietnia do tej czterydołaczyla amerykańska kawaleria pod dowództwem pułkownika Nathana Dudleya. W czasie strzelaniny, do której doszło w Lincoln między Ustawodawcami a bandą biznesmena Dolana wspieraną przez wojsko, nikt nie zginął. Jednak już to, że ludzie Billy'ego Kida oddali strzał w stronę pozycji zajmowanych przez kawalerzystów, sprawiło, że Ustawodawcy narobili sobie wielu nowych wrogów. To był w zasadzie koniec wojny. W lipcu Ustawodawcy wspierani przez skrzykniętych doraźnie kowbojów z Meksyku zostali otoczeni w Lincoln, rozbici i zmuszeni do rozpięchnięcia się. Według litery prawa zwyciężyła sprawiedliwość – rzemieślnicy, złodzieje i mordercy z właściwej strony barykady.

Nagonka

Jesienią 1878 roku nowym gubernatorem został Lew Wallace. Od razu ogłosił amnestię dla gangsterów, na których nie ciążył żaden wyrok. Billy Kid miał wtedy bezpieczną kryjówkę w Teksasie. Nie miał szans na amnestię, ale napisał do Wallace'a list, w którym zaproponował złożenie zeznań w sądzie w zamian za gwarancję nietykalności. Wallace zgodził się na spotkanie. W marcu 1879 roku wspólnie ustalili, że Billy Kid daje się aresztować, zeznaje w sądzie, wychodzi na wolność i żaden stróż prawa już się go nie czepia. Faktycznie, trafił za kratki i złożył zeznania, dzięki którym udało się wsadzić Johna Dolana i pułkownika Dudleya. Mimo to na wolność nie wychodzi. Wręcz przeciwnie – dowiaduje się, że będzie sądzony. 17 czerwca – a więc po trzech miesiącach w areszcie, salwując się ucieczką na koniu podstawionym mu przez



Fort Sumner. Grób Billy'ego Kida i dwóch jego kompanów – Toma O'Folliarda i Charliego Bowdre'a. Nawet po śmierci trzymają ich za kratami

Billy Kid nie mógł wrócić do normalnego życia, więc wrócił do kradzieży bydła. Okradał głównie jednego ze swoich byłych mocodawców Johna Chisuma, który był mu winien żołd za służbę, ale nigdy mu nie zapłacił. Złodziei było w tym czasie w Nowym Meksyku wielu, lecz po zeznaniach złożonych w sprawie Dolana i Dudleya nikt nie miał tylu śmiertelnych wrogów co Billy Kid. „Dużą rolę odegrała w tym prasa, która była posłuszna władzy – wyjaśnia Marcelle Brothers. – Przedstawiała go w złym świetle, przypisywała mu czyny, z którymi nie miał nic wspólnego”.

Billy Kid podjął jeszcze jedną – ostatnią – próbę powrotu do normalności. Napisał do życzliwego mu prawnika, że chce się z nim spotkać i „wyprostować parę rzeczy”. Prawnika się zgodził, jednak do rozmowy nigdy nie doszło, głównie dlatego, że z niejasnych dziś powodów Billy przybył na spotkanie z sześciotygodniowym opóźnieniem.

W tym czasie (listopad 1880 roku) szeryfem hrabstwa Lincoln został Pat Garrett, doświadczony i ambitny rewolwerowiec, który dobrze znał Billy'ego Kida. Jego schwytanie było bezdyskusyjnym priorytetem Garretta; w zasadzie nie innego go wtedy nie obchodziło. Był o krok od realizacji tego celu 18 grudnia, gdy Billy Kid i jego współnicy (w tym przyjaciel Tom O'Folliard) wpadli w zastawioną przez niego zasadzkę. Wówczas jednak udało mu się tylko ciężko ranić O'Folliarda. Reszta uciekła. Garrett i jego ludzie zabrali rannego do szpitala wojskowego, ale nie było w tym tej szlachetności, którą dwa lata wcześniej wykazali się Ustawodawcy wobec konającego Roberta. Szeryf uciął sobie ze współnikami partyjkę pokera, przyglądając się, jak O'Folliard kona.

Proces i ucieczka

Billy Kid wpadł w ręce Garretta trzy dni później. Po trzech miesiącach spędzonych w różnych więzieniach stanął przed sądem w Mesilla – oskarżony o zamordowanie Williama Brady'ego i Andrewa Robertsa. Marcelle Brothers: „W tych zabójstwach brało udział kilkanaście

osób. Nikt nawet nie próbował ich łapać. Billy nie miał najmniejszych szans w tym procesie”.

Sędziemu nie przeszkadzał brak dowodów na to, że to oskarżony był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć szeryfa i rewolwerowca. „Sama ewentualność, że ten człowiek jest niewinny, to dla mnie zbyt blady powód, by wątpić w jego winę” – powiedział sędzia, skazując Billy'ego Kida na śmierć.

Świadkowie, którzy mogli zeznawać na korzyść oskarżonego, nie zostali dopuszczeni do głosu. A głównym świadkiem oskarżenia



Jak w westernie – czyli Pat Garrett i Billy Kid. Zdjęcie jest fotomontażem; obaj nigdy nie fotografowali się razem

był Bill Mathews, jeden z morderców Johna Tunstalla. Co jeszcze bardziej kuriozalne, ten sam Mathews znalazł się w składzie siedmioosobowej eskorty, która po rozprawie pilnowała Billy'ego Kida w drodze z Mesilla do więzienia w Lincoln.

Jeszcze zanim zapadł wyrok, Billy kilkakrotnie pisał do gubernatora Wallace'a, przypominając mu zawartą umowę. „Sądzę, że zapomniałeś pan, coś mi obiecał dwa lata temu. Ja pamiętam i myślę, że powinieneś pan przyjść i się ze mną zobaczyć, o co prosiłem. Zrobiłem wszystko, co obiecałem, a pan nie zrobiłeś nic, coś obiecał mi” – wypominał mu w liście wysłanym z więzienia 4 marca 1881 roku. „Po raz ostatni pytam, czy dotrzymasz pan obietnicy” – pisał trzy tygodnie później. Nigdy nie dostał odpowiedzi.

Billy Kid ważył niecałe 57 kilogramów przy wzroście 170 centymetrów – był więc niewiele grubszy od swojego winchestera. 28 kwietnia 1881 roku, nie czekając na wykonanie wyroku, wyswobodził się z kajdan, zaatakował nim strażnika, a potem zastrzelił go z odebranego mu rewolweru. Ten sam los spotkał chwilę później Boba Olingera – tego samego, który w czasie wojny w hrabstwie Lincoln zapewniał bezkarność Wojownikom Siedmiu Rzek. Olinger zginął zastrzelony ze swojej własnej dwururki. Z obu łuf naraz. Billy Kid znów był wolny. Nie uciekł jednak z Nowego Meksyku. Trzymał się okolic Lincoln.

Garrett nie zamierzał go łapać. Rozesłał za nim list gończy, oferując 500 dolarów za dostarczenie Billy'ego Kida żywego lub martwego. Interesowała go wyłącznie ta druga opcja.

Billy wpadł 14 lipca w Fort Sumner. Ze wspomnień spisanych przez ghostwritera Garretta wynika, że do ich spotkania doszło przypadkowo i Billy Kid, który nagle wszedł do ciemnego pokoju w domu swojego znajomego, nie rozpoznał szeryfa. „Kto tam? Kto tam?” – pytał po hiszpańsku, cofając się i odruchowo sięgając po rewolwer. Garrett nie przedstawił się; strzelił dwukrotnie, już za pierwszym razem trafiając Billy'ego Kida prosto w serce.

Mniej bohaterska wersja (ale równie dobrze udokumentowana) mówi jednak co innego. Garrett związał przyjaciółkę Billy'ego Kida i schował się za jej łóżkiem. Kiedy ten przybiegł ją ratować, nie miał przy sobie rewolweru. Zginął bezbronny jak dziecko.

To był szczyt sławy Pata Garretta. Szeryf hrabstwa Lincoln nigdy nie zainkasował nagrody, którą sam w imieniu rządu wyznaczył za głowę Kida. Ale przynajmniej umarł jako porządny obywatel. Jak Olinger, Axtell, Brady czy Mathews.

Gubernator Bill Richardson jeszcze nie podjął decyzji. Jeszcze się zastanawia. „Uważam, że ulaskawienie Billy'ego Kida byłoby tylko propagandowym gestem” – przekonuje mnie Kathy Weiser-Alexander.

A może przyniesieniem, że historia Dzikiego Zachodu jest trochę bardziej skomplikowana niż legendy o nim? □



PATRIOTA IRONISTA

O dorastaniu w dziurach od kul, pierwszym kupowaniu flagi i pomyśle, żeby w piłkarskiej reprezentacji Niemiec grał blond pluton egzekucyjny,
z **Robertem Górskim** rozmawia Robert Mazurek

Od lat odgrążasz się, że napiszesz scenariusz filmu o powstaniu warszawskim.

- Bo napiszę. I nawet zrealizuję ten film.

Jak się będzie zaczynał?

- Kibice Legii świętują na Starówce mistrzostwo Polski. Dochodzi do zadymy z policją i kilku kibiców uciekających przed pałkami schodzi do kanałów i wychodzi w realiach powstania warszawskiego.

I co dalej?

- Walczą oczywiście, a co mają robić? Sam zadaję sobie pytanie, jak bym się zachował, gdybym był tym kibicem.

To co byś zrobił?

- Strzelałbym do Niemców, a jednocześnie - przekrzykując świst kul - starał się przekonać naszych, że warto negocjować warunki poddania się, żeby ocalić ludzi. Choć wiem, że zostaliby to odebrane jako tchórzostwo, więc pewnie bym się na to nie zdobył.

Sam się śmiesz ze swojej koncepcji strategicznej.

- To prawda.

A skąd to zainteresowanie powstaniem?

- Bo jestem varsavianistą z zamiłowaniem i na starość będę oprowadzał wycieczki po mieście. A poza tym wydaję tomik wierszy i napiszę kilka piosenek o Warszawie. Jak słucham T.Love o powstaniu czy nawet o zielonym, pieprzonym Żoliborzu, to się wzruszam. To mój lokalny patriotyzm, który jest częścią mojego patriotyzmu ogólnego.

Chodzisz po mieście i...

- ...zawsze zatrzymuję się przed jakimiś tablicami, których nie zdążyłem przeczytać, wyobrażam sobie te barykady, które stały, te ważne dla powstania miejsca.

Budynek Pasty?

- No ba, największy sukces powstania! Dzięki jego zdobyciu powstańcy kontrolowali znaczną część okolicy. Ile razy przechodzę koło ulicy Wareckiej, koło wjazdu do kanałów, którymi ewakuowano Starówkę, myślę o tym.

Ale do chodzenia kanałami cię nie ciągnęło?

- No nie. Aż takiej odwagi nie mam.

Pomyśleć, że kiedyś chciałeś przejść od siebie z Pragi do mnie. Dałoby się?

- Pewnie tak, ale głupio byłoby pobyć i zamiast na Mokotów trafić gdzieś na Wolę, i nadłożyć drogi.

Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś: „Mokotów? Hm, piękna powstańcza karta...”

- No tak, moja Praga nie miała takiej historii. Powstanie skończyło się po trzech dniach. Ja całe życie mieszkam na Pradze, coraz bliżej Wisły, bo urodziłem się na Bródnie, potem mieszkalem na Targówku, teraz mieszkam niedaleko zoo, ale linii Wisły nie przekroczę, tak jak Sowietom nie przekroczyli jej w sierpniu 1944 roku.

Mieszkasz na Pradze, bo tam najfajniej?

- Mieszkam, bo wtedy możesz przejechać się przez Wisłę, a ty na Mokotowie nawet nie zdajesz sobie sprawy, że przez nasze miasto płynie rzeka.

Coś słyszałem. Nawet przedszkole córki zamknęli ze względu na zagrożenie powodziowe.

- Przecież mieszkasz daleko od Wisły.

Ale i tak pod skarpgą. Kiedy ci przyszło do zainteresowania historią?

- W wolnej Polsce, razem z zainteresowaniem polityką, tym, co się dzieje, odkryłem, że nic nie

wiem o historii, i zacząłem ją zgłębiać. Wciągnęło mnie do tego stopnia, że gdybym nie poszedł na polonistykę, to studiowałbym historię. A że wychowałem się wśród śladów po kulach, więc siłą rzeczy interesowałem się, kto te dziury porobił. I stąd doszedłem do powstania.

Byłeś w muzeum?

- Oczywiście! Ja jestem zwiedzaczem starego typu i najbardziej podoba mi się oglądanie zdjęć. To fascynujące, kiedy można przyjrzeć się z bliska twarzom powstańców, to robi wielkie wrażenie. Widać zresztą, jak zmienia się wyraz ich twarzy - na początku sierpnia widzimy twarze radosne, oblicza ludzi, którzy nie mają poczucia, że idą na śmierć, ale im później, tym te twarze stają się nie tylko bardziej udrażnione, ale i posępne, zrezygnowane. To w ogóle jest duże wrażenie estetyczne.

Mianowicie?

- Uśmiechnięci młodzi ludzie, słońce, piękna, rozświetlona Warszawa - świat, którego już nie ma.

To byli bardzo młodzi ludzie.

- Bo wojna to sprawa młodych ludzi. Byłem też na cmentarzu w Krośnie i wszyscy żołnierze Września, którzy tam leżą, to chłopaki w wieku od 18 do 23 lat. Z mojej perspektywy dzieciaki...

Warszawscy poeci mieli tyle samo.

- To prawda, Baczyński - 23 lata, Gajcy był o rok młodszy... Zresztą Baczyński to mój ulubiony bohater powstania, zginął trzeciego dnia walk, w ratuszu, kiedy jeszcze wszystko wydawało się możliwe.

Bo mimo straszliwej dysproporcji sił na początku powstańcy odnosili pewne sukcesy.





→ – Przez pierwszy tydzień, zanim Niemcy podciągnęli odwody, rzeczywiście nie było tak źle. Ludzie po raz pierwszy od 1939 roku zobaczyli polskie flagi wiszące na domach, było co jeść i liczono, że powstanie lada dzień skończy się sukcesem. W końcu alianci albo Sowietci zrobią coś, żeby Warszawa była nasza.

Zadajesz sobie pytanie o sens powstania?

– Trudno tego nie robić, gdy 85 procent miasta uległo zagładzie, a 200 tysięcy ludzi zginęło.

Nawet jeśli to było 120 tysięcy, jak twierdzi Andrzej Kunert.

– Militarnie tak czy owak nie miało to żadnego sensu. Oczywiście nie można zakładać, że ci, którzy powstanie wywołali, wiedzieli, jak to się skończy, ale ocena jest taka, że podjęli błędną decyzję. Na ile za nią odpowiadają, czy mogli to wszystko przewidzieć – nie wiem, to bardzo ważne pytanie. Zakładam, że liczyli na pozytywny rozwój wypadków, na powtórkę scenariusza z 1918 roku, kiedy Niemcy poddawali się na ulicach każdemu i byli masowo rozbrajani.

Poza tym liczyli na odsiecz ze wschodu.

– Zapewne sądzili, że po tych kilku dniach wywiesi się flagę nad miastem i przywita wkraczających do niego Sowieci. Niestety, nie było na to żadnej szansy. Co prawda stały tu czołgi, ale przecież nie było decyzji politycznej.

I to mimo że Radio Moskwa wzywało do powstania.

– Stalin mógł pstryknąć palcem i zdobyć Warszawę, ale wołał przyjąć starą taktykę, żeby jego wrogowie się wykrwawili. Czasem dosłownie. Niesamowita jest ta historia z wybuchem czołgu pułapki na Kilińskiego, w którym 13 sierpnia zginęło ponad 300 osób, jeszcze więcej było rannych, a fasady domów po drugie piętro były zachlapane krwią i wnętrznościami.

Przez lata podawanie w wątpliwość sensu powstania...

– ...było przyłączaniem się do propagandy komunistów. Mówiąc to, stawałeś tam, gdzie stało ZOMO, to prawda.

Teraz można to mówić spokojnie. Z drugiej strony mit powstania jest jednym z najważniejszych polskich mitów.

– Zgadza się, ale warto sobie uświadomić, że tam zginęła prawdziwa polska elita intelektualna, całe pokolenie poetów. Jak się rozmawia z ludźmi, którzy przeżyli powstanie, widać, że to nie są banalne osobowości. Oni mogli zrobić dla kraju więcej, niż zginąć w powstaniu, mogli założyć inny mit.

Są poważni historycy, którzy uważają, że gdyby nie 1944 rok, to powstanie wybuchłoby w 1956 roku i byłoby krwawsze niż w Budapeszcie.

– Może, ale to chyba tylko szukanie pozytywnych powstania. Takie tworzenie alternatywnej wizji historii jest nieuprawnione, nie wiemy, co by się stało. Ale rzeczywiście, mówiąc po piłkarsku, latem 1944 roku znaleźliśmy się z Niemcami i Sowietami w grupie śmierci. A w takiej grupie trudno się wygrywa...

Kibicowałem Niemcom na mundialu. Trochę żałuję, że w ich drużynie już nie ma esesmanów, a coraz więcej Murzynów z dredami

ROBERT GÓRSKI

No tak, ale jednocześnie krytykujesz sens powstania.

– To prawda.

Więc mieliśmy przegrać walkowerem?

– Może lepiej przegrać walkowerem 0:3 niż w meczu 0:12? Nie wiem, całe miasto, całe pokolenie...

Wolałbyś być Czechem? Pytam serio.

Oni po bitwie pod Białą Górą w 1620 roku

na następny zryw zdecydowali się w 1942 roku, zabijając Heydricha.

– Stoimy zawsze w rozkroku między chłodną kalkulacją, myśleniem racjonalnym a pięknym, romantycznym zrywem. Lubimy o sobie myśleć, że jesteśmy może mało racjonalni, ale za to jakże odważni. Oczywiście wiem, że młodzi ludzie nie zawahali się oddać życia za wolność, za Polskę, i dziś to się wydaje nieprawdopodobne. Trudno jednak nie myśleć o cenie, którą zapłaciliśmy za ten zryw. Gdzieś czytałem porównanie, że to tak, jakby codziennie przez dwa miesiące odbywał się zamach na World Trade Center.

W mieście dziesięciokrotnie mniejszym niż Nowy Jork.

– To oddaje niesamowitą skalę tego, co się stało.

Więc o powstaniu myślisz bardzo krytycznie?



Robert Górski, 39 lat, współtwórca i autor skeczy Kabaretu Moralnego Niepokoju. Skecze nie tylko pisze, ale też sam w nich występuje, najczęściej jako monologujący z kolegą przez komórkę Badył, ambitny intelektualnie menel Romek i pan Karol w barwny sposób wypowiadający się na temat płci pięknej. Słynie nie tylko z poczucia humoru i zainteresowania historią, ale także z sumienności. Oddając głos koleżance z KMN: „Stachanowiec, zapędzający do intensywnej pracy, dyktator, ale miły”. **Pisał scenariusze między innymi Mazurskiej Nocy Kabaretowej i kabaretów podczas Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu.** Od 2009 roku wraz z Marcinem Wójcikiem prowadzi Kabaretowy Klub Dwójki (TVP2).

– Tak je oceniam na chłodno, ale kiedy 1 sierpnia zawyją syreny, znowu się wzruszę. To niesamowity widok, kiedy patrzysz na młodych warszawiaków z flagami, w koszulkach z symbolami powstania. To najbardziej młodzieżowy budulec naszego patriotyzmu, w czym wielka zasługa Muzeum Powstania Warszawskiego.

Powstanie trafiło do popkultury.

– Powstańcami byli młodzi ludzie, tak jak dzisiejsi odbiorcy popkultury, więc można tak do nich trafić. Płyta Lao Che „Powstanie warszawskie” jest kapitalna.

A widziałeś teledysk do „Uprising” Sabatonu?

– Chętnie zobaczę.

To zrobimy przerwę. No i?

– Bardzo ładny wizualnie teledysk.

Wzruszyłeś się.

– Oczywiście, bo to jest cholernie wzruszające.

Więc nie chodzi tylko o estetykę, ale też o to, że powstanie niesie ze sobą silny ładunek emocji.

– Bo to jest ciągle żywe, mamy nie tylko ślady po powstaniu, ale i powstańców, którzy bardzo pięknie o tym wszystkim opowiadają. W końcu to wydarzenie bez precedensu w historii całej II wojny światowej, żeby powstało całe miasto, które zresztą w wyniku tego aktu zostało całkowicie zniszczone.

Próbujesz to racjonalnie wytłumaczyć, ale skoro nawet taki sceptyk i ironista jak ty się wzrusza, to znaczy, że ta tradycja jest żywa w tobie, nie w 90-letnich powstańcach.

– Rzeczywiście, to wszystko przemawia do wyobraźni chyba każdego Polaka.

Sabaton pokazuje, że nie tylko Polaka.

– Bo w tej tragedii jest – mówiąc metaforycznie, i nie tylko – słońce. To nadaje powstaniu wymiar greckiej, uniwersalnej tragedii. To był zryw młodych, co bardzo pasuje do estetyki rocka.

Mnie Sabaton – w końcu to cudzoziemcy

– przywołuje na myśl te desperackie próby pomocy powstańcom, zrzucania broni.

W końcu pilotami też często nie byli Polacy, to nie było ich powstanie.

– A propos tych zrzutów – na wakacje jeździłem pod Węgrów, do dziadka, który miał sklepik, do którego się przechodziło przez rów. Nad rowem był mostek z fragmentu samolotu, który gdzieś tam się rozbił. Być może był to jeden z tych, które leciały Warszawie z pomocą? Tam zresztą pamiętałem po okupacji było więcej, bo psy na podwórzu jadły z niemieckich helmów.

Naprawdę?

– Nawet chciałem później wziąć jeden na pamiątkę, ale przerdzewiał.

Nie dla mnie przyjaźń polsko-niemiecka, a Niemców nienawidzę od dziecka”

– śpiewał Maleńczuk. Ty też się z nich nabijasz.

– Mój stosunek do nich się zmienia. Poznałem się ze Steffenem Möllerem, który śmieje się

z dowcipów o Niemcach, kibicowałem im nawet na mundialu. Trochę żałuję, że w ich drużynie już nie ma esesmanów, a coraz więcej Murzynów z dredami.

Z dredami nie ma, choć jest kolega z Ghany.

– Jest też Arab, czarny Brazylijczyk i Polacy. Brakuje mi tego blond plutonu egzekucyjnego. Może nie maszerującego pod moim domem, ale na boisku czemu nie?

Rozumiem tę perwersyjną przyjemność.

Wywieszasz flagę 1 sierpnia?

– Teraz tak, bo kupilem niedawno, po tragedii smoleńskiej. Wywiesiłem ją wtedy i od kwietnia z okazji każdego święta na moim balkonie jest flaga.

Bo?

– Nastąpił we mnie gwałtowny przypływ patriotyzmu i postanowiłem to jakoś zmanifestować. I choć to nie był mój ulubiony prezydent, to kupilem flagę i poszliśmy na Krakowskie Przedmieście.

Organizujemy z wysiłkiem wybory, czynimy wszystkie starania, a potem możemy stracić prezydenta w taki sposób, by później wygrzebywać go z błota we mgle?!

ROBERT GÓRSKI

Byliście pod Pałacem Prezydenckim?

– Kilka dni po katastrofie były tam tak wściekłe tłumy, że nigdy byśmy się tam nie dopchali, zwłaszcza że byliśmy z synem, więc zapaliliśmy znicze, zresztą razem z mnóstwem osób, pod krzyżem papieskim na placu Piłsudskiego.

To były tylko emocje?

– Chciałem oddać hołd, zaznaczyć swój patriotyzm w miejscu, które wtedy było dla Polaków najważniejsze. To było oczywiste.

Odruchy są oczywiste.

– Pamiętam, jak byłem u rodziców po zamachu na World Trade Center i ojciec zupełnie spon-tanicznie zapędził nas do pacierza, bo jak dzieje się tragedia, to trzeba zareagować. Skala tego wszystkiego, co się działo, była porażająca. Dlatego tym bardziej mnie wkurza słabość naszego państwa.

To znaczy?

– Organizujemy z wielkim wysiłkiem wybory, czynimy wszystkie starania, a potem możemy stracić prezydenta w taki sposób, by później wygrzebywać go z błota we mgle?! Bo nie potrafimy zadbać o głowę państwa?

To jest w tobie ciągle żywe?

– A co dzieje się teraz? Co chwila podrzucane są jakieś fragmenty stenogramów, poszczególne słowa, zdania powiedziane w nie wiadomo ja-

kim kontekście, nie wiadomo, o czym one mają świadczyć, to niczego nie wnosi do sprawy... I nikt nie powie, że skoro pilot nie popełnił błędu, samolot był sprawny i oczywiście Rosjanie nie są winni, to znaczy, że ten samolot musi latać do dzisiaj.

Nie ma bzdury, której nie można powiedzieć, a pisarze i piosenkarki uwierzą we wszystko.

– Z okazji tej katastrofy wylało się jakieś morze głupoty, i to z każdej strony. Z jednej strony ci ludzie krzyczący o zamachu, z drugiej często bardzo poważni ludzie zapewniający, że prezydent Kaczyński stał za pilotem i krzychał: ląduj, dziadu!

Jeszcze chwila i wystąpisz

w remake’u „Solidarnych 2010”.

– W „Solidarnych 2010” nie wystąpiłem, tak samo jak nie wystąpiłbym w filmie „Liberalni 2010”.

Patriotyzm to chyba nie jest temat na kabaret, prawda?

– Od dwóch lat robimy z kabaretem program na 11 listopada pod tytułem „Kabaretowa noc listopadowa” i bardzo mnie ucieszyła opinia internauty, że to najbardziej patriotyczny program, jaki oglądał w telewizji. To jest właśnie manifestacja naszego patriotyzmu, tyle że podanego we właściwej nam formie.

Nie boisz się demonów patriotyzmu?

– Demonów patriotyzmu?! A co to znaczy?

Grzegorz Miecugow obawiał się, że po katastrofie smoleńskiej eksplodują demony patriotyzmu.

– To chyba jakiś oksymoron? Rozumiem jeszcze demony nacjonalizmu, ale patriotyzm jest tak pozytywnym uczuciem i słowem, że nie da się go zestawiać ze słowem „demon”.

Może dla niektórych nie jest to oczywiste.

– W takim razie to albo błąd językowy, albo idiotyzm. Ja myślę, że jestem strasznym patriotą. Wiesz, mam małego syna i chciałbym, żeby Antek też się trochę rozkochał w historii.

A jak zostanie kaczyzta? Twoja żona tego nie przeżyje.

– Nawet jak zostanie kaczyzta, to nie będzie „używał języka agresji”, tylko będzie polskim patriotą (*śmiech*). Zresztą moja żona, zagorzała antykaczyzta, jak widzi Palikota i Niesiołowskiego, to przełącza program, bo ich tak szczerze nie znosi. A wiesz, że mnie nazywają kaczyzta?

Jakby co, mogą zdementować.

– Mamy w kabarecie skecz o posiedzeniach rządu, gdzie gram Tuska, więc czasem słyszę później o sobie, że jestem pisowcem.

Jak się śmiałeś z Kaczyńskiego, to nie wyrzucali ci, że jesteś platformersem?

– Jakoś nie, zresztą wtedy wszyscy się śmiali.

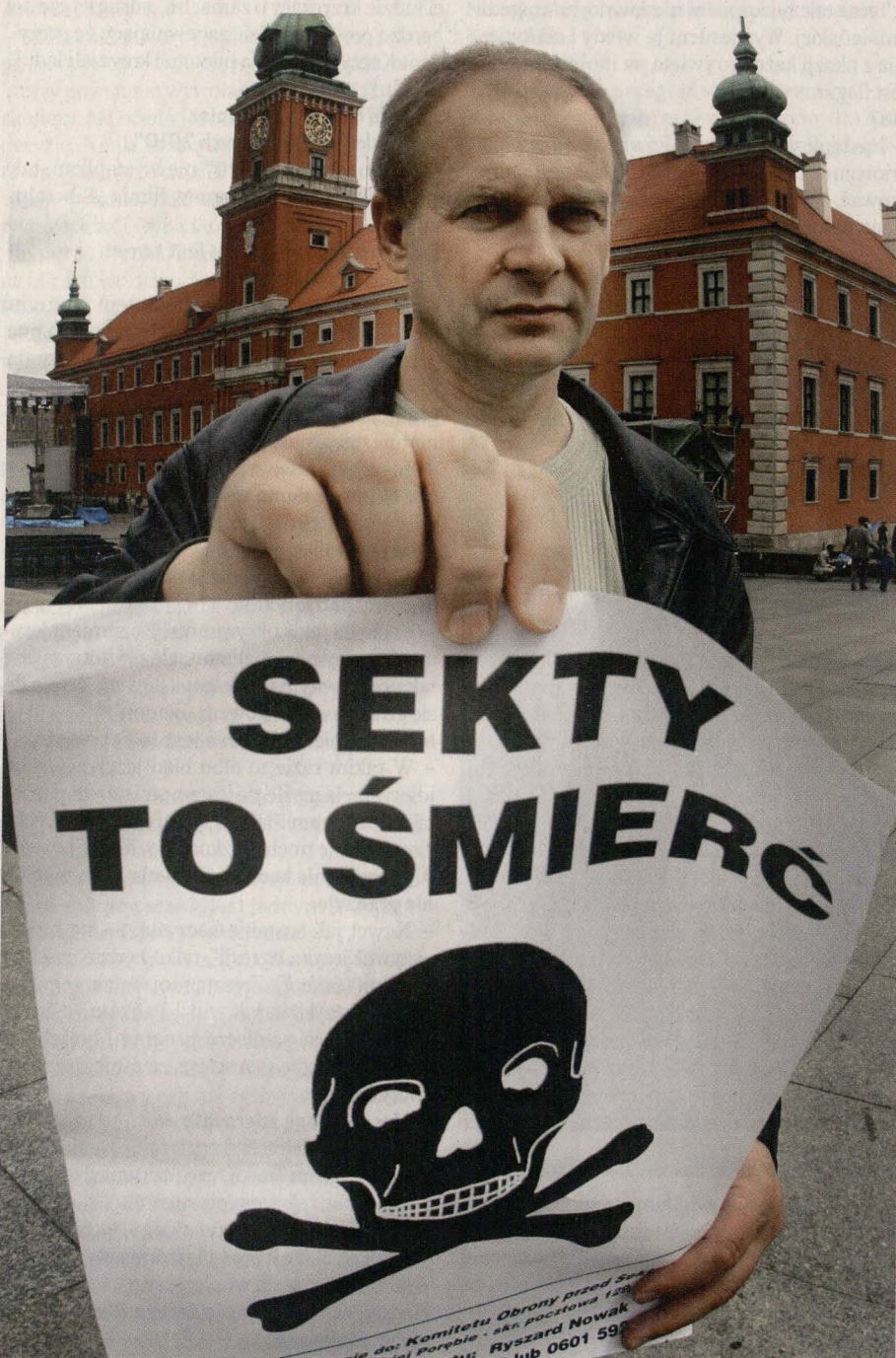
No tak, stara opinia, że żarty z Platformy nie są śmieszne.

– Też ją słyszałem, ale ludzie na naszych koncertach z tego skeczu o posiedzeniu rządu się śmieją.

Boży wojownik

Kiedyś zasłynął z „Lata bez sekt”, teraz marzy mu się lato bez Dody. **Ryszard Nowak**, były poseł na Sejm RP, ma wprawę w zatrutowaniu życia celebrytom

ŁOWCA GWIAZD ANNA SZULC, IGOR RYCIAK



Gdyby nie upadek komuny i odpływ turystów rodem z NRD, Nowak prawdopodobnie nigdy nie zająłby się walką z sektami. Teraz stały się one jego obsesją

APEL O NATYCHMIASTOWE ODWOŁANIE KONCERTÓW „bluźnierczej” Dody otrzymał w ciągu ostatnich tygodni między innymi władze Białegostoku, Kluczborka, Lublina i gminy Nędza. O co poszło? Gwiazdka naraziła się Nowakowi rok temu, gdy oświadczyła, że trudno jej uwierzyć w Biblię, czyli w coś, „co spisał jakiś napruty winem i pałacy jakiegoś zioła”. Dlatego przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami w Szklarskiej Porębie, jak też radny powiatu jeleniogórskiego, kiedyś recepcjonista i przewodnik po górach, złożył na celebrytkę doniesienie do prokuratury. Ta nie pozostaje mu dłużna. Pod koniec lipca do Sądu Rejonowego w Warszawie trafił prywatny akt oskarżenia Dody, w którym piosenkarka zarzuca Nowakowi, że próbuje zniszczyć jej karierę, narusza jej honor i naraża na poniżenie. Wymiana ciosów trwa w najlepsze – w sądzie i poza nim.

To zresztą nie pierwsze takie starcie z udziałem Nowaka. Przypomnijmy: w 2008 roku zażądał śledztwa wobec obecnego partnera Dody – lidera metalowego zespołu Behemoth, bo ten podarł Biblię na koncercie, a w swoich ciężkich pieśniach słał pogromców świętego Wojciecha.

Ryszard Nowak musiał więc sam zamienić się w pogromcę artystów, czemu najchętniej oddaje się w wakacje, bo w pozostałych miesiącach ma sporo innych zajęć. Na przykład wygłasza prelekcje w szkołach, bo te od lat uznają go za fachowca od sekt. Na pogadanki o zagrożeniach płynących ze strony nowych ruchów religijnych najczęściej zapraszają go dyrektorzy gimnazjów (i trudno im się dziwić, skoro w portalu edukacyjnym www.szkolnictwo.pl Nowak wciąż przedstawiany jest jako ekspert od kultów). Zapraszają go również na spotkania naukowe znanymi polskie uniwersytety. Pod koniec ubiegłego roku miał swoją obecność na uświetnieniu konferencji naukowej zatytułowanej „Sekty – wolność czy zniewolenie?”, którą zorganizowała... Katedra Prawa Karnego i Polityki Kryminalnej Wydziału Prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ale z powodów zdrowotnych nie dojechał.

Cel namierzony

Poza sektami rozrzuć nowych wrogów Nowak ma spory – od wspomnianych Dody i Nergala po Madonnę i Chicka Coreę. – Historycznie rzecz ujmując, wszystkiemu winien jest kryzys turystyczny, jaki dopadł Sudety po upadku komuny – wzdycha jeden z jeleniogórskich radnych, który prosi o anonimowość. Bo gdyby w Sudetach nadal bawiły wycieczki z NRD, a takie najczęściej oprowadzał kiedyś absolwent technikum hotelarskiego Ryszard Nowak, być może nie przyszłoby mu do głowy, by na ziemiach zachodnich zapisać się – z braku pracy – do Unii Pracy. A potem z ramienia partii, już jako poseł w latach 1993–1997, walczyć z innowiercami. – No cóż, w parlamencie był posłem drugiego szeregu – wspomina profesor Tomasz Nałęcz, we wspomnianych latach po-

seł klubu Unii Pracy. – Ale był ambitny. Uparcie szukał tematu, który przyniosłby mu rozgłos.

W lewicowej z ducha partii coraz bardziej skrajne – z ducha prawicowe – poglądy Nowaka budziły sporą konsternację. Według Nałęcza walkę z sektami posłowi doradził specjalista od PR. – Nieprawda, po prostu znalazłem cel w życiu, któremu postanowiłem bez reszty się poświęcić – mówi „Przekroju” Nowak. – A wszystko zaczęło się od tego, że zgłosiły się do mnie dwie nauczycielki. Ich synowie trafili do sekt, więc poprosiły mnie o pomoc.

Nauczyciel prokuratorów

Z czasem Ryszard Nowak, który z kariery politycznej musiał zrezygnować, gdy UP nie dostała się do Sejmu, wyrósł na guru ośrodków antysekciarskich. Sprzyjał mu czas i klimat wokół rozwijających się jak nigdy dotąd alternatywnych kultów. Atmosferę podgrzewały doniesienia o hermetycznej wspólnotcie Niebo, której założyciel Bogdan Kacmajej podejrzewany był o najgorsze zbrodnie, z mordowaniem noworodków włącznie. Nikt nie chciał już słuchać naukowców, którzy – tak jak znany krakowski religioznawca, profesor Zbigniew Pasek – próbowali uświadomić Polakom, że sekty z gruntu destruktywne to margines. I że zarówno polska konstytucja, jak i Europejska Konwencja Praw Człowieka gwarantują wolność sumienia i wyznania, a większość nowych ruchów religijnych działa w naszym kraju legalnie.

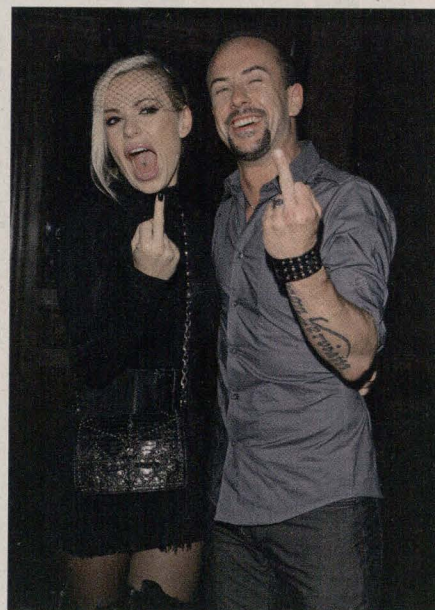
Nowak też nie słuchał tych argumentów. Co roku organizował akcję „Lato bez sekt”, drukując – zazwyczaj charytatywnie – tysiące ulotek rozpowszechnianych na koloniach i obozach. W końcu uznano go za specjalistę numer jeden. Z jego wiedzy i doświadczenia chcieli korzystać strażnicy miejscy, na przykład z Poznania. Słuchały go z uwagą sądy, w których występował jako dyżurny sprawca czynów godzących w uczucia religijne. Przez pewien czas szkolił nawet prokuratorów.

Trafił na żyzną glebę – uważa profesor Zbigniew Mikołajko, kierownik Zakładu Badań nad Religią w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. – Większość urzędników od czasu nastania wolnej Polski w gruncie rzeczy podzielała, a zdarza się, że nadal podziela, przekonanie ludzi pokroju Nowaka, że wszystko, co nie opiera się na fundamentach katolicyzmu, jest groźne.

Dowód? W 2000 roku, pod koniec urzędowania, rząd AWS powołał Międzyresortowy Zespół do spraw Nowych Ruchów Religijnych, który miał rozpoznać zagrożenia czyhające na Polaków ze strony sekt (przeznaczony po przejęciu władzy przez SLD). Co ciekawe jednak, zespół (nigdy nie skorzystał z usług Nowaka) przygotował raport, z którego wynikało, że w latach 90. członkowie w sumie 300 nowych ruchów religijnych popełnili łącznie... 13 przestępstw. Raporty Nowaka mówiły tymczasem o ponad tysiącu przestępstwach i zagrożeniach. Nijak przystając do rzeczywistości dane sprawiły w końcu, że większość katolickich ośrodków informacji o sektach, w tym

również najsłynniejsze z nich, dominikańskie, zdystansowała się od jego działalności. Przelom nastąpił, gdy w kręgu jego podejrzeń znalazł się Jurek Owsiak. Oliwy do ognia dołączyła wypowiedź Nowaka dla „Przekroju” (32/2006), w której oskarżał on twórcę WOŚP o sprzyjanie satanistom.

Osamotniony wojownik rozszerzył więc swoją pasję – stworzył rejestr groźnych kapel. Czarna lista zespołów metalowych sławiących szatana po raz pierwszy obiegła kraj w 2007 roku. Listę szybko podchwyciły media i... urzędy. Na łamach „Metra” Joanna Dębek, rzecznicz-



Diabelska Doda i szatański Nergal często mają podobne zdanie

ka Ministerstwa Sprawiedliwości, przyznawała, że raport przyda się jej resortowi. Z kolei pracownicy białostockiego magistratu zachwycali się listą, głosząc, że dzięki niej będą mogli łatwo zidentyfikować niebezpiecznych muzyków.

Co ciekawe, część artystów też przyjęła listę z radością. Na przykład zespół KAT uznał to za wyjątkowe wyróżnienie. – I nic w tym dziwnego – uważa nasz redakcyjny kolega, dziennikarz muzyczny Jarek Szubrycht. – O muzykach blackmetalowych nikt nie chce mówić w mediach, nie chce pokazać teledysku, puścić piosenki. Co jakiś czas jednak z odsieczą przychodzą im tacy ludzie jak pan Nowak, którzy najmroczniejsze tajemnice undergroundu wywlekają na pierwsze strony gazet, dzięki czemu przybywa publiczności na koncertach.

Nie zawsze jednak muzykom było do śmiechu. W 2007 roku, po protestach Nowaka, odwołano w Łodzi i Katowicach koncerty szwedzkiej grupy Dark Funeral. W 2009 roku, przed koncertem rapera Pei, Nowak w liście do burmistrza Olkusza zagroził, że zorganizuje pikietę. Urzędnicy ulegli, koncertu nie było. Było za to odszkodowanie dla Pei.

W tym samym czasie były parlamentarzysta wslawił się jeszcze głośnym, choć tym razem

nieskutecznym, protestem przeciw koncertowi światowej sławy jazzmana Chicka Corei w Białym Białej. Powód? Corea należy do Kościoła sekcjonistycznego.

Niebezpieczeństwa czyhające na miłośników talentu wirtuoza z Ameryki to jednak nie w porównaniu z tym, jak groźna wydaje się Nowakowi nasza swojska Doda i jej partner Nergal. Tego ostatniego Ryszard Nowak nazwał nawet publicznie przestępcą. Adam Darski nie wezwał na pomoc szatana, tylko grzecznie poszedł do sądu. Ostatecznie Sąd Okręgowy w Gdańsku nakazał Nowakowi przeproszenie muzyka (Nowak złożył zażalenie, sprawa jest w toku). W czerwcu bieżącego roku gdański sąd uznał z kolei, że Nergal, śpiewając pieśń o świętym Wojciechu, jedynie „wyraża swój krytyczny stosunek do wiary chrześcijańskiej”.

Jednak kilka tygodni wcześniej prokuratura w Gdańsku oskarżyła Nergala o obrazę uczuć religijnych. Tym razem – jak chciał tego Nowak – za podarcie Biblii. W sukurs dawnemu parlamentarzysty przyszli nieoczekiwanie posłowie Prawa i Sprawiedliwości, między innymi Jolanta Szczypińska. Politycy zdecydowali się oddać sprawę przeciw Nergalowi do prokuratury, bo publicznie uznali, że... Ryszard Nowak „nie może się doczekać sprawiedliwości”.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby muzyk został uznany za winnego, choć Biblia, podobnie jak każda inna księga, nie znajduje się w Polsce pod żadną szczególną ochroną – uważa profesor Mikołajko. – Z jednej strony konstytucja zapewnia artystom swobodę wypowiedzi, z drugiej mamy dość mętnej 196. artykułu kodeksu karnego, który zakazuje obrażania uczuć religijnych, czego przecież nie sposób racjonalnie wymierzyć – dodaje.

Jego zdaniem polskie prawo stoi w sprzeczności z orzeczeniami instytucji europejskich, które stanowią, że członkowie wspólnoty religijnej muszą tolerować negowanie przez inne osoby ich przekonań, nawet jeśli wiąże się to z głoszeniem poglądów wrogich ich wierze.

Polowanie na czarownice

Ryszard Nowak zapewnia dziś, że ani Dodzie, ani innym gwiazdom estrady, które szargają świętości, nie zamierza odpuścić. – Moją misją jest usunięcie zła z życia publicznego – podkreśla. W wakacje planuje zorganizowanie jeszcze kilku protestów, choć ostatnio jego akcje kończyły się jedynie na zapowiedziach pikiet. Powód?

Nowaka coraz częściej przerastają koszty wypraw protestacyjnych. – Pomagają mi byli członkowie sekt, z którymi poznałem się w przeszłości – wyjaśnia. – Czasem jednak brakuje nam pieniędzy nawet na benzynę.

A proces z Dodą o naruszenie jej honoru i poniżenie? Nowak wcale nie ukrywa, że bardzo chętnie zobaczyłby piosenkarkę w upokarzającej ją sytuacji. Oczyami wyobraźni już widzi, jak sprząta za karę śmieci na ulicy. O tym właśnie marzy Ryszard Nowak, śledząc w te wakacje każdy ruch Dody festyn za festynem. □

PLUTONOWY OLIVER

Najwybitniejszy socjalista Hollywood Oliver Stone od lat prowadzi krucjatę przeciw amerykańskim elitom. Tym razem poszedł na całość – gloryfikuje Hugo Cháveza i atakuje żydowskie lobby w USA

LEWICOWIEC MACIEJ JARKOWIEC

WNĘTRZE. BIAŁY DOM. NOC

Prezydent George W. Bush siedzi na kanapie i ogląda mecz baseballu. Pokój rozświetla tylko ekran telewizora. Bush zajada precelki z wielkiej paczki. Jeden za drugim. Karmi nimi siedzącego mu na kolanach psa. Na ekranie zawodnik odbija kijem piłkę. Ta wzbija się wysoko w niebo. Gracz przeciwnej drużyny biegnie przez boisko, aby ją złapać. To Bush. Jest w garniturze, a trybuny stadionu są nagle puste. Bush dobiega do bandy i ustawia się w odpowiedniej pozycji, aby złapać piłkę. Ale ta nie spada. Bush patrzy beznadziejnie w niebo. Jest błękitne i puste. Bush nie może dostrzec piłki. Koniec.

Ostatnia scena „W.” Olivera Stone’a z 2008 roku. Czego szukał na niebie grany przez Joshua Brolina były prezydent USA? Czy tylko piłki? Może broni masowego rażenia, której nie znalazł w Iraku? Może odpowiedzi, jak rządzić, jak żyć? Ale piłki nie ma, tak jak nie ma kibiców na trybunach. Cały mecz jest tylko fantazją. Stone pokazuje człowieka, który błądzi, traci kontakt z rzeczywistością. To stały motyw jego twórczości. Błądził prezydent Richard Nixon („Nixon”, 1995), gwiazdor Jim Morrison („The Doors”, 1991) czy młody makler Bud Fox („Wall Street”, 1987). Teraz, wedle krytyki docierającej ze wszystkich stron, ostatecznie zbłądził też sam Oliver Stone.

Żaden hollywoodzki reżyser nie był ostatnio tak aktywny. Dokument Stone’a o Ameryce Łacińskiej „South of the Border” jest na amerykańskich ekranach i wchodzi właśnie na niektóre europejskie (polskich dystrybutorów nie zainteresował), na wrzesień zapowiedziano premierę drugiej części „Wall Street” z Michałem Douglasem, a telewizja CBS pokaże cykl

dokumentów historycznych, w których Stone jeszcze raz wytłumaczy widzom, o co chodzi z tym Hitlerem, Stalinem i Mao.

Oliver Stone na lewo i prawo udziela też wywiadów. Komentuje kryzys gospodarczy, wojny toczone przez Amerykę, rosnące napięcie w stosunkach Wenezueli z Kolumbią. Ma też wyraziste poglądy w sprawach Żydów. 26 lipca podzielił się refleksją z londyńskim „Sunday Timesem” o „dominacji Żydów w mediach” i ich zgubnym „wpięprzaniu się w politykę zagraniczną USA ostatnich dziesięcioleci”. Według niego to potęga żydowskiego lobby sprawia, że „historia jednowymiarowo przedstawia Hitlera jako potwora”.

Choć Oliver Stone niechętnie przeprosił („Holocaust był straszny”, „Nie chciałem nikogo urazić”), Rabin Abraham Cooper, dziekan Centrum Szymona Wiesenthala, i tak uważa, że reżyser staje się niebezpieczny. Siła oddziaływania kina jest wielka, a Stone to utalentowany fachowiec z misją. Tyle że ta misja jest antyamerykańska i staje się antyżydowska. „Czego możemy się spodziewać po człowieku, który przestaje z takimi jak irański miłośnik ludobójstwa Mahmud Ahmadineżad czy Wenezuelczyk Hugo Chávez?” – pyta Cooper na łamach „Los Angeles Timesa”. Stone uspokaja. Twierdzi, że jest jedynie artystą, który bardzo uważnie przygląda się swoim czasom.

WNĘTRZE. BAMBUSOWA CHATA. DZIEŃ

Wietnamska staruszka i chłopak bez nogi podpierający się na kulach wychodzą z podziemnej kryjówki. Mają głupie, zakłopotane miny.

Chris: Wylazić! Nie chcę was skrzywdzić. Dlaczego nie wyleźliście, jak wołałem? Dlaczego go?! Czego się tak uśmiechacie?!

Para, nie rozumując słowa, wychodzi z rękoma w górę. Mamrocza po wietnamsku. Chris jest wzburzony. Zaciska palec na spuście. Słyszysz podszep stojącego obok Bunny’ego.

Bunny: Rozwal ich, chłopie.

Chris. Spust. Naciska. Pociski wzniesają fontanny piachu tuż obok stopy chłopaka.

Chris: Tańcz, kurwa, tańcz, kaleko!

Chłopak podskakuje na jednej nodze. Do oczu napływają mu łzy.

Scena z filmu Olivera Stone’a „Pluton” z 1986 roku. Chrisa gra Charlie Sheen. Stone dostaje Oscara za reżyserię i najlepszy film roku.

Reżyser dla tygodnika „New Yorker”, rok 1994: „Ta scena to ja. Chciałem zabić tego wietniaka, pamiętam, ale jednak strzeliłem w ziemię. Mogłem go zabić i uszłoby mi to na sucho. Mogłem zabijać wielu, ale nie robiłem tego. Kiedy w końcu zabiłem, zobaczyłem martwe ciało, potwornie różne od wyobrażenia anonimowego, ukrytego wroga. Widzę to ciało po dziś dzień”.

Do Wietnamu zgłosił się na ochotnika. Był studentem prestiżowego Yale, synem nowojorskiego maklera i piekielnie pięknej Francuzki. Jednak. Nieśmiały. Przez lata skrycie kocha się we własnej matce. Rodzice rozwodzą się, gdy ma 15 lat. Dowiaduje się o tym od dyrektora swojej szkoły z internatem. Przeżywa szok. Niewiele później ojciec bankrutuje. Kolejny szok. Stone ucieka do Meksyku i pisze ekshibicjonistyczną powieść o dojrzewaniu. Odrzuca ją po kolei wszyscy wydawcy. Rzucił studia i idzie na wojnę. Wedle niektórych swoich wypowiedzi – na przykład we wspomnianym tekście „New Yorkera” – chce być jak Hemingway. Wietnam ma nauczyć go prawdy →

Oto on: wróg establishmentu numer jeden. Ostatnio zaczął też wojować z żydowskim syndykatem. Oliver Stone w Wenecji, wrzesień 2009 rok



→ o męskości, świecie, życiu. W telewizji PBS w 1997 roku powiedział coś całkiem innego: „Wietnam miał być rodzajem samobójstwa. Nie potrafiłbym sam skierować na siebie broń i pociągnąć za spust. Wojna miała to zrobić za mnie”.

Nic z tego. Choć został ranny – przeżył. Wietnam zapoczątkował jego rozbrat z Ameryką. Odbierając Oscara za „Pluton”, powiedział: „Amerykańscy chłopcy ginęli tam po nic, a Ameryka niczego się tam nie nauczyła”. W czasie debaty historycznej na Uniwersytecie w Berkeley w 1997 roku tłumaczył: „Najważniejsze, co zrozumiałem w Wietnamie, to to, że dane nam życie społeczne jest życiem wyobrażonym. W szkole, na studiach, w podręcznikach, w mediach dostajesz obraz rzeczywistości. Masz się go nauczyć. Uczysz się więc i na podstawie tej nauki formułujesz swoje opinie i podejmujesz decyzje. Tyle że ten obraz z prawdziwą rzeczywistością ma niewiele wspólnego”.

W Wietnamie Oliver Stone odkrył kłamstwo. Zrozumiał System. Większość jego filmów ma ten System demaskować.

PLENER. ULICA W DALLAS. DZIEŃ

Tłumy wzdłuż krawężników. Słońce. Limuzyna z otwartym dachem wjeżdża wolno w Elm Street. Na tylnej kanapie prezydent USA John Fitzgerald Kennedy i jego żona Jackie. Prezydent macha do wiwatujących tłumów. Nagle zgina się nienaturalnie do przodu. Gdy Jackie pochyla się ku niemu, by sprawdzić, co się dzieje, głowę prezydenta roztrzaskuje pocisk. Krew, fragmenty czaszki i mózgu zabryzgują samochód i pierwszą damę. Jackie chce uciec przez tył auta. Powstrzymuje ją ochroniarz.

Jackie (krzyczy): Boże, zabili mojego męża!

Scena z życia wzięta. Dallas, 22 listopada 1963 roku. Zamach na JFK zwiastuje nowe czasy – niepokojów społecznych, wojen kulturowych, obyczajowej rewolucji, upadku autorytetów i rozbratu znacznej części społeczeństwa z władzą. To koniec zaufania, koniec bezpieczeństwa. Część Amerykanów nigdy nie uwierzy, że Kennedy'ego zabił szaleniec. Sondaże robione przy okazji kolejnych rocznic zamachu pokazują, że niezmienne jedynie około 10 procent Amerykanów wierzy, że Lee Harvey Oswald działał sam, a trzy czwarte jest przekonanych, że to rząd maczał palce w likwidacji JFK. Kennedy padł ofiarą Systemu, bo był dla niego niewygodny. Komisja śledcza pod przewodnictwem sędziego Earla Warren, która miała zbadać okoliczności zbrodni, jedynie zatuzowała prawdę. Wedle wyznawców teorii spiskowych, czyli większości społeczeństwa, jedynym sprawiedliwym jest Jim Garrison, prokurator okręgowy z Luizjany, który poświęcił kilka lat życia na udowadnianie spisku. Jego wysiłki spaliły na panewce, gdy wyszło na jaw, że główny świadek, kiedy zeznawał, że brał udział w spiskowym spotkaniu, był przesłuchiwany pod hipnozą.

W 1991 roku Oliver Stone pokazuje monumentalny obraz „JFK” będący zapisem zno-

ju Garrisona. Film ma ambicje zebrać do kupy i uwiarygodnić najpopularniejsze z dziesiątek teorii spiskowych krążących wokół zamachu. O hipnozie nie ma w nim ani słowa.

Stone w rozmowie ze słynnym dziennikarzem Charliem Rose'em, 1996 rok: „Zrobiłem coś, czym powinni zajmować się historycy. Dlaczego pomimo wątpliwości, jakie wyraża społeczeństwo, nie podejmuje się trudu, żeby zbadać choćby możliwość spisku na życie JFK, poszukać politycznego motywu?”.



W Wietnamie Stone wszystko pojął. Na zdjęciu: Fotos z oscarowego „Plutonu” (1986). W środku alter ego reżysera – Charlie Sheen w roli Chrisa

Rose: „Ale przyzna pan, że wybielił pan postać Jima Garrisona”.

Stone: „Tak, tylko że Garrison i tak jest dużo bardziej wiarygodny niż komisja Warrena”.

Dziennikarz i scenarzysta Stephen Schiff pisze na łamach „New Yorkera”, że żaden inny film zrobiony w Hollywood ani wcześniej, ani później nie wywołał takiej debaty jak „JFK”. Z równą zapalczywością brali w niej udział historycy, dziennikarze i politycy. Stone przestał być tylko reżyserem, stał się wielkiego kalibru publicystą, choć przecież amerykańską historię i społeczny ducha badał wnikliwie już wcześniej. Przed „JFK” były między innymi „Pluton”, „Wall Street”, „Urodzony 4 lipca” (Tom Cruise jest tu weteranem z Wietnamu). Po „JFK” nakręcił „Nixona”, „W” czy pokazaną w tym roku w Cannes kontynuację „Wall Street” – „Pieniądz nigdy nie śpi”. We wszystkich tych filmach Stone wychodzi z pozycji komentatora mocno i otwarcie lewicującego.

Stone: „Jestem dysydemem. Badam nieoficjalną historię. Patrzę na sprawy z punktu widzenia, jakiego nie akceptuje establishment”. Richard Reeves, historyk z Uniwersytetu Karoliny Południowej i komentator „New York Herald Tribune”: „On nie lubi Uniwersytetu Yale, nie lubi Wall Street, nie lubi Systemu. W porządku. Tyle że w tej niechęci jest paranoikiem”.

PLENER. DROGA. NOC

Stary cadillac zaparkowany na poboczu. Pusto. Mickey sika, patrząc w niebo pełne

gwiazd. Mallory tańczy na masce samochodu. **Mickey (refleksyjnie):** Świat się kończy, Mall. **Mallory (rozmarzona):** Widzę anioły, Mickey. Przybywają po nas z nieba. Widzę, jak jadą na wielkim czerwonym koniu. Okładają go biczem. Są już blisko.

Scena z filmu „Urodzeni mordercy” Olivera Stone’a z 1994 roku. Mickey (Woody Harrelson) i Mallory (Juliette Lewis) są naćpani. Reżyserowi też się to zdarza. Richard Rutkowski, jeden z najbliższych przyjaciół Stone’a,

współscenarzysta „Urodzonych morderców”, wspominał w jednym z wywiadów, jak przed zdjęciami w poszukiwaniu plenerów zjeżdżali pustynie Arizony i Nowego Meksyku, żywiąc się tylko grzybami. I to nie były borowiki. Rutkowski: „Byliśmy tak porobieni, że nie mieliśmy pojęcia, z jaką jedziemy prędkością, czy jest dzień, czy noc, czy światło jest zielone, czy czerwone”. Przy okazji „The Doors” Stone z Rutkowskim polecieli odrzutowcem Warner Bros do Dakoty Południowej „zapodać pejotl z Indianami”. Wypad zaksięgowali jako *research*.

Poważnej prasie Oliver Stone dostarcza materiału do debat, brukowcom – tytułów na czołówki. Trzy małżeństwa, zdrady, narkotyki, pijatyki, buddyzm (wspólnie z Leonardem Cohenem sprowadzili do Hollywood słynnego ponoć tybetańskiego mnicha). Kobiety uwodzi swoją francuszczyzną i rozbrajającym uśmiechem z szeroką szparą między jedynkami. Słynie ze spontanicznie organizowanych eskapad w najtrudniej dostępne regiony świata – Nepalu, Pakistanu, Amazonii. Filmy woli kręcić w dżungli niż w klimatyzowanym studiu. Lektura wypowiedzi na jego temat przynosi pokaźne żniwo przymiotników: władczy, dziecinny, seksowny, okrutny, zabawny, chamski – to niektóre. Ale Oliver Stone, „buntownik z wieloma powodami” – jak sam siebie nazywa – jest przede wszystkim świetnym fachowcem. Filmy robi ekspresowo, porządnie i w miarę tanio. Nie prze-

kracza budżetów, nie znosi przeciągających się w nieskończoność dubli, aktorów trzyma na dystans. Michael Douglas, Tom Cruise, Val Kilmer i Josh Brolin zagrali u niego życiowe role. Na spotkaniu z publicznością w Amerykańskim Instytucie Filmowym w 2009 roku Douglas opowiadał, jak przez cały czas zdjęć do „Wall Street” Stone pytał go, czy nie jest czasem naćpany, bo jego gra jest bezna- dziejna. Douglas nie rozumiał krytyki, był co- raz bardziej wściekły. I o to szło – tę wściek-

łość widać w wykreowanym na ekranie Gordonie Gekko. Jak każdy reżyser Stone zalicza wpadki, ale większość filmów, które zrobił w ciągu ostatnich 30 lat, nosi stempel jakości. Ludzie chcą je oglądać, producenci dają kasę. Czy po antysemickich występach to się zmieni?

PLENER. ULICA W CARACAS. DZIEŃ

Tłum dziennikarzy. Mikrofony wymierzo- ne w Olivera Stone’a – błękitna koszulka po-



Oliver Stone z przyjaciółmi – Hugo Chávezem u góry i Fidelem Castro na dole. Jego propagandówki na ich temat to odpowiedź na propagandę mediów

lo – i Hugo Cháveza, prezydenta Wenezueli – połowy mundur i czerwony beret.

Chávez (po hiszpańsku): Pytajcie go, pytajcie. Tylko po angielsku!

Dziennikarz: Co pan sądzi o polityce prezydenta Cháveza?

Stone: Jestem jego fanem, to wielki człowiek.

Chávez: Eee tam, jestem tygi.

Śmiech, Stone z Chávezem klepią się po plecach.

Scena wzięta z wenezuelskiej telewizji, z 29 grudnia 2007 roku. W Wenezueli Stone kręcił dokument o „pokojoyej lewicowej rewolucji, jaka przetacza się przez Amerykę Łacińską”. Oprócz Cháveza odwiedził między innymi Evo Moralesa w Boliwii, Inácio Lulę da Silvę w Brazylii i Raúla Castro na Kubie. Trudnych pytań nie zadawał – tak jak podczas realizacji „JFK” albo dokumentu o Fidelu Castro („Szukając Fidela”, 2004). „South of the Border” jest obficie polukrowanym obrazkiem o męnych i uczciwych liderach umiających postawić się jankesom i zbudować ludowi dobrobyt. Film pokazywany jest właśnie w USA i Wielkiej Brytanii. „New York Times” pisze: „W przeciwieństwie do nakręconych przez Stone’a portretów amerykańskich prezydentów ten film jest dokumentem, więc powinien obowiązywać go inny standard historycznej dokładności. Tymczasem jest równie niedokładny jak fabuły”. Lewicowy dziennik wypomina Stone’owi kilkanaście pomyłek, uproszczeń i przemilczeń, poczynając od tego, że pomylił nazwiska oponentów Cháveza w wyborach w 1998 roku, a kończąc na tym, że nie spytał Castro o prawa człowieka.

Stone bierze wszystko na klatę: „Mój film jest pomyślany jako antidotum na lata propagandy na temat Ameryki Łacińskiej serwowanej Amerykanom i Europejczykom przez media. Pewne uproszczenia były konieczne”. Powtarza, że jego celem jest patrzeć po swojemu, a nie przez ciemne okulary zakładane ludziom przez media. Mówi, że przede wszystkim jest humanistą – w każdym chce zobaczyć człowieka.

Trzeba przyznać, że zarówno „Nixon”, jak i „W” opowiadające o skrajnie prawicowych postaciach amerykańskiej historii, choć krytyczne, pełne były zrozumienia dla swoich bohaterów i uczciwie ukazywały ich człowieczeństwo. Krytycy reżysera, szczególnie ze środowisk żydowskich, drżą na myśl, że z takim samym zrozumieniem potraktował Hitlera. Serial dokumentalny dla CBS (Stone zajął się ponadto Stalinem, Mao i McCarthym) jest jeszcze w produkcji, stacja nie ogłosiła daty premiery, ale twórca „Plutonu” nie ukrywa, że „umieścił Hitlera w nowym kontekście”. Zapowiada też, że robi film o kwestionującym Holocaust prezydencie Iranu Mahmudzie Ahmadineżadzie. Ma już ponoć jego zgodę. Haim Saban, wpływowy izraelski miliarder, wezwał CBS do zerwania współpracy z reżyserem. Należy się spodziewać, że tak się nie stanie. W przeciwnym razie byłaby to przecież woda na młyn dla tych, którzy twierdzą, że to Żydzi rządzą w mediach. □

TECZKI

Krwiste diamenty Naomi

Zeznania byłej modelki mogą pogrozić dyktatora



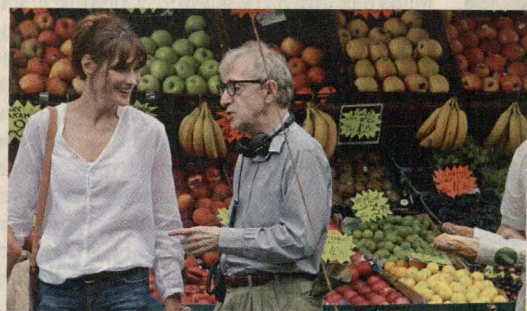
CO BYŚCIE ZROBILI, GDYBY ktoś w środku nocy przyniósł do waszego pokoju hotelowego ciężki aksamitny woreczek i powiedział: „To prezent”? Oczywiście położylibyście woreczek obok łóżka i bez zaglądania do środka poszli spać. Takich wyjaśnień eks-modelka Naomi Campbell udzieliła Trybunałowi Ha-

skiemu, przed którym toczy się proces o zbrodnię wojenne przeciwko Charlesowi Taylorowi, byłemu dyktatorowi Liberii. Prokuratorzy twierdzą, że w latach 90. sprzedawał on broń jednej ze stron krwawej wojny domowej w Sierra Leone. W zamian od rebeliantów dostawał diamenty. Kilka z nich potem znalazło się w aksamitnym woreczku, o czym Campbell przekonała się rankiem następnego dnia. Dzień wcześniej była z Taylorem na tym samym przyjęciu zorganizowanym przez Nelsona Mandelę. Taylor chciał się odwzajemnić za miłe towarzystwo, a teraz Campbell grozi więzieniem za przyjęcie takiego подарunku. – *luc*

Pierwsze damy na ekranie

35 BAGIETEK

WOODY ALLEN JUŻ ŻAŁUJE ZAANGAŻOWANIA DO FILMU żony francuskiego prezydenta. To była banalna scena, ale Carla chciała zrobić z niej coś większego. Niestety, cały czas zerkła do kamery – opowiada osoba pracująca przy produkcji filmu „Midnight in Paris” w reżyserii Woody’ego Allena. To komedia o rodzinie wyjeżdżającej do Paryża w interesach. Jedną z ról w filmie gra Carla Bruni-Sarkozy, choć nie ma większego doświadczenia jako aktorka. Scena, przy której Woody Allen mało nie osiwił jeszcze bardziej, to kupowanie przez Bruni bagietki. Choć nie wypowiada ona w niej ani słowa, jedno ujęcie trzeba było przez nią powtarzać 35 razy. Film ma mieć premierę w 2011 roku, ale przy pracy w tym tempie pewnie się ona nieco przesunie. – *mil*



Markowe urodziny

Elegancja, zmysłowość, wygoda – tym Ermenegildo Zegna, Roberto Cavalli i Tommy Hilfiger podbili świat mody

PLANETARIUM OLA SALWA

25, 40 I 100 TO WYMIARY, Z KTÓRYMI NALEŻY się liczyć. Oczywiście chodzi tu o lata, a nie o centymetry. Rynek mody zmienia się nieustająco, więc przetrwanie na nim to trudna do opanowania sztuka. Kiedyś prym wiodli wielcy krawcy i wpływowi krytycy, dziś władzę przejęli pracownicy działów marketingu i blogerzy. Gdy Włoch Ermenegildo Zegna zakładał w 1910 roku swoją firmę w Trivero, ubrania szły się na miarę u zaufanych krawców, a kobiety chodziły jeszcze w gorszych. Włoch postawił na elegancję, drogą materiały oraz klasyczny krój garni-

✓ **Ermenegildo Zegna** – nigdy nie zdecydował się na wypuszczenie linii damskich ubrań. Być może dlatego od stulecia zajmuje mocną pozycję



туру. Do dziś jego marka (przejęta przez wnuka Gildo) to synonim luksusu.

Z zupełnie innej beczki – czy raczej wykroju – są stroje 40-letniej marki Roberto Cavalli (sam projektant ma 70): seksowne, kolorowe, dużo nadruków, skóry i dzinsu to hasła natychmiast kojarzące się z tą firmą. Pomysł Cavallego przeniosły modę z frywolności i hipisowskiej lekkości w seksowną, nieco kiczową dekadę lat 70. Stawkę zamyka najbardziej popularna i wygodna marka – amerykański Tommy Hilfiger obecny na rynku od ćwierćwiecza. □

✓ **Roberto Cavalli** – jeden z wielu Włochów stawiających na seks, obcisłość i dekolty. Jego specjalność to nadruki na skórze

◀ **Tommy Hilfiger** – synonim amerykańskiego luzu: od dresów, koszulek, płaszczy, sukienek, po buty i torebki. Rzeczy z logo marki (biało-niebiesko-czerwona flaga) są wszędzie



Euzebiusz Smolarek zagra za wielkie pieniądze

Jak emerytura, to tylko w Polsce

Polskie kluby zostały pionierem w wydawaniu fortuny na gwiazdy, których nikt już nie chce

W WEEKEND WYSTARTOWAŁA PIĘKARSKA ekstraklasa. Grają w niej wielkie, niemal emerytowane polskie gwiazdy. Niechciany nawet w chińskiej lidze Euzebiusz Smolarek (29) w Polsce Warszawa zarobi 400 tysięcy euro rocznie, co jest jedną

z najwyższych pensji w polskiej ekstraklasie.

Wcześniej do kraju wrócili: Tomasz Frankowski (36, strzelał bramki w Anglii, trafia dla Jagielonii Białystok), Artur Wichniarek (33, w Bundeslidze nazywany niegdyś „królem Arturem”, teraz może być jedynie królem Kolejorza), Maciej Żurawski (34, gwiazda Celticu Glasgow, znów próbuje strzelać dla Wisły Kraków), Marcin Żewłakow (34, w Lidze Mistrzów zdobył gola na stadionie Chelsea Londyn, teraz kopie w GKS Bełchatów), Arkadiusz Radomski (33, gwiazdor Austrii Wiedeń, obecnie trzon obrony Cracovii), Rafał Grzelak (28, grał w Boavista Porto, obecnie jest zawodnikiem Widzewa Łódź).

Złudą byłoby myśleć, że przez swoje doświadczenie piłkarze podniosą poziom spotkań. Większość z nich nie gra 90 minut, a gdy już do takiej sytuacji dochodzi, w ostatniej minucie spotkania nie potrafi strzelić bardzo ważnego rzutu karnego (jak Maciej Żurawski w meczu pucharowym z drużyną z... Azerbejdżanu). Jedyną średnią, jaką gwiazdorzy podnoszą w ekstraklasie, jest niestety średnia wieku. – *cich*

Leczenie śpiewem



VICODIN RECORDS?

HUGH LAURIE, BARDZIEJ ZNANY światu jako odtwórca tytułowej roli w serialu „Dr House”, zostanie gwiazdą... bluesa. W te wakacje Laurie nie pracuje na planie filmowym ani serialowym. Pod czujnym okiem podwójnego zdobywcy nagrody Grammy, producenta Joe’go Henry’ego, zamierza nagrać swój fonograficzny debiut. Płyta, na której Hugh zagra na pianinie oraz zaśpiewa, a której tytułu raczej przed końcem roku nie poznamy, opisywana jest przez aktora jako

zmierzająca w stronę bluesa z Nowego Orleanu.

Dotychczasowe muzyczne doświadczenia Lauriego sprowadzały się do męczenia gitary i fortepianu w serialu oraz kilku charytatywnych występów. Jak jednak twierdzą wszyscy muzycy zaangażowani w nagrywanie płyty, Laurie ma autentyczny talent, a krążek będzie wielkim przebojem fonograficznym. O tym, czy wszyscy i tym razem kłamią, przekonamy się najprawdopodobniej dopiero w 2011 roku. – *cich*

ZĄB ZA ZĄB

O TYM, ŻE CZASEM LEPSZY PROTETYK W GABINECIE NIŻ NA FRONCIE, ORAZ O TYM, JAK PEWNA SZTUCZNA SZCZĘKA ODCISNĘŁA SIĘ W HISTORII



Olga Woźniak

Sześć sztucznych zębów Winstona Churchilla sprzedano właśnie na aukcji za 15 tysięcy 200 funtów. Daje to mniej więcej 2,5 tysiąca za sztukę, ale przecież nie o materialną wartość sztucznej szczęki premiera Wielkiej Brytanii tu chodzi. Idzie raczej o jej znaczenie dla losów świata. Nigel Cudlipp, syn technika dentystycznego, który wykonał protezę dla polityka, opowiadał serwisowi BBC, że widząc, jak Churchill traktował swoje zęby, można było się domyślać, jak przebiegały działania alian-
tów na frontach II wojny światowej. – Kiedy było naprawdę niedobrze, Churchill wyjmował sztuczną szczękę i cisnął nią przed siebie – mówił Cudlipp.

Nic więc dziwnego, że takie traktowanie uzębienia wymagało ciągłej opieki mistrza protetyki. Dlatego kiedy technik dentystyczny, pan Derek Cudlipp, został powołany do wojska, Churchill sam ponoć podarł jego papiery. – Będzie o wiele lepiej dla przebiegu tej wojny, kiedy w Londynie zajmiesz się moją sztuczną szczęką – miał ponoć oświadczyć premier. A było się czym zajmować – na wszelki wypadek polityk miał bowiem cztery komplety zębów. Skonstruowane były przy tym tak zmyślnie, by zachować lekkie seplenienie premiera (on sam je lubił i uważał za swój wyróżnik). – Bez tych zębów losy świata potoczyłyby się inaczej – ogłasza podobno z emfazą przewodnik po londyńskim Muzeum w Royal College of Surgeons, kiedy dochodzi do gablotki mieszczącej jedną ze szczęk Churchilla. – Bez nich jego słynne przemówienia zagrzewające do walki naszych chłopców, podtrzymujące

na duchu rodaków, nie brzmiałyby tak przekonująco.

Czy to prawda? Trudno dziś ocenić. Faktem jest, że opiekunów swego uzębienia sam Churchill cenił tak bardzo, że w uznaniu ich zasług zwrócił się do króla o nadanie im szlachectwa.

Przynosił mu ulgę, jak bowiem głosi historia, Winston Churchill, poza de-



presją (którą przez wiele lat próbował oswoić, nazywając ją nawet pieszczołliwie czarnym psem), cierpiał również z powodu złego stanu zębów i dziąseł.

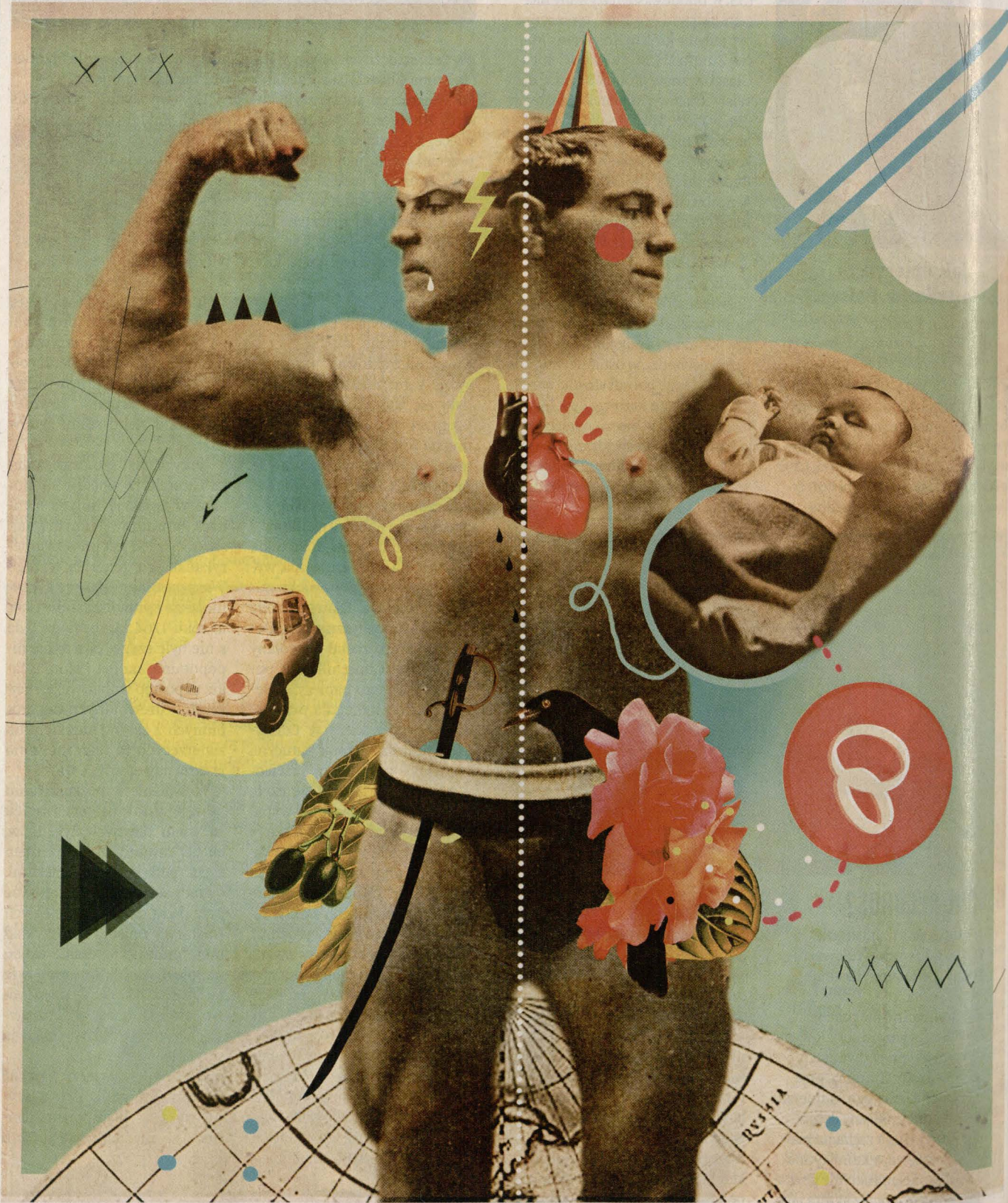
Przy okazji: sztuczna szczęka Churchilla wpisuje się do brzoze w kolekcję innych słynnych garniturów. Jednym z najsłynniejszych jest proteza amerykańskiego generała Jerzego Waszyngtona. Historycy oceniają, że sprawił ją sobie około roku 1764. A zrobiona była z nie byle czego, bo z kości hipopotama, morsa i słonia. Jakież to postępowanie wobec wcześniejszych – drewnianych czy zrobionych z zębów ludzkich lub zwierzęcych (a takie noszono jeszcze nawet w XIX wieku).

To właśnie w poszukiwaniu zębów do sztucznych szczęk wielu dawnych cyrulików, chcąc zarobić, z narażeniem życia podążało za wojskami, by na polach bitew dokonywać przeglądu uzębienia poległych (historycy opisują na przykład takie praktyki w czasie wojen napoleońskich). Praca nie była łatwa, bo skompletowanie zdrowej szczęki nawet z kilkudziesięciu żołdaków to było nie lada przedsięwzięcie.

Doceńmy więc wartość szczęki Churchilla – tę sentymentalną i historyczną. Dobrze, że nie nadgryzł jej ząb czasa. □

CYWILIZACJA

W tym tygodniu:
JESTEŚMY KONTROWERSYJNI. NAJPIERW
NAUKOWO PODCHODZIMY DO ZWIĄZKU
MIĘDZY PUKANIEM A JĄDRAMI, A LEDWIE
DWIE STRONY DALEJ WYCHWAŁAMY WYCINKĘ
AMAZOŃSKICH LASÓW



Jego nadmiar grozi
światowym kryzysem
finansowym
i rakiem prostaty.
Niedobór – depresją,
cukrzycą, otyłością.
Testosteron nieźle
kręci światem

Eliksir męskości

HORMONY TEKST OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA MARTA GLIWINSKA

Pukawka była hitem. Wciągnęła chłopców i mężczyzn. Każdy niecierpliwie czekał w kolejce, by jednym ruchem wypchnąć korek z drewnianej rurki i usłyszeć dźwięczne puk! Patrzyłam na ten fenomen (kupiony na targu za osiem złotych) i próbowałam go zrozumieć. Bezskutecznie. Czegoś mi brakowało. Laik powiedział: by po prostu... jaj. I w pewnym sensie miał rację. Najprawdopodobniej bowiem chodzi tu o deficyt substancji, której główną fabryką są jądra, czyli testosteronu.

Żaden posiadacz rzeczonych nie miał wątpliwości co do zastosowania pukawki. A rzecznikami ich wszystkich okazał się pewien czerolalek – Pukawka służy do pukania – wyjaśnił. – I to jest fajne.

Pozostali panowie (w różnym wieku) kiwnęli głowami z aprobatą. Ja zaś pozostałam ze swoim niezrozumieniem, które obejmowało też: zachwycanie się dźwiękiem silnika nowego subaru, kilkugodzinne strzelanie z wiatrówki do puszek, zawody, kto na dłużej zanurkuje, niemożność odróżnienia koloru bananowego od kanarkowego, bezradność wobec kobiecych lez i skakanie po telewizyjnych kanałach.

Sorry, ale kiedy panowie stali w kolejce po jądra, ja stanęłam w tej po jajniki. I tak nasze światy stały się równoległymi.

Mały gen, wielka różnica

Kto odpowiada za przydział? Mały gen o nazwie SRY, który u kandydatów na chłopców włącza się około ósmego tygodnia życia płodowego. On sprawia, że w ciele embrionu wyodrębniają się jądra i rozpoczynają produkcję hormonu, który na poważnie zajmie się rzeźbieniem męskiego ciała i umysłu – testosteronu. Pod jego wpływem powstaną nasieniodowody, pęcherzyk nasienny, siusiak i cała reszta. Chłopiec zacznie wyglądać jak chłopiec. I myśleć (kiedy już w ogóle zacznie myśleć) jak chłopiec. Poziom testosteronu przez całe płodowe życie małego faceta jest czterokrotnie wyższy niż po urodzeniu (podobny poziom osiąga jedynie podczas dojrzewania).

Hormon ten wpływa zarówno na funkcjonowanie mózgu, jak i jego budowę.

Bo (dajmy na chwilę spokój poprawności politycznej) mózgi męskie i żeńskie naprawdę się różnią. Kobiety mają gęściej upakowane komórki nerwowe w obszarach odpowiedzialnych za mowę, więcej też jest w ich głowach substancji szarej, półkule mózgowe mężczyzn są nieco niesymetryczne w porównaniu z półkulami kobiet i gorzej ze sobą współpracują. Niewielkie różnice w obu płci zauważa się też w częściach mózgu odpowiedzialnych za zachowania seksualne. Skutek? Skłonność panów do agresji, rywalizacji i dominacji, lepsze wyniki w testach wzrokowo-przestrzennych, gorsze zdolności werbalne, kłopoty z empatią.

I tacy goście rządzą światem. A skoro – chcąc nie chcąc – w ogromnej większości kultur wciąż obowiązuje męski punkt widzenia, warto poznać charakter substancji, która za to odpowiada. Zwłaszcza że badania nad testosteronem dają czasem naprawdę zaskakujące wyniki. Lekarze, psycholodzy, trenerzy sportowi, ba, nawet policjanci z drogówki powinni się nimi poważnie zainteresować.

Bij się u siebie

Być może najnowsze doniesienia specjalistów od testosteronu trafią wkrótce do programu szkoleń sportowców. Warto by było. Jest szansa, że taka wiedza przyniosłaby jakieś rezultaty, choćby w szkoleniu polskich piłkarzy.

Otóż o tym, że poziom męskiego hormonu podnosi się podczas rywalizacji, wiadomo od dawna. Testosteronowy szwung zwiększa szanse wygranej, bo sprawia, że przybywa sił, zwiększa się koncentracja. Zaobserwowano, że poziom testosteronu rośnie nawet u szachistów podczas meczu. U wygranych wysoki poziom tego hormonu utrzymuje się jednak także po walce, podczas gdy u przegranych opada.

Badania naukowców z University of Wisconsin przynoszą właśnie kolejne obserwacje. Prowadząc w laboratoryjnych kłatkach mysie zapasy (w pracy opublikowanej w „Proceedings of the National Academy of Sciences” nie ma nic o tym, czy były wówczas przyjmowane jakieś zakłady) i badając potem zmiany

w mózgach walczących zwierząt, odkryli, że testosteronowy efekt zwycięzcy przybiera trochę inną postać u wygrywających na obcym terytorium, a inną, gdy do wygranej doszło na własnym boisku.

Triumf w bójce na gościnnych występach zwiększał poziom testosteronu w rejonach mózgu odpowiedzialnych za wzrost agresji. Wygrana u siebie aktywowała dodatkowo rejonu zawiadujące motywacją i tak zwany układ nagrody. Takie myszy były po walce pełne wigoru i dalej chciały się bić.

Naukowcy przypuszczają, że ma to związek z ewolucyjną potrzebą obrony własnego terytorium. Ostrzegają jednak, że ten biologiczny efekt może przyczyniać się do wielu irracjonalnych zachowań ludzi, w tym także do... ostatniego światowego kryzysu finansowego. Doktor John Coates, neurobiolog z University of Cambridge zajmujący się związkami między hormonami a podejmowaniem ryzyka, komentuje: – Mężczyźni z wyższym niż przeciętny poziomem testosteronu inwestują agresywniej. W badaniach prowadzonych przez psychologów z Harvardu zaobserwowano, że maklerzy giełdowi w dniach, gdy osiągalni najwyższe zyski, mieli szczególnie wysoki poziom tego hormonu w organizmie. To zaś nakręcało ich do bardziej ryzykownych inwestycji, co z kolei mogło być powodem giełdowego krachu.

Cała sztuka polega więc na tym, by umieć w odpowiednim momencie zahamować poziom testosteronu. Jak?

Maklerzy do ołtarza

W sukurs ekonomistom mogą przyjść... urzędnicy stanu cywilnego. Antropolodzy amerykańscy z University of Nevada, badając zamieszkujących północną Kenię mężczyzn ludu Ariaal (żyjący z dala od cywilizacji pasterze Ariaal są popularni wśród antropologów. Trudno znaleźć lud tak odizolowany od reszty świata, a przy tym skory do współpracy z naukowcami), odkryli bowiem, że poziom testosteronu spada u panów po zawarciu małżeństwa.

Mężczyzna Ariaal zgodnie z tradycją poślubia jedną kobietę lub więcej. Doktor Peter Gray odkrył, że mężczyźni, którzy mieli jedną

→ żonę, mieli też niższy poziom testosteronu niż nieżonaci. Najniższym poziomem testosteronu odznaczali się ci żyjący w związkach poligamicznych. – Poziom testosteronu jest niższy u żonatych mężczyzn, bo po wstąpieniu w związek małżeński mniej inwestują w rywalizację o kobiety – wyjaśnia Gray.

Do obniżenia poziomu testosteronu bardzo dobrze nadaje się też instytucja ojcostwa, co może (ale nie musi) wiązać się z ożenkiem. Oto bowiem badacze z Charles Drew University of Medicine and Science w Los Angeles, Harvard University oraz University of Nevada poprosili 126 amerykańskich mężczyzn w wieku 21–38 lat o wypełnienie kwestionariusza. Pobrali także próbki ich śliny w celu porównania poziomu męskich hormonów płciowych. Wśród badanych byli kawalerowie i żonaci – zarówno z dziećmi, jak i bezdzietni. Okazało się, że mężczyźni, którzy byli ojcami, mieli niższy poziom testosteronu wśród wszystkich badanych. 66 mężczyzn stanu wolnego miało nieco wyższy poziom testosteronu niż 30 żonatych, ale nieposiadających potomstwa. Jednak najmniej testosteronu wykryto u 30 uczestników z potomstwem, bez względu na to, czy mieli obrączkę na palcu, czy nie. Badacze twierdzą, że niższy poziom testosteronu u ojców może odzwierciedlać zarówno ich wycofanie się z typowej męskiej rywalizacji, jak i zaangażowanie w ojcostwo. Wyższy poziom testosteronu jest związany raczej z poszukiwaniem odpowiedniej partnerki i walką o nią. Redukcja poziomu hormonu ma więc zmusić mężczyzn do pozostania z dziećmi i pomocy kobiecie w opiece nad nimi. Tak urządziła to sama natura – wskazują naukowcy.

A więc maklerzy, gdy czujecie, że praca na giełdzie zaczyna was pochłaniać ponad miarę, gdy wasze decyzje stają się coraz bardziej ryzykowne, do ołtarza! I do kołyski. Trochę domowych obowiązków i światowy kryzys finansowy mógłby zostać w porę zażegnany.

Patrz na palce policjanta

Oczywiście nic za darmo. Ubytki eliksiru męskości nie przechodzą przez męskie ciała niezauważone. Obniżenie poziomu testosteronu wiąże się z większym ryzykiem depresji (ale za to z mniejszym chorób serca i prostaty). Na szczęście naukowcy i na to znaleźli sposób. Pytanie, czy powołanie się na ich obserwacje wpłynie na... wysokość mandatu. Okazuje się bowiem (jak donoszą kanadyjscy uczeni), że szybka jazda samochodem pozytywnie wpływa na zdrowie współczesnego mężczyzny, który cierpi na niedobór hormonów płciowych.

Podczas prowadzenia auta o dużej mocy u kierowcy następuje znaczny wzrost poziomu testosteronu. Czy policję przekona, że 200 kilometrów na godzinę na liczniku to profilaktyka cukrzycy i depresji? Hormonalna terapia zastępcza? Obawiam się, że u naszej drogówki próżno by szukać zrozumienia. Zwłaszcza kiedy trafimy na wyjątkowo mało empatycznego funkcjonariusza.

Czy policję przekona tłumaczenie, że brawurowa jazda z prędkością 200 kilometrów na godzinę to profilaktyka cukrzycy i depresji?

Zresztą ten brak empatii również może być zasługą testosteronu. Dlatego rada: chcąc negocjować liczbę punktów karnych, przyjrzyjmy się chyłkiem palcom trzymającym mandatownik. Szczególną uwagę zwróćmy na serdeczny i wskazujący. Palce bowiem należą do tych części ciała, które kształtują się pod wpływem męskich hormonów płciowych w życiu płodowym. Ci z nas, którzy w brzuchu mamy byli oficjeli podlewani testosteronem, mają palec serdeczny dominujący nad wskazującym.

Z takimi więc lepiej nie dyskutuj. Tylko ich wkurzysz. Chyba że pan policjant jest starszy i z brzuszkiem. Wtedy jest szansa, że charakter mu złagodniał, bo źródło testosteronu zaczyna wysychać mniej więcej po 30. urodzinach. Wraz z wiekiem stężenie testosteronu spada o mniej więcej jeden procent na rok. Z tym związanych jest wiele męskich problemów: większa podatność mężczyzn na depresję, ryzyko rozwoju otyłości brzusznej oraz zespołu metabolicznego, czyli grupy objawów, które grożą chorobami układu krążenia i cukrzycą. Pano wie zaczynają cierpieć na zaburzenia pamięci, pogarsza się ich zdolność kojarzenia, skarżą się na zaburzenia snu, nocne pocenie się. Obniżają się ich siły oraz ilość masy mięśniowej, na brzuchu zaczynają się tworzyć tłuszczowe oponki, pojawiają się bóle kości i stawów.

Ocenia się, że blisko 20 procent mężczyzn w średnim wieku cierpi na niedobór testosteronu, który lekarze określają mianem andropauzy. Takim panom (o ile nie będą się wstydzili iść do lekarza) proponuje się hormonalną terapię zastępczą. Uprzedzam jednak – nie ma co się szprycować testosteronem (który dość łatwo można kupić w Internecie) na własną rękę. Skutki przedawkowania są niebezpieczne: za duża liczba czerwonych krwinek, nieplodność, uszkodzenia wątroby. Przeciwwskazaniem do terapii hormonalnej testosteronem są też rak prostaty, sutka, marskość wątroby, schorzenia krążeniowe czy powikłane nadciśnienie. W 2000 roku z powodu przedawkowania testosteronu zmarł 31-letni trzykrotny mistrz Walii Andrew Humphreys. Hormon spowodował u niego przerost mięśnia sercowego.

Dlatego lekarz (endokrynolog albo androlog), zanim przepisze terapię, powinien zalecić wykonanie odpowiednich badań. Do niedawna nie było prostej i taniej metody, która pozwoliłaby określić, którzy mężczyźni odniosą korzyści z hormonalnego leczenia zastępczego testosteronem. Nie istniały też powszechnie akceptowane kryteria określające dolną normę dla tego hormonu.

Zespół profesora Stefana Zgliczyńskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Medycyny Prewencyjnej i Przeciwwstarzeniowej, opracował wskaźnik andropauzy. To stosunek testosteronu do hormonu przysadki mó-

zgojej LH (pobudzającego działanie jąder). On lepiej oddaje zaburzenie wydzielania testosteronu niż po prostu oznaczenie jego stężenia we krwi. Mężczyźni, którzy powinni poddać się hormonalnej terapii zastępczej, mają wskaźnik T/LH poniżej 1.

Hormonalne badania terenowe

Testosteron po raz pierwszy wyizolowano w 1935 roku. Niedługo potem nauczono się go wytwarzać syntetycznie (co przyniosło badaczom Nagrodę Nobla). Jednak już pod koniec XIX wieku znany fizjolog, profesor Harvardu Charles-Édouard Brown-Séquard odkrył, że wstrzykiwanie sobie wyciągu z jąder psów i świnek morskich zwiększa męski wigor i koncentrację. Wyciąg ów nazwał nawet eliksirem młodości. I choć w owych czasach takie praktyki nie znalazły zrozumienia ani naśladowców, sto lat później testosteron świeci triumfy popularności.

Pewność siebie, dobra kondycja, seks mięśnie, męskość – to tylko kilka jego twarzą. A wakacje to dobry czas, by się im przyręć. To w końcu świetny okres do badań terenowych: basen, dyskoteka, boisko do plażowej siatkówki, nadmorskie deptaki z ryczącymi silnikami samochodów i opalonymi pannami, na których można testować własną atrakcyjność.

No i pukawki. Tego nigdy nie zrozumie.

ZBYT MĘSKI MÓZG

KIEDY TESTOSTERON W NASZYCH GŁOWACH zbyt się rozhuła (a przyczyną tego może być rozregulowanie jakichś fizjologicznych mechanizmów), mózg robi się coraz bardziej męski, a skrajna postać męskiego umysłu to mózg autystyczny. Zwolennikiem takiego podejścia do roli testosteronu jest między innymi brytyjski badacz, profesor Simon Baron-Cohen. Powołuje się tu na swoje badania, które pokazują, że jeżeli dziecko w okresie prenatalnym było wystawione na działanie wysokich dawek testosteronu, to w wieku czterech lat wyraźnie różni się od tych, u których przed narodzeniem testosteron był w normie. Chodzi głównie o komunikację niewerbalną, otwartość, chęć wchodzenia w kontakty społeczne, które stają się upośledzone, gdy testosteron wpłynął na nadmierną „maskulinizację mózgu”. Co oczywiście nie znaczy, że pomiar poziomu testosteronu w życiu płodowym pozwala na prognozowanie autyzmu, ale może wyjaśniać, dlaczego przypadłość ta częściej dotyka chłopców niż dziewczynki.



TEŻ PYTANIE!
Kto pyta, nie błądzi. Bez wytechnienia szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłacie je na adres nauka@przekroj.pl. Przyznajemy nagrody!

URSULA DĄBROWSKA



1. JAK DZIAŁAJĄ ANTYPERSPIRANTY?

Prawie całe nasze ciało pokrywają gruczoły potowe. Szczególnie dużo jest ich na skórze pod pachami oraz na dłoniach i podeszwach stóp. I to właśnie w tych miejscach najczęściej staramy się zahamować wydzielanie potu. Antyperspiranty nam w tym pomagają, bo upośledzają pracę gruczołów potowych. Jak? To, co tak naprawdę działa w tych kosmetykach, to glin. W kontakcie z wilgotną skórą jego jony wnikają do komórek i sprawiają, że zaczynają one wchłaniać wodę i puchnąć. Co to zmienia? Ano to, że pot nie jest w stanie wydostać się z gruczołu, bo jego ujście jest zatkane przez opuchnięte wydzielające go komórki. Po jakimś czasie (od kilku do kilku godzin do paru dni) opuchnięta mija, a zdolność skóry do pokrywania się warstwą wilgoci wraca.

2. CZY MUCHY ROBIA COKOLWIEK POŻYTECZNEGO?

Trudno uwierzyć, ale tak. *Musca domestica* (czyli mucha domowa) i wiele spokrewnionych z nią muchówek stanowi ważne ogniwo ekosystemu. To, co brzydzi nas najbardziej – jedzenie śmieci, padliny, zepsutego pożywienia i odchodów – jest największą zaletą much. Kto inny chciałby to robić? A jednak ktoś musi, by wszystkie te odpadki wróciły do obiegu materii w świecie. Jeśli ten argument jest nieprzekonujący, to jest i drugi. Muchy są świetnym pokarmem dla ptaków, gadów i innych owadów. Szczególnym przysmakiem dla zwierząt są bogate w białka larwy tych znikąd widzianych insektów. Czy widok muchy nadal cię mierz? Słusznie. Choć dla przyrody

M. domestica jest nieodzowna, to ludziom może bardzo zaszkodzić. Na jej małym ciałku mieszczą się nawet dwa miliony bakterii, w tym wiele groźnych dla człowieka. Do tego mucha, by coś zjeść, najpierw wymiotuje sok trawienne i robi kupę co trzy-cztery minuty. Dlatego nie wyrzucaj sobie tego uprzedzenia – wstręt jest zupełnie uzasadniony.

4. CO TO JEST SŁUCH ABSOLUTNY?

Każdy dźwięk, który słyszymy, to wrażenie, jakie wywołuje drgające powietrze (czyli fala akustyczna) napierające na błonę bębenkową ucha. W muzyce korzystamy z czystych (jeśli jesteśmy w stanie nie fałszować) dźwięków o określonych częstotliwościach, na przykład dla dźwięku C w podstawowej tonacji (znanego również jako do) jest to 261,6 Hz, a dla A (la) – 440 Hz. Większość z nas jest w stanie rozróżnić i zapamiętać odległości między dźwiękami (interwały, czyli różnice w częstotliwości dźwięków). Dlatego możemy powtórzyć melodię, a nawet rozpoznać fałsz w znanych nam piosenkach. Natomiast osoby ze słuchem absolutnym bez porównywania z innymi tonami są w stanie określić bezwzględnie wysokość dźwięku. Mogą je nazwać, jeśli tylko znają nazwy nut. Dlatego słuch absolutny najczęściej rozpoznaje się u dzieci, które uczą się teorii muzyki. Co więcej, właśnie one mają największą szansę posiadać tę szczególną umiejętność. Bo choć ten dar w dużej mierze jest uwarunkowany genetycznie, to na jego rozwój istotny wpływ ma również edukacja muzyczna.

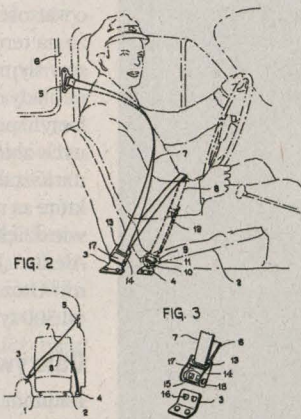


To kluczowy moment. Potem budowa sieci idzie jak z płatka. Kilka długich skośnych i pionowych nici wraz z pierwszą poziomą tworzy podstawowy szkielet. Na nim pajak osadza gęsty i bardzo przemyślany układ krótszych przędzy. I pajęczyna gotowa.



3. W JAKI SPOSÓB PAJĄK TWORZY SIĘ MIĘDZY DRZEWAMI ODDALONYMI OD SIEBIE NA PRZYKŁAD O PÓLTORA METRA?

Zaczyna od puszczenia latawca. I nie chodzi tu wcale o zabawę, mimo że trochę tak to wygląda. Stawonóg wchodzi na drzewo (plot, słup lub ścianę) i zaczyna prząść nić. Jest ona leciusiańka i wystarczą delikatne ruchy wiatru, by uniosła się w powietrze i pokonała ogromne (w pajęczych kategoriach) odległości, czyli nawet kilka metrów. Pająk wydłuża jeden koniec nici tak długo, aż poczuje, że ten puszczonej wolno do czegoś się przyczepi. Sprawdza to co jakiś czas, zwijając trochę przędę. Nie posiada się z radości, jeśli poczuje opór. To oznacza, że nić natrafiła na drugie drzewo (plot, słup lub ścianę) i wystarczy ją teraz przymocować, by mieć doskonały most między oddalonymi punktami.



5. OD KIEDY W SAMOCHODACH STOSUJE SIĘ PASY BEZPIECZEŃSTWA I KTO JE WYMYŚLIŁ?

Pierwsze pasy bezpieczeństwa wymyślił brytyjski arystokrata i inżynier sir George Cayley w połowie XIX wieku. Projekt oddanego lataniu uczonego (choć zmarł 46 lat przed pierwszym lotem braci Wright, przez wielu uznawany jest za ojca awiacji) miał być stosowany w szybowcach lub samolotach. Stało się tak dopiero na początku XX wieku, mimo że już w 1885 roku Edward J. Claghorn opatentował ten wynalazek w Nowym Jorku. Jednocześnie

w latach 20. i 30. właściciele aut – głównie lekarze, którzy coraz częściej leczili ofiary wypadków – zaczęli instalować podobne zabezpieczenie w swoich pojazdach. Wkrótce dwupunktowe pasy (dziś wciąż stosowane w samolotach) jako wyposażenie dodatkowe swoich aut wprowadzili amerykańscy producenci Nash i Ford. Natomiast montowanie nowoczesnych trzypunktowych pasów w każdym samochodzie zawdzięczamy szwedzkiej firmie Volvo. Jej inżynier Nils Bohlin wymyślił je i opatentował w 1958 roku w Szwecji (obok oryginalny rysunek patentowy z USA, 1962). Już rok później stały się standardem w każdym volvo.

Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa, A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak. Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę



Tajemnica Amazonki

To nieprawda, że Amazonia jest puszcza nietkniętą przez człowieka. Jeszcze 300 lat temu istniała tam cywilizacja, która mogła liczyć nawet 10 milionów ludzi. Poznamy ją dzięki... amerykańskim planom podboju kosmosu

NAUKA W SŁUŻBIE LUDÓW MILENA RACHID CHEHAB



Satelitarne zdjęcia Puszczy Amazońskiej mają wskazać ślady ludzkich osiedli – niezwykle żyzną glebę

NASA. LOTY KOSMICZNE, LĄDOWANIE NA KSIEŻYCU, satelity, podbój Marsa. Bye, bye, Ziemi. Ale, ale! Chwileczkę. Jest pewien problem – pieniądze na te projekty nie biorą się z kosmosu. To jak najbardziej przyziemna gotówka, w dodatku płynąca wprost z kieszeni podatników. Dlatego nawet najambitniejsze wyprawy muszą stać twardo na ziemi. Bo jeśli nie uda się przekonać mas, że agencja kosmiczna wciąż pamięta o ojczystej planecie, nie będzie pieniędzy nie tylko na Marsa, ale nawet na mleko do kawy.

Ma więc NASA w swoim programie wiele usług ziemskich. Z akcentem kosmicznym – w końcu od dawna wiadomo, że najlepiej wszystko widać z wysoka. Dziś grupa 18 satelitów monitoruje kilkadziesiąt parametrów życiowych naszej planety. Towarzyszy im Międzynarodowa Stacja Kosmiczna – największy sztuczny satelita Ziemi. Co robią?

Obserwują mieszanie się wody w oceanach. Śledzą jakość powietrza nad amerykańskimi miastami. Tropią ślady znikającego lodu. Wykrywają oznaki pojawiającego się pożaru. Wykrywają rodzące się huragany. Monitorują zmiany wielkich połączy lasów.

Jednym z najnowszych projektów kosmos-Ziemia, w których bierze udział NASA, jest badanie śladów zaginionej cywilizacji, która jeszcze 300 lat temu zamieszkiwała Puszczę Amazońską. Kosmiczny grant wart 364 tysiące dolarów od kilku tygodni wspomaga program badań archeologów z Uniwersytetu New Hampshire i grupę międzynarodowych naukowców. NASA udostępni satelitę, który zanalizuje skład chemiczny liści drzew rosnących w dorzeczu Amazonki na powierzchni około sześciu milionów kilometrów kwadratowych. Po co? A, to bardzo ciekawa historia.

Na samym jej początku będziemy jednak trochę niepoprawni politycznie. Będziemy bowiem przekonywać, że wycinka drzew w Puszczy Amazońskiej, nad której skutkami od lat biadola organizacje ekologiczne, ma swoje dobre strony. I nie chodzi o zysk korporacji, ale o wartość czysto naukową. Okazuje się bowiem, że na terenach po wycięciu niektórych obszarów słynnej puszczy widać świetnie zachowane ślady dawnej cywilizacji. Pozostałości dróg, fortyfikacji, wałów, kopców, a nawet sztucznych zbiorników wodnych. Większość z nich ma kształty prostokątne czy heksagonalne, niektóre są niemal idealnie okrągłe. To niewątpliwie dzieło człowieka. Oczywiście nie jednego. Ale ilu? Jak wielu ludzi mieszkało w Amazonii? Otóż jeszcze kilkaset lat temu mogło tu żyć od 500 tysięcy do nawet 10 milionów osób.

Odkrywanie Eldorado

Badania nad cywilizacją zamieszkującą Amazonię to stosunkowo młoda dziedzina wiedzy. Do niedawna mało kto wierzył w opowieści XVI-wiecznych podróżników, którzy pod wodzą Hiszpana Francisca de Orellany małym statkiem spłynęli Amazonką (nazywaną zresztą na początku Rio Orellana). Utrzymywali oni, że po drodze mijali wiele przybrzeż-

nych wiosek, natknęli się też na grupę kobiet wojowniczek, nazwanych przez nich Amazonkami. Nikt później nie spotkał tych plemion. Przyczyną były prawdopodobnie choroby, które przywieźli konkwistadorzy, szczególnie odra i ospa. To one zdziśiatkowały indiańskie ludy na tyle szybko, że Europejczycy nie zdążyli ich bliżej poznać. Oczywiście nie wszyscy naukowcy byli równie sceptyczni. W pierwszej połowie XX wieku podważał tę tezę słynny angielski podróżnik Percy Harrison Fawcett. Przez 30 lat, aż do zaginięcia w puszczy w 1955 roku, poszukiwał cywilizacji, którą nazywał Miastem Z. Przekonaniem, że w dorzeczu Amazonki istniało mityczne Eldorado, zaraził wtedy wielu ludzi, którzy w poszukiwaniu nie tylko Miasta Z, ale i samego Fawcetta rzucili się przeczesywać 6,5 miliona kilometrów kwadra-



Sposób na odkrycie zaginionej cywilizacji? Wyciąć wielką połąć lasu

nych dzungli. Pierwszych dowodów na to, że Amazonia była kolebką zaginionej cywilizacji (i na to, że brytyjski Indianina Jones nie był wariatem), dostarczyła w latach 80. archeolożka Anna Curtenius Roosevelt (praprawnuczka Theodora, prezydenta USA), która badała kopce na jednej z wysp w ujściu Amazonki i stwierdziła, że w tym rejonie żyło około 40 tysięcy ludzi.

Analiza dorzecza Amazonki za pomocą zdjęć satelitarnych, która rozpocznie się w najbliższych dniach, to jedna z najczęstszych metod wykorzystywanych przez archeologów badających dawną cywilizację amazońską. Ostatnio głośno było o niej w 2008 roku za sprawą publikacji brazylijskiej archeolożki Denise Schaan na łamach branżowego pisma naukowego „Antiquity”. Schaan i jej współpracownicy oprócz klasycznych zdjęć robionych własnoręcznie z samolotu analizowali również mapy dostarczone przez Google Earth.

Dzięki temu zespół brazylijskich badaczy zidentyfikował około 200 ziemnych konstrukcji leżących wzdłuż rzeki Acre przy granicy brazylijsko-boliwijskiej, szacując jednocześnie, że takich budowli może być nawet 10 razy więcej.

Najwięcej zamieszania w tej sprawie zrobiły jednak badania antropologa Michaela Heckenbergera z University of Florida prowadzo-

ne od połowy lat 90. Swojego odkrycia dokonał przypadkowo. Badając liczącą około 500 osób społeczność amazońskich Indian Kuikuro, stwierdził, że mają zbyt zhierarchizowaną strukturę jak na tak nieliczne plemię. Wniosek: kiedyś musiało być ich dużo więcej, a tradycja pozostała do dziś. A wtedy Kuikuro pokazali mu ślady dawnych osad plemiennych, które dziś porasta dżungla. Heckenberger rozpoczął więc trwające kilkanaście lat badania w dolinie rzeki Xingu. Jednym z efektów była publikacja w tygodniku „Science”, która w środowisku wywołała nie lada zamieszanie.

Znaki na ziemi

Analizując zdjęcia satelitarne, Heckenberger zauważył na przykład, że dawna cywilizacja amazońska nie miała jednego dużego ośrod-



Nieliczne pozostałe wioski nad Xingu od tysięcy lat wyglądają tak samo

ka, ale składała się z sieci małych, otoczonych murami miast oddalonych od siebie o 3–5 kilometrów. W każdym żyło od 2,5 tysiąca do 5 tysięcy ludzi. Układem przypominały średniowieczne miasta europejskie. Wokół nich leżały wioski. Pomiędzy zabudowaniami były pola uprawne, na których – ze względu na dużą kwasność gleby – uprawiano głównie maniok. Tereny rolnicze przeplatane były zaporami wodnymi i stawami, w których hodowano ryby. Wszystko to, przypomnijmy, na terenie porośniętym gęstą puszcza. Co ciekawe, w tamtych czasach prawie w ogóle niekarczowano – ówczesnym mieszkańcom wystarczyły dające orzechy i owoce drzewa, takie jak palma dżemowa o owocach wyjątkowo bogatych w składniki odżywcze.

W dyskusji, która rozpetęła się po serii publikacji Heckenbergera w „Science”, niektórzy argumentowali, że z powodów częstych powodzi i bardzo kiepskiej jakości gleby amazońska cywilizacja nie mogła opierać się na rolnictwie. To jednak słaby argument, ponieważ na terenach Amazonii ówczesni mieszkańcy sami potrafili wytwarzać żyzną ziemię. Tak zwana terra preta to mieszanina słabej amazońskiej gleby z węglem drzewnym, odpadami organicznymi i pokruszonymi skorupkami glinianymi naczyń. Dzięki niej udawało się zlikwidować trzy głów-

ne wady tamtejszej gleby – węgiel drzewny odkwaszał grunt, odpady uzupełniały braki azotu, a skorupy sprawiały, że ziemia nanoszona przez wylewy rzeki nie była tak zbita. Według XVI-wiecznych relacji hiszpańskich podróżników taka poprawiona ciemnobrązowa ziemia pokrywała setki kilometrów dorzecza Amazonki (dziś powrót do tej technologii jest jednym z pomysłów na walkę z głodem wśród 800 milionów ludzi żyjących w krajach tropikalnych). Ciekawe, że po kilkuset latach wciąż zachowała ona większą żyzność, dzięki czemu zresztą sens mają rozpoczynające się analizy z użyciem satelitów NASA, które mają wytropić gatunki roślin rosnących na dobrej ziemi.

Na uwiecznienie w dziele naukowym badania satelitarne nad terra preta poczekają kilka lat. W tym czasie archeolodzy szacować bę-

da, jak liczna była populacja ludzi żyjących nad Amazonką jeszcze 300 lat temu. Ekolodzy spędzą ten czas na szukaniu mocniejszych argumentów przeciw karczowaniu Puszczy Amazońskiej. Bo ten o dziewiczym, nietkniętym przez człowieka lesie już właściwie odpada. Bliżej mu bowiem do – jak określili go w jednej z prac Heckenberger – zarośniętego parku kultury.

Nieży kosmos, prawda? □

DROGI JAK POMNIKI

CHOĆ JEST NIEMAL PEWNE, ŻE DAWNA CYWILIZACJA amazońska nie dysponowała żadnymi pojazdami, z jakichś nieznanых wciąż powodów w dorzeczu Amazonki budowano potężne drogi liczące nawet 50 metrów szerokości i biegnące zawsze w tym samym kierunku, północno-wschodnim, natomiast większość budowli zorientowana była na północ. Heckenberger uważa, że to kwestia estetyki: drogi miały nie tyle służyć transportowi, ile pełnić funkcję pomników. – Dla mieszkańców dorzecza Xingu były tym, czym piramidy dla Majów. Świadczą zresztą o ich rozwiniętej wiedzy matematycznej i astronomicznej – mówi naukowiec.

KORZYSTAJ

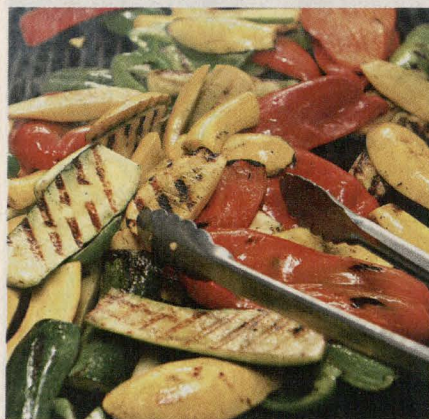
MIĘSO
WARZYWA
ŚLIWKI
PŁOMIENIE
AMINY

Grillować i przetrwać

KUCHNIA I NAUKA

Albo smacznie, albo zdrowo. To kontrowersyjne podejście do kategoryzacji jedzenia jest niestety prawdziwe w odniesieniu do grilla. A przynajmniej tego pojmowanego tradycyjnie – kawał mięcha położony na ruszcie wiszącym nad rozpalonymi niemal do białości węglami.

W czym problem? W związkach aromatycznych. Brzmią, przyznać trzeba, smakowicie. Jednocześnie mocno trują – są silnie rakotwórcze. To heterocykliczne aminy i wielopierścieniowe węglowodory powstające, gdy na otwartym ogniu skwierczy mięso czy ryba. Zachodzi wtedy reakcja Maillarda, której zawdzięczamy zarówno chrupiącą, pyszną skórkę, jak i całe to zdradliwe i kancerogenne towarzystwo. Oto nasze rady, jak grillować zdrowo i smacznie. Ponoć to jednak możliwe. □

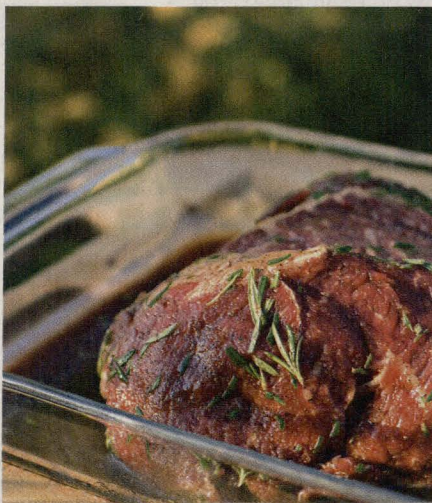


Grzej zieleninę

Cukinia, papryka i pieczarki to stały grillowy repertuar. Przypiekanie roślin nie powoduje powstawania gamy aromatycznych trucizn, warto więc rozszerzyć horyzonty. Grillować można niemal wszystko – specjaliści polecają śliwki, pomarańcze czy kapustę rzymską. W sieci łatwo też znaleźć przepisy na grillowane jabłka, gruszki i banany z imbirem i cynamonem. A jeśli już musisz grillować mięso – rób szaszłyki z owocami.

Konieczne marynuj

Przeprowadzone niedawno badania nie pozostawiają wątpliwości – marynowanie mięsa zmniejsza ilość heterocyklicznych amin, jakie powstają podczas grillowania. Najlepiej sprawdzają się marynaty ostre, bo te zawierają najwięcej antyoksydantów. Jeśli jeszcze użyjemy czosnku, tymianku i szalwii, ilość kancerogenu zmniejszy się nawet o 60 procent. Ale sprawdzonym przebojem jest rozmaryn. Oparte na nim marynaty ograniczają tworzenie się wszelkich świństw aż o 90 procent!



W tym tygodniu:

ROBIMY ABSOLUTNIE WSZYSTKO,
BY POLSKI SPORT NARODOWY
– GRILLOWANIE – UCZYNIĆ
ZDROWSZYM



Piwo z aromatem tequili i smakiem upchniętej w szyjce butelki cytryny to **światny zestaw pod dania z grilla**. Do końca wakacji wiele dzieje się na stronie www.desperadosbeer.pl



Alkohol czyni cuda

Tak, wszyscy wiedzą, jaki cud może uczynić kilka butelek wina podczas ogródkowej imprezy. Ale tym razem nie o to chodzi. My znowu o marynaty. Sześć godzin, jakie spędzi wieprzowina w pełnym antyoksydantów czerwonym winie, ograniczy jej rakotwórczość o 40 procent. Podobne efekty zdrowotne da wymoczenie mięsa w piwie, a zdaniem smakoszy złoty trunek jeszcze lepiej wpłynie na walory kulinarne potrawy. Niestety, nie wiemy, czy ograniczanie rakotwórczości się sumuje i marynata piwno-winna daje 80 procent.

Unikaj ognia, przynajmniej takiego jak na zdjęciu. Najwięcej aromatycznych substancji rakotwórczych powstaje w temperaturze przekraczającej 160 stopni Celsjusza. Idealnie więc byłoby grillować poniżej tego progu, jednak trudno kogoś namawiać do przygotowywania mięsa z termometrem w dłoni. Dlatego wystarczy unikać otwartego płomienia, a jedzenie układać na jednorazowych aluminiowych tackach. Ale nie popadaj też w przesadę – niedopieczony kurczak może być źródłem bakteryjnych zatrąć.

Mocz z zegarkiem

Dawno nie było o marynowaniu, prawda? No więc kolejna rada – nie trzymaj mięsa w marynacie dłużej niż 5–6 godzin. Smak nie wniknie już głębiej, a po zbyt długim czasie ilość antyoksydantów zaczyna spadać. Dobrym sposobem jest dodatkowe posmarowanie jedzenia tuż przed grillowaniem.



Mikrofaluj

Grill i kuchenka mikrofalowa? Nie, to nie pasuje. A jednak. W pogoni za ograniczeniem rakotwórczości mamy argument ostateczny. Mięso włożone na dwie minuty do mikrofalówki po grillowaniu będzie miało aż o 90 procent mniej heterocyklicznych amin. Tylko wylej powstały w kuchenke sos!



WAKACJE z Przekrojem

Blomkvist nie mógłby kupić mieszkania na Bellmansgatan 1 – kamienica jest własnością magistratu



ŚLADAMI ZBRODNI AGNIESZKA FIEDOROWICZ, SZTOKHOLM

Mille-turyści

FANI KSIĄŻEK STIEGA LARSSONA PIELGRZYMUJĄ DO SZTOKHOLMU, BY NA WŁASNE OCZY ZOBACZYĆ MIASTO BLOMKVISTA I SALANDER

BRITT PROWADZI ROWER PRZEZ ŚWIATŁA. SPOTYKAM JĄ NIEDALEKO STACJI METRA W SAMYM ŚRODKU SZTOKHOLMSKIEJ DZIELNICY SÖDERMALM. GDY PYTAM, JAK TRAFIĆ NA BELLMANSGATAN, JEJ TWARZ ROZJAŚNIA UŚMIECH. PYTA KRÓTKO: „Millennium Tour?”

Britt jak większość mieszkańców dzielnicy przyzwyczaiła się do mille-turystów, takich jak ja fanów trylogii Stiega Larssona. Przyjeżdżają do Sztokholmu, by na własne oczy zobaczyć miasto, które autor uczynił tłem akcji swoich kryminałów. Muzeum miejskie organizuje tu wycieczki śladami bohaterów Larssona. Britt nie tylko pokaże mi drogę, bo – jak się okazuje – sama wybiera się na Millennium Tour z przyjaciółką z Holandii. „Do zobaczenia na kawie u Mikaela” – woła na pożegnanie.

Wąska uliczka pnie się w górę, po czym ostro spada w dół. Kamienica numer 1 z wieżyczką na rogu. Na poddaszu mieszka główny

bohater trylogii Larssona, dziennikarz „Millennium” Mikael Blomkvist. Przed kamienicą powoli gromadzą się turyści. Przewodniczka Elizabeth Daude sprzedaje ostatnie bilety. W plecaku ma podręczny terminal i przyjmuje tylko karty. Nakleja nam czerwone plakietki „Stockholms Stadsmuseum”. Pochodzący z Teksasu Richard i Doris Moore na emeryturze zwiedzają Europę i nie mogli ominąć wycieczki śladami „Millennium”: – Te książki wciągają, bo ich świat jest opowiedziany niezwykle szczegółowo. Ulice, budynki, relacje społeczne są tak realistyczne, że aż kusi, by samemu zanurzyć się w świat „Millennium” – tłumaczy mi Doris. Rudowłosa Niemka Nathalie ucisza w wózku najmłodszego uczestnika wycieczki, niespełna rocznego malucha. Sama przeczytała na razie tylko pierwszy tom trylogii. Dziś w wycieczce towarzyszy mężowi: – Larssonmania w Niemczech wybuchła jak niegdyś potteromania. Jed-

nego dnia nikt nie wiedział, kim jest ten Szwed. Następnego zaś wchodziło się do autobusu, a tam co drugi pasażer czytał „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet” – opowiada Nathalie. Tę wycieczkę także odbywają przy okazji zwiedzania innych atrakcji miasta. Za to Martina, 19-letnia Włoszka, przyjechała do miasta specjalnie dla „Millennium”. Jej ulubioną powieściową postacią jest siostra dziennikarza Annika Giannini. – Setki razy czytałam fragment, kiedy Annika broni w sądzie Lizbeth. To prawdziwy majstersztyk – zachwycę się Martina, która w październiku zaczyna studia prawnicze w Rzymie.

Pan Blomkvist tu nie mieszka

Muzeum organizuje wycieczki od zeszłego roku: – Ludzie w trakcie zwiedzania Sztokholmu wciąż pytali przewodników o dom Blomkvista i redakcję „Millennium” – opowiada Elizabeth Daude. – Latem grupy liczą od 30 do 60 osób. Ale nawet tej zimy, przy temperaturze -20 stopni Celsjusza mieliśmy komplet – dodaje. Na początku oprowadzający wycieczki posługiwali się tylko językiem szwedzkim. – 30 milionów sprzedanych na świecie egzemplarzy robi swoje. Okazało się, że na 60-osobową grupę przypada 30 Włochów i 10 Niemców – śmieje się przewodniczka. Od tego lata dwa razy w tygodniu oprowadza anglojęzycznych gości.

W domu, przed którym stoimy, Larsson nigdy nie mieszkał. Sam Blomkvist też nie mógłby kupić tu apartamentu na poddaszu, bo ka-

mienicę przejęło miasto, które w ten sposób chroni zabytki przed wyburzeniem. – A gdzie się podziały drzwi wejściowe? – pyta zniecierpliwiona Elizabeth. Są w książkach i filmach, ale w realu mieszkańcy wchodzi przez klatkę schodową innej kamienicy i przechodzą kładką na górę. Gdy kręcono film, wykorzystano drzwi kamienicy na początku ulicy – tłumaczy przewodniczka. – Jak wróćcie do domu, sprawdźcie.

To polecenie padnie jeszcze wielokrotnie, a stojąca obok mnie Martina jest pewna, że to robi: – Dzięki tej wycieczce ucze się dostrzegać smaczki, które dotąd mi umykały.

Lizbeth wchodzi na pokład

W czasie zwiedzania dowiemy się sporo nie tylko o scenerii samej opowieści, ale także o jej autorze. – Larsson wpadł na pomysł, aby napisać powieść o postaciach z książek swojego dzieciństwa, które dorosły. O kim konkretnie? – Weźmy małą, silną dziewczynkę, która jest bardzo uparta, a jednocześnie niedostosowana społecznie, nie ma rodziców, ale ma skrzynię złotych monet i równie złote serce. To dorosła... Pippi Langstrump! – wykrzykuje kilka osób. Martina jest zdziwiona, że jej ukochana bohaterka Lizbeth Salander to podstarzała Pippi. Chwilę później już się uśmiecha, bo właśnie przypomniła sobie, że w trzeciej części Mikael przemycił Lizbeth do szpitala palmtop, a hasło, które go uruchamia, to właśnie „Pippi”. – Za fenomenem trylogii stoi to, że każdy

lander, tu także mieszka pierwszy opiekun prawny Lizbeth Holger Palmgren – wylicza Daude. Zło zagnieździło się na północy. Biały wieżowiec niedaleko Odenplan to mieszkanie adwokata Nilsa Bjurmana, który bestialsko zgwałcił Salander. Dalej na zachód, w Östermalm, dzielnicy ludzi wpływowych, mieszka biznesmen Wennerström (tom I „Millennium”) oraz członkowie działającej na szkodę państwa tajnej komórki Säpo (tomy II i III).

Z brzegu oglądamy też sąd, w którym sądzony jest Blomkvist (tom I). – Kiedy kręcono film, sąd był w remoncie, więc scena rozgrywa się w budynku pobliskiej apelacji – wskazuje przewodniczka. – Większość widzów nie zauważyła różnicy, ale sztokholmczyści byli oburzeni. Blomkvist nigdy nie apelował! – Musicie poczuć, jak pachnie świat Larssona – przekonuje nas Elizabeth. Stoimy na Tavastgatan, niedaleko libańskiej knajpki Tabuli sportretowanej w książce jako bar u Samira, do którego Blomkvist często wpada. – Właściciele Tabuli byli zaskoczeni, że to o nich chodzi – śmieje się Daude.

Koniunkturę wyczuli za to właściciele kawiarni, gdzie przesiadywał nie tylko Blomkvist, ale i sam Larsson. Dwa lata temu przemianowano lokal na Mellqvist Kaffebär.

Kawa leje się w „Millennium” strumieniami. Piją ją w redakcji, na policyj, w kawiarniach. Kawa, papierosy i szwedzkie sandwiche (dwie kromki chleba, masło i szynka) to do-



Koniunkturę wyczuli właściciele opisanego w książkach Kaffebäru na Hornsgatan, gdzie kawę pijali bohaterowie i sam autor. Dziś do Mellqvist Kaffebär pielgrzymują fani

znajdzie w niej coś dla siebie: zabawę literacką konwencją, kryminalne zagadki. I wreszcie Sztokholm.

Stoimy na promenadzie Monteliusvagen. Ze wznieśsienia widać drugi, północny brzeg. – Jesteście tutaj, bo Sztokholm jest tłem książki. Autor potraktował to miasto jak rekwizyt, który ma uwiarygodnić powieściową historię – tłumaczy Elizabeth Daude. Uświadamiamy sobie, że u Larssona woda nigdy nie lśni w promieniach słońca. Autor nie zachwycę się artystycznym gwarem dzielnicy Södermalm, w której toczy się większość akcji. – Docenił ją, bo Södermalm to „wyspa dobra”. Tu mieszka Blomkvist, tu nowy apartament kupuje Sa-

minujące w powieściach używki i jedzenie. Salander je też szwedzką Billy's Pan Pizza. – Tak niezdrowo odżywał się sam Larsson. Jeśli dodamy do tego wyczerpujący tryb pracy (pracował nad trylogią prawie bez przerw, niemal bez snu), to trudno się dziwić, że zakończyło się to tak dramatycznym finałem – opowiada Elizabeth. Pisarz zmarł w 2004 roku na atak serca. Odszedł, pisząc, tak jak jeden z jego bohaterów, opisany w trzecim tomie redaktor naczelny „Svenska Morgenposten”.

Po drodze mijamy modernistyczne domy klocki. Tu na piętrze mieści się redakcja „Millennium” (w rzeczywistości znajduje się tam agencja nieruchomości). Prawdziwa gazeta

Larssona, antyrasistowski magazyn „Expo”, miała swoją siedzibę gdzieś indziej. – „Expo” to takie gorsze „Millennium” – zauważa Daude. Tak samo jak Blomkvist Larsson też wierzył w siłę dziennikarstwa obywatelskiego, które tropi nieprawości w pozornie cywilizowanym szwedzkim społeczeństwie.

Mroczny obraz Szwecji

– To podstawowy problem, jaki mamy z Larssonem – zauważa dziennikarz szwedzkiego dziennika „Expressen” Tobias Björklund. – Jesteśmy z niego dumni, bo jest najlepiej sprzedającym się Szwedem na świecie, a ludzie dzięki niemu zwiedzają Szwecję. Jednak przedstawiony w książkach kraj odbiega od lansowanego szwedzkiego ideału. Zamiast Bullerbyn i Ikei są tam spiskujące przeciw państwu tajne służby, które niewygodnych obywateli, jak Lizbeth, pakują do psychiatryka. Kwitnie tam podziemny handel kobietami. Są rasiści z faszystowskimi ciągawkami, którzy w zaciszu swej wyspy zabawiają się w seryjnych morderców.

Nasza podróż kończy się pod apartamentowcem na Fikargatan 9. To tu Lizbeth za pieniądze skradzione Wennerströmowi kupiła 21-pokojowy apartament, który oczywiście wyposażała meblami z Ikei. Gdy kręcono tu film, budynek był w remoncie, więc reżyser znalazł identyczny w innej części miasta. Mieszka tam popularny szwedzki aktor komediowy. Pewnego dnia, gdy wyszedł na balkon, zobaczył wycelowane w siebie kamery. Wściekły zadzwonił na policję, krzycząc, że paparazzi przekraczają wszelkie granice. Po chwili posterunkowy odzwoił, mówiąc: oni nie do pana, kręcą film o Salander.

Wycieczka podobala się nawet Stefanowi Bongersowi, który jako jedyny jej uczestnik nie przeczytał książek Larssona. Fabułę opowieści mu jego żona Heike, fanka Salander.

Idąc do metra, mijam Kaffebär. Tędy pod koniec I tomu idzie do Mikaela Salander. Nieśmiesznie mu w prezencie płyte z jego ulubionym kawałkiem Elvisa „Heartbreak Hotel”. Spostrzega Mikaela, który wychodzi z baru z kochanką Eriką Berger. Ich widok przynosi jej niewysłowny ból. Marzy o „rozplataniu głowy Eriki ostrą krawędzią blachy”. Jednocześnie jednak twarzą Salander pierwszy raz w życiu uświadamia sobie, że jest zakochana. Nie jest to jednak dla niej miłe uczucie. Po chwili odzyskuje spokój. Postanawia wyrzucić Blomkvista ze swojego życia. Odwraca się na pięcie i przy stacji metra Zinkensdamm wrzuca płytę Elvisa do kosza. □

O wojnie między bohaterami kryminałów ze słonecznego Południa i zmrozonej Północy czytajcie na s. 52

Mille-wycieczki

Śladami bohaterów można ruszyć w sobotę o 11 i środy o 18 (w języku angielskim). Bilety w cenie 120 koron (ok. 60 zł) można nabyć w Stockholms Stadsmuseum lub u przewodniczki. Spacer trwa dwie godziny. Na zwiedzanie dostępne jest też po francusku, włosku, niemiecku, rosyjsku, duńsku i fińsku.

→
W tym tygodniu:
PRZYGLĄDAMY SIĘ WOJNIE AUTOFÓW
KRYMINALÓW Z PÓŁNOCY I POŁUDNIA,
SPRAWDZAMY, Z KIM ZAGRA W GDAŃSKU
LESZEK MOŹDŻER, I OCENIAMY
LITERACKI POMNIK MAJAKOWSKIEGO

JIM MORRISON: PO CO NAM TA LEGENDA

CHOĆ OD JEGO ŚMIERCI MINĘŁO BLISKO 40 LAT,
WCIAŻ ŻYJE I BUDZI KONTROWERSJE.
CZYM **JIM MORRISON** – KABOTYN I KRÓL ZARAZEM
– ZASŁUŻYŁ NA TE WSZYSTKIE ZASZCZYT?

FAKTY I MITY JAREK SZUBRYCHT

PRAWIE NIE KUPUJEMY PŁYT, ZA TO CORAZ CHĘTNIEJ oglądamy na dużym ekranie śpiewających i grających straceńców. Do polskich kin trafia właśnie długo oczekiwany film Toma DiCillo „The Doors – Historia nieopowiedziana” – rzecz dla tych, którzy pamiętają złotą erę rocka, i takich, którzy chcieliby wiedzieć, czym do dziś zachwycają się rodzice lub starsze siostry. Tym bardziej że sami nie mają ich kim zastąpić. Brakuje dziś popkulturowych idoli dużego formatu, za co winę ponosi kryzys branży muzycznej, która już nie jest w stanie młodych i rzeczywiście zdolnych wynieść na szczyty sławy. A czy ktoś widział w ostatnich latach na scenie nietuzinkową osobowość porwijącą miliony? Skoro nie, to ten brak rekompensujemy sobie legendami ze złotej ery rocka. Jeszcze dekadę temu mało kto pamiętał o Joy Division i Ianie Curtisie, a dziś to właśnie on jest jednym ze świętych alternatywnej sceny, z ołtarzykiem w co drugim fanowskim domu. Kultury Elvisa, Johna Lennona, Jimiego Hendriksa, Janisa Joplin, Kurta Cobaina, a u nas na przykład Czesława Niemena czy Ryszarda Riedla, to już religie niemal zinstytucjonalizowane. Nikt nawet się nie zastanawia, za co wielbimy tych

państwa, bo myślenie tylko przeszkadza w biciu pokłonów.

A Jim Morrison? Czy on też należy do grona gigantów, których powinniśmy bezkrytycznie czcić? Zasłużył na kolejny pomnik? Naprawdę był tak wielkim artystą, jak twierdzi w swoim filmie DiCillo? Sprawdźmy. Werdykt należy do was.

Za: Miał oryginalną, intrygującą barwę głosu. Dzisiaj niechybnie zrobiłby karierę, dubbingując „Shreka” albo jako lektor w nawigacji GPS, gdzie wskazywałby drogę do najbliższego baru serwującego whisky: „Za sto metrów skręć w prawo. I nie pytaj dlaczego. I nie pytaj dlaczego”. Jak mało kto w rockowym świecie potrafił wyrazić głosem skrajne emocje – od nieśmiało wymruczanej, ciepłej melancholii po wykrzyczaną pełnym gardłem wściekłość.

Przeciw: Cienko śpiewał. Dlatego tak chętnie uciekał w melorecytację lub wrzaski.

Za: Był przystojny. Wnioskuję z porównań do greckich bogów, którymi go zasypywano. No i z powodzenia u kobiet.

Przeciw: Nie miał poczucia humoru i dystansu do siebie. Dla najbliższego otoczenia był zmorą. Na każdą próbę żartu na swój temat reagował ciężką obrazą. Na dłuższą metę było to trudne do wytrzymania.

Za: Nagrał ze swoim zespołem kilka ważnych płyt („L.A. Woman”, „Morrison Hotel”) i nieśmiertelnych utworów („Riders on the Storm”, „Light My Fire”). Był głosem generacji.

Przeciw: Trafił na dobry czas i popłynął z prądem. Pod koniec lat 60., kiedy powstawała ścieżka dźwiękowa do współczesnej kultury popularnej, prawie wszystko wyglądało na nowe, odkrywcze i rewolucyjne. Wszystkie przyzwoite piosenki z tamtych lat – od „I’m a Believer” The Monkees do „Revolution 9” Beatlesów – automatycznie weszły do kanonu. To fakt, utwory The Doors były oryginalne, bo z jednej strony miały w sobie coś kabaletowego (te pijane organy Raya Manzarka), a z drugiej harcowały na najmroczniejszych rubieżach psychodelicznego rocka, bo zespół nie bał się zapuszczać w rejony, po których dziś grasują Radiohead. Ale kto wie, czy takie nuty wystarczyłyby do nieśmiertelności, gdyby Doorsom nie przysłużyła się tragiczna legenda frontmana... O tym jednak za chwilę.

Za: Był poetą, wizjonerem, prorokiem. Kiedy inni ograniczali się do śpiewania prostym językiem o przyziemnych sprawach, on na skrzydłach muz wznosił się do absolutu.

Przeciw: Był bardzo, bardzo kiepskim poetą. „Upadam. Słodka czerń./Dziwny świat, który czeka i patrzy./Pradawny lęk przed nieistnieniem./Jeśli to nie problem, po co o tym mówić./Wszystko, co zostało powiedziane, oznacza/swoje przeciwieństwo i wszystko inne./Jestem żywy. Umieram”. Owszem, jeśli uwierzyć definicji Tuwima, że poezja to jest „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga”, nawet zle →



Jim Morrison to specjalista od wizerunku. Lider The Doors szybko zrozumiał, że w rocku od muzyki istotniejszy jest wyrazisty gest i ćwiczona przed lustrem poza



The Doors nagrali tylko sześć płyt. „Morrison Hotel” wielu uważa za najlepszą. A którą grupę umieściła nazwisko lidera w tytule? Żadne

→ wiersze można Morrisonowi wybaczyć. Co wcale nie znaczy, że da się je czytać.

Za: To on był The Doors. Nie do podrobienia, nie do zastąpienia.

Przeciw: Zrobił, co mógł, by zniszczyć karierę nie tylko swoją, ale i swoich zdolnych kolegów. Do tego stopnia położył się cieniem na życiorysie klawiszowca Raya Manzarka i gitarzysty Robby'ego Kriegera, głównych architektów brzmienia The Doors, że po jego śmierci nie potrafili już skleić niczego interesującego – ani razem, ani osobno. Jedyne, na co ich było stać, to groteskowa reaktywacja The Doors, w którym Morrisona udawał między innymi Ian Astbury z The Cult. Co gorsza, ciągle się w to bawią (obecnie za Jima robi Chorwat Miljenko Matijević), ale tym razem już pod szyldem Manzarek-Krieger. Używanie nazwy The Doors oprostował bowiem były perkusista grupy John Densmore, twierdząc, że zgodzi się na tę maskaradę, i nawet sam chętnie do niej dołączy, ale pod jednym warunkiem – Morrisonem ma zostać Eddie Vedder z Pearl Jam. Na szczęście Vedder jest zbyt zajęty byciem Vedderem, by pakować się w taką awanturę.

Za: Był charyzmatycznym frontmanem, scenicznym zwierzęciem. Miał niepowtarzalny styl i znalazł setki, tysiące naśladowców.

Przeciw: Często zawałał koncerty. Spóźniał się, mylił utwory, spadał ze sceny. Trudno powie-

dzieć, ilu widzów przychodziło na te występy, bo kochało muzykę The Doors, a ilu tylko po to, by zobaczyć, jaki tym razem Jim wytnie numer. A ten jego styl to – Boże, pomiluj! – skórzane portki, rozcheltana koszula i indiańskie koraliki. Skoro już o skórzanych spodniach mowa, to Sheryl Crow wydaje się coś o nich wiedzieć. – Nosił te skórzane spodnie przez jakieś osiem lat, więc musiał cuchnąć. Dla mnie to nie jest sexy – powiedziała w jednym z wywiadów. Podobna sugestia pojawia się w filmie Olivera Stone'a. Tylko kto powiedział, że rock musi pachnieć fiołkami? „Śmierdzisz mydłem!” – usłyszał mój znajomy na Przystanku Woodstock i coś musi być na rzeczy. Choć Jim ma szczęście, że ludzkość utrwała mity za pomocą słów, obrazów i dźwięków, a nie zapachów.

Za: Umarł młodo. Bez ironii. Nie ma bardziej mitotwórczego czynnika niż tajemnicza śmierć przed trzydziestką. A zgon Morrisona był nader tajemniczy. Według najbardziej rozpowszechnionej wersji zmarł w wannie, bo ponoć wciągnął nosem heroinę, którą wziął za kokainę. Sekcji zwłok jednak nie było, a im dalej od feralnej nocy 3 lipca 1971 roku, tym więcej pojawia się wersji alternatywnych, przekazywanych przez (podobno) naocznych świadków.

Przeciw: Umarł młodo. Tyle że w zapiciu się czy zaćpaniu na śmierć nie ma nic fajnego, bohaterskiego czy szalonego. Nie otwiera się tym wytrychem drzwi percepcji, nie da się przebić

na drugą stronę rzeczy. A nawet jeśli się da, to nie sposób się swoim sukcesem pochwalić, więc próżny trud.

Za: Dzięki niemu tysiące fanów The Doors dowiedziały się, gdzie spoczywają doczesne szczątki Fryderyka Chopina, Marcela Prousta czy Oscara Wilde'a, i kto wie, może nawet przystąpiły w zadumie na chwil kilka przy ich mogiłach. Oczywiście od tego jeszcze bardzo daleka droga do czytania „W poszukiwaniu straconego czasu” czy słuchania Chopinowskich mazurków, ale najtrudniejszy pierwszy krok.

Przeciw: Przez niego piękna paryska nekropolia Père-Lachaise, ze szczególnym wskazaniem na najbliższe okolice grobu Jima, przez długie lata wyglądała jak wysypisko śmieci. Administratorzy cmentarza do znudzenia toczyli nierówne boje z niezbyt zdyscyplinowanymi fanami wokalisty The Doors, którzy wybierali sobie miejsce spoczynku idola na scenie imprez, przygód erotycznych lub po prostu śmieci i wypróżniali się pomiędzy grobami. Obsmarowywali też pobliskie monumenty hołdami dla wokalisty i zostawiali strzałki „Do Jima”, które inni dowcipnicy wykręcali we wszystkich możliwych kierunkach. Na szczęście od kilku lat pielgrzymki do grobu Morrisona zachowują się w sposób bardziej cywilizowany.

Za: Oliver Stone nakręcił o nim film. A przecież kto jak kto, ale autor „Nixona” dobrze wie, o kim filmy kręcić (ale o tym przeczytajcie

FOT. JOEL BRODSKY/CORBIS, HENRY DILTZ/CORBIS, PATRICK CHAUVEL/SYGMA/CORBIS, DANIEL FOURAY/MAXPPP/FORUM

na s. 28). W dodatku „The Doors” odniósł spory sukces i wywołał na całym świecie, w tym w Polsce, nową falę doorsomanii.

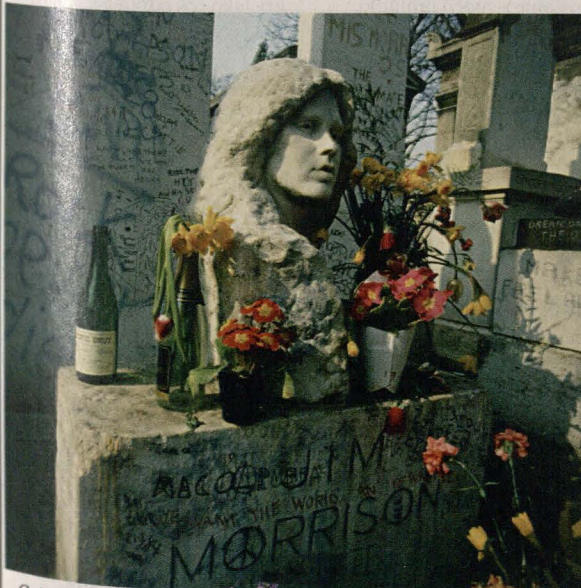
Przeciw: Niestety, dialogi w „The Doors” są równie bełkotliwe jak poezja Jima, Kyle MacLachlan (filmowy Manzarek) nosi kompromitującą perukę, a sceny narkotykowych wizji i erotycznych uniesień skutecznie zniechęcają do seksu i narkotyków. Słowem – wyjątkowo kiepski to film. A Stone ma też w dorobku dokumentalny panegryk ku czci Hugo Cháveza.

Za: Żyje w legendzie podtrzymywanej przez wznowienia płyt, kolejne kompilacje, wreszcie filmy w rodzaju niesławnego dzieła Stone'a, a teraz „Historii nieopowiedzianej”. Wciąż jest ikoną. Jak Joplin, Lennon, Hendrix i wcale nie tak wielu innych.

Przeciw: A na dodatek według legendy wciąż żyje. Musi więc być już stary, gruby i brzydki, a taki bóg rocka jest nie do przyjęcia. Nawiasem mówiąc, wyznawcy teorii spiskowych nie twierdzą, że Jim żyje, bo to banal (sugerują to zresztą pierwsze kadry filmu „The Doors – Historia nieopowiedziana”), ale że... nigdy nie istniał. Było tak: kilku dżentelmenów wcieliło się w rolę Jima Morrisona, wokalisty rockowego. Wszyscy byli na garnuszku CIA i brali udział w skomplikowanym eksperymencie socjologicznym mającym na celu badanie skuteczności manipulacji ciemnym ludem za pomocą rock and rolla i mediów.

To wszystko prawda. Jim Morrison nie umiał śpiewać, pisał teksty, których sam nie rozumiał, i nieznośnie słabe wiersze. Był egzaltowany, zadufany w sobie i arogancki. Na koncertach bardziej skupiał się na parateatralnych gestach niż na muzyce. Jeśli w ogóle był w stanie zagrać koncert. Nadużywał. Zaprzepścił karierę swoją i kolegów z zespołu. Nosił skórzane spodnie. Był więc... rockowym wokalistą doskonałym. A po śmierci zasłużenie awansował do rangi symbolu, wręcz archetypu rock-androllowego frontmana. Bo zanim muzykę rockową sformatowano, zanim zajęli się nią marketerzy, fryzjerzy i reżyserzy, była żywiołem takich jak Morrison właśnie – smarkactych arogantów, którzy uważali się za nieśmiertelnych i myśleli, że świat się na nich zaczął i na nich skończy. Ich rock nie był jeszcze zmierzony i zważony, nie był przeliczony przez księgowych na zysk netto. Był niedoskonały, kiczowaty i głupi. A przez to wszystko niepowtarzalnie piękny.

I chyba tylko na wieść, że dzisiaj nie jest już synonimem buntu, ale szanowanym klasykiem, Jim Morrison uśmiełby się serdecznie. Nawet jeśli rzeczywiście nie miał poczucia humoru. □



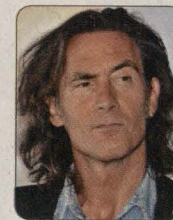
Grób Jima – miejsce modłów, imprez, erotycznych przygód

ROZMOWA

Żył na sto procent

Opowiedziałem historię The Doors, nie zważając na przesady, mity i zwyczajne bzdury, które otaczają każdy zespół muzyczny, a ten w szczególności

– Mariuszowi Hermie mówi **Tom DiCillo**, reżyser „Historii nieopowiedzianej”



Tom DiCillo najpierw był nadwornym operatorem Jima Jarmuscha, potem został ojcem „Legalnej blondynki”

Większość książek czy filmów o The Doors okazuje się tylko biografiami Jima Morrisona. Jak udało się panu od tego uciec?

– Sam do niedawna żyłem w przekonaniu, że autorem wszystkich piosenek The Doors był Jim Morrison. Że Jim był The Doors. Dopiero w trakcie prac nad dokumentem odkryłem resztę zespołu, doceniłem jej wpływ na brzmienie i klimat muzyki The Doors.

Nawet w czasie kariery zespołu stawiano znak równości pomiędzy Jimem a The Doors.

– Bo to Morrison ściągał na siebie wzrok fanów, skupiał uwagę obiektywów i kamer. Miał to naturalne uzasadnienie. Jim świetnie wyglądał, był bardzo seksowny, a zarazem pozostawał postacią nieprzewidywalną i naładowaną emocjami. Po mistrzowsku eksponował te cechy i kierował zainteresowanie publiczności dokładnie

tam, gdzie chciał. Czyli na samego siebie. Niemniej jednym z moich celów było oddanie sprawiedliwości pozostałej trójce.

Dlaczego w filmie wykorzystał pan wyłącznie materiały archiwalne?

– One opowiadają całą historię, nie potrzeba niczego dodawać. Mają w sobie siłę i emocje, których żadne gadające głowy nie byłyby w stanie przekazać. Niektórzy wiedzowie w Stanach Zjednoczonych byli przekonani, że do sceny otwierającej dokument zatrudniliśmy sobowtóra Jima Morrisona. A to są przecież fragmenty filmu „Highway”, który nakręcił on sam! Ograniczenie się do archiwaliów oznaczało oczywiście, że ogromną odpowiedzialnością obarczony zostanie narrator. Niektórych rzeczy nie mieliśmy na taśmach, a należało o nich opowiedzieć. Tym bardziej ucieszyło mnie, że moim projektem zainteresował się Johnny Depp. W jego głosie każdy usłyszy, że on wierzy w to, co mówi.

Na czym najbardziej panu zależało przy realizacji filmu?

– Postanowiłem opowiedzieć historię The Doors w oderwaniu od przesądów, mitologii i bzdur, które otaczają każdy zespół muzyczny, a ten w szczególności. Bardzo łatwo byłoby nakręcić film pod tytułem „The Doors byli najlepsi na świecie, a Jim Morrison to bóg”. Ale uczynić Jima bogiem to pozbawić go człowieczeństwa. Dla mnie jest on milion razy ciekawszy jako człowiek niż jako bóg. Niektórzy krytykowali mój film za to, że nie mówi o zespole niczego nowego. To zwykłe niezrozumienie intencji reżysera. „Historia nieopowiedziana” jest intymnym obrazem, który pozwala podejść do zespołu tak blisko, jak nikt przedtem do grupy nie podchodził. Nie przyglądać się losom The Doors, ale przeżywać je razem z nimi.

Pan był nastolatkiem, gdy The Doors dochodzili do sławy. Jak ich pan zapamiętał?

– W Ameryce lat 60. muzyki słuchało się głównie z radia. Aby dostać się do radia, należało nagrać dwuminutową piosenkę, dwie i pół minuty to była górna granica. Proszę sobie wyobrazić taki obrazek: mam 14 lat, jadę z kimś samochodem i z głośników słyszę początek „Light My Fire”. Bardzo ładny utwór, ale po dwóch minutach się nie kończy. Po czterech – nadal trwa. To była pełna, siedmiominutowa wersja utworu! Od pierwszego zetknięcia się z The Doors byłem pod ich ogromnym wrażeniem.

Jeszcze bardziej szokujące było to, co robili na scenie.

– Pamięta pan z filmu fragmenty koncertu w Miami? Na widowni widać 45-letnich facetów oraz 10-letnie dziewczynki. I wszyscy oni identyfikują się z Morrisonem. Nagle Jim staje przed publicznością z owieczką na rękę i mówi: „Przeleciałbym ją, ale jest za młoda”. To musiało szokować.

→ Ile w tym było prawdziwego Morrisona, a ile aktorstwa?

– Morrison dość przypadkowo wymyślił postać, w którą wcielił się potem na scenie. Połączenie seksapilu, nieprawdopodobnej inteligencji i nieprzewidywalności – takiej kombinacji świat wcześniej nie widział. Był na tyle sprytny, że uczynił tę postać swoim narzędziem. Ale z czasem kreacja zaczęła pożerać swego stwórcę. Popularność stała się dla Jima przekleństwem, obowiązek zabawiania tłumów był ponad jego siły. W filmie pokazałem fragment „Highway”, w którym Jim tańczy z dziećmi na pustyni. W innym jakaś dziewczynka bawi się jego włosami. On sam, będąc u szczytu sławy, wciąż był jak te dzieci.

„Historia nieopowiedziana” pomaga docenić klawiszowca Raya Manzarkę, którego rola była kluczowa dla muzyki The Doors. On trzymał zespół razem w sytuacjach kryzysowych.

– Ray bardzo pragnął mieć własny zespół. Był w grupie najstarszy, więc presja czasu dodatkowo go motywowała. Muzycznie stanowił fundament The Doors, granie było całym jego życiem. Zresztą nadal jest. Ray i Robbie w tej chwili koncertują w Europie. Dobry Boże, oni ciągle występują razem! Odkąd zobaczyłem Raya na scenie, nie mam wątpliwości, że będzie grał aż do śmierci.

W filmie widać, jak Ray przejmując rolę wokalisty, bo Jim nie jest w stanie śpiewać. A przecież i bez tego pełnił na scenie podwójną funkcję: klawiszowca i basisty!

– Sam jestem muzykiem amatorem, dlatego fascynuje mnie każdy, kto para się tym zawodem. To, że Ray lewą ręką grał linię basu, prawą melodię, a do tego śpiewał, jest wprost niewiarygodne.

Dlaczego zespół spokojnie patrzył na to, jak Jim pogrąży się w nałogach.

– Rozmawiałem z nimi podczas kręcenia filmu i wszyscy deklarowali wielką miłość do Jima i oddanie mu. Ale też zgodnie podkreślali, że największe frustracje w zespole powodowała permanentna nietrzeźwość Morrisona. Każdy z nich powtarzał to samo: „Jim prze-rwał działanie czaru The Doors. Ilekroć w czwórkę spotykaliśmy się, by grać razem muzykę, zawsze tworzyliśmy i doświadczaliśmy czegoś niepowtarzalnego. On to zepsuł”.

Czemu więc nie interweniowali?

– W latach 60. Amerykanie – szczególnie młodzi – nie umieli rozmawiać o alkoholu jako chorobie. Wielu mówiło: „Jim po prostu lubi się upić”. Jego siostra jednak powiedziała mi wprost, że Jim był typowym alkoholikiem, nie pierwszym zresztą w ich rodzinie. Jego koledzy z zespołu – Ray Manzarek, Robby Krieger i John Densmore – mieli wtedy po 19–20 lat i nie mieli pojęcia, jak poruszyć ten temat. Jest też inna teoria. Cała trójka doskonale rozumiała, że Jim był gwiazdą, bez której nie potrafiliby funkcjonować. Gdyby go stracili, straciliby zespół. Dlatego nie chcieli wchodzić mu w drogę w obawie, że go rozzłoszcza i rzuci zespół. Co zresztą dwukrotnie próbował zrobić.

Nie był skory do przyjmowania jakichkolwiek uwag.

– Gdy mieszkali z Rayem, ten powiedział mi kiedyś: „Hej, masz za długie włosy. Może byś się ostrzygł?”. Jim wściekł się tak, że postanowił natychmiast się wyprowadzić. Wszyscy pochodzili z małych miasteczek w południowej Kalifornii. Jim był najbardziej doświadczony, często podróżował, dużo czytał, jego ojciec służył w marynarce wojennej. Przy nim reszta grupy musiała czuć się onieśmieszona.

Z kolei przyzwyczajony do wydawania rozkazów ojciec tak-że oczekiwał pełnego posłuszeństwa. Natura Jima była reakcją na jego despotyczny charakter?

– Siostra Morrisona powiedziała mi, że ich tata był bardzo ciepłym i kochającym człowiekiem. Ale jego stosunek do Jima wyraźnie pokazywał, że nie rozumiał syna, nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest, i ani trochę w niego nie wierzył. To wypchnęło Jima z domu, gdy był jeszcze bardzo młody. A później przejawiało się między innymi w tym, że Jim nie akceptował żadnych rad. Nawet gdy jego zachowania były już jawnie autodestrukcyjne i upominali go najbliżsi przyjaciele. Z drugiej strony to właśnie uczyniło go inspiracją dla tak wielu ludzi. Jim Morrison nigdy nie ustępował, nigdy nie stosował półśrodków, żył na sto procent. □



Kroniki popkultury

ŁUKASZ ORBITOWSKI

Będziemy grać aż do śmierci. Albo dopóki nas będzie na to stać

W STANACH BILLBOARDY REKLAMUJĄCE gry zawisły na głównych ulicach, i to w rozmiarach u nas zarezerwowanych wyłącznie dla piwa. Jest co propagować – zaraz postrzelamy sobie w nową „Mafię”, świat zwariował na punkcie drugiego „Starcrafta”. To nie są zwykłe gry, ale ożywianie relikwii. Poprzednie części liczą sobie mniej więcej dekadę, czyli wieczność. Niedługo wcześniej z innymi dziećmi bawiłem się w policjantów i złodziei, strzelałem do kosmitów. Teraz ta radość wraca do mnie i innych 30-latków. Nie zdziwienieliśmy. To niektóre rozrywki przestały być dziecinne.

Już dwa samoloty pasażerskie należące do Korean Air ozdobiło ogromnym logo „Starcrafta” – Koreańczykom ta marka kojarzy się z niemal domowym bezpieczeństwem. W Korei jednak ta gra urosła do rangi narodowej rozrywki, zawody ligowe cieszą się poparciem milionów, chyba że ktoś da się złapać na cyfrowym doping. Amerykański astronauta Daniel Barry zabrał kopię „Starcrafta” w kosmos, zapewne jako ostrzeżenie – niech ufoludki wiedzą, że z nami nie ma żartów. Da się i łagodniej. W sieci można znaleźć partię „Starcrafta” symulowaną w świecie lego. Mamy powieści, koszulki, kubki i myszki, a także naukowe próby pogodzenia fizyki świata gry z ziemską realizowane w duchu optymistycznej futurystyki. Zachodnie serwisy wystawiają zabawce najwyższe noty, sugerując, że mamy do czynienia z zachowawczym, lekko wtórnym, ale jednak arcydziełem. Od cieszenia się piracką kopią powstrzymuje stosowna legenda

o wirusie mordercy ujawniającym się na nielegalnych kopiach – taki łajdak chwyci cyfrową maczetę, porąbie program, wy-patroszy osiągnięcia w sieci, zostawiając pirata na cmentarzystwie własnej chwały, bez miarki wody, za to z popsutym twardym dyskiem.

Po zaledwie 30 latach rozwoju świat gier wyrósł z piksela w imperium o stabilnym statusie. Ma swe dynastie z ojcami rodów złożonymi w uświęconych kryptach, obecni królowie panują miłościwie na milionach komputerów i konsoli. Są też książęta, błazny, rycerze oraz uzurpatorzy – ci w zależności od mocy i ambicji panoszą się na rubieżach, próbując wojny domowej i pałacowego przewrotu. Najważniejsza bitwa została jednak już rozstrzygnięta. Gry umknęły od cienia starszego rodu: książek, komiksów, filmu, i funkcjonują we własnym kontekście.

Zmienia się gracz i jego postrzeganie – to już nie jest dzieciak, co po maturze odpłynie ku poważniejszym zajęciom, ale dorosły człowiek, który przyjął gry jako coś odpowiedniego dla swego wieku i doświadczenia, jest też zdolny dźwignąć ogromne koszty tej zabawy. I jeszcze podżwiga. Niedługo przecież wyjdzie nowe „Diablo”. Będziemy siwieć i tatusić w rytm przyjaznych nam kontynuacji; pochowają nas z konsolami. To los dorosłych. A w co teraz bawią się dzieci? Ożywiony wiarą w wyścig szczurów i propagandę sukcesu próbując zgadnąć: w maklerów giełdowych, radców prawnych, agentów ubezpieczeniowych, dziennikarzy i szkoleniowców. □

Od cieszenia się piracką kopią powstrzymuje stosowna legenda o wirusie mordercy



++++ MICHAŁ OLESZCZYK

O czym śnią zielone iguany „Zły porucznik” Herzoga to pean na cześć dziwności Ameryki

Dziwne zwierzę: remake quasi-kultowego filmu policyjnego Abila Ferrariego zmieniający miejsce akcji oryginału, ton i stawkę opowieści, nakręcony na dodatek przez zupełnie innego reżysera. I choć Werner Herzog oficjalnie przyznał, że „nie wie, kim jest pan Ferrara”, a ten ostatni zadeklarował, że twórcy nowego filmu winni „szczęść w piekle”, trudno się w tym nie dopatrywać kumpelskiej zмовy pokazującej język powadze filmowego światka. A nawet jeśli zмовy nie było, panowie pogodzą się na pewno któregoś dnia w filmowych zaświatach – obydwaj

filmy są bowiem sobie warte, nawet jeśli nie mogłyby bardziej się od siebie różnić.

W 1992 roku złego porucznika grał Harvey Keitel, absolutnie wierząc w rolę i portretując uzależnionego od heroiny i seksu mundurowego szubrawca, jakby grał Iwana Karamazowa. W nowej wersji jest Nicolas Cage: kuśtykający w wyniku kontuzji i wciągający nosem wszystko, co przypomina kreskę, kokainę, a przynajmniej proszek. Jawna frajda aktora wykręcającego każdą linię dialogu tak, by stała się okazją do zgrywy, jest zaraźliwa do tego

„Zły porucznik. Przysłań – Nowy Orlean”, reż. Abel Ferrara, USA 2009, Monolith, 121', premiera 13 sierpnia

rej treści Herzog nie zdradza, ale w której zdaje się ze swoim bohaterem jednoczyć. Chyba wolę takiego właśnie, uśmiechniętego Fitzcarralda. □



Alex (Romain Duris) przekonuje Juliette (Vanessa Paradis), że nie powinna wychodzić za mąż

++++

Uciekaj, panno młoda!

Romain Duris naprawdę ma „Licencję na uwodzenie”

CO JEDEN FACET ZEPSUŁ, inny przychodzi naprawić – tak można podsumować działalność zawodową Aleksa (Romain Duris wie, jak uwieść kamerę). Ów przystojniak zajmuje się kobietami, które tkwią w nieudanych związkach i tego nie widzą albo widzieć nie chcą. Uwodzi je i pokazuje, że wart ich jest tylko prawdziwy książę, a nie przyboczny ropuch. Potem Alex dyskretnie

się wycofuje, a kobieta zmieniona z brzydkiego kaczątka w łabędzicę, wolna i szczęśliwa, wypływa na szerokie wody. Jego kolejne zlecenie to wyjazd do Monako, gdzie w ciągu dwóch tygodni ma odwieść od ślubu Juliette (Vanessa Paradis). Tyle tylko że zamiast rozkochar w sobie bogatą dziedziczkę, sam ulega jej urokowi. Komedia romantyczna Chaumeila nie powala oryginalnością, ale wdzięku ma więcej niż wszystkie „Plany B”, „Dorwać byłą” i kilka innych amerykańskich produkcyjniaków z ostatnich miesięcy. Ogromna w tym

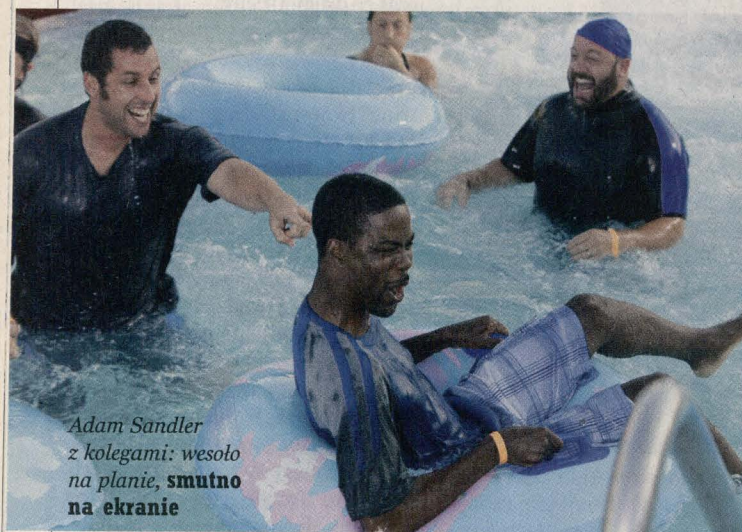
zasługa Romain Durisa, który choć nie ma urody ani postury klasycznego amanta, uderza do głowy jak młode wino. Seans z pewnością was odpręży i jeszcze przyniesie parę pomysłów na randki. Jeśli chcesz kogoś w sobie rozkochar – odegraj z nim/nią scenariusz ulubionego filmu (Paradis i Duris bawią się w „Dirty Dancing”). Nie zapomnijcie więc o instruktażowych DVD, pakując walizkę na wakacyjny wyjazd.

Ola Salwa

„Heartbreakers. Licencja na uwodzenie”, reż. Pascal Chaumeil, Francja, Monako 2010, Monolith, 105', premiera 13 sierpnia

Mali dorośli „Duże dzieci”, czyli jak urządzić grill za 80 milionów

✚ MICHAŁ BURSZTA



Adam Sandler
z kolegami: wesoło
na planie, smutno
na ekranie

W te wakacje motywem przewodnim w kinie ewidentnie jest kryzys wieku średniego. Jeszcze nie otrząsnęliśmy się po wstrząsającej wyprawie w lata 80. w „Jutro będzie fu-”

tro”, a na ekranach pojawia się kolejny film o trudnych powrotach do młodości dzisiejszych 40-latków. W „Dużych dzieciach” grupa dawnych przyjaciół spotyka się

po latach w domku nad jeziorem, by uczcić pamięć zmarłego trenera koszykówki. Chłopcy dochodzą do jedynie słusznego wniosku, że okres młodzieńczej gry w kosza był najlepszym w ich życiu, i postanawiają go przywołać, fundując sobie weekend szkolnych atrakcji. Kajaki, podchody i inne

„Duże dzieci”,

reż. Dennis Dugan, USA 2010,
UIP, 102', premiera 13 sierpnia

Michał Burszta,
nFilmHD



Co my tu
robimy?
Zbigniew
Zamachowski
i Dominika
Ostalowska

Sitcom

Kto widział „Projekt dziecko”, może pożałować, że się urodził

PUNKTEM WYJŚCIA SCENARIUSZA tego filmu (zrealizowanego już dwa lata temu) była zapewne niekończąca się w Polsce debata na temat alternatywnych metod zapłodnienia. Mamy więc

parę od lat starającą się o potomstwo, która w akcie desperacji prosi o pomocną dłoń (czy raczej nasienie) dwóch przyjaciół: geja twardziela oraz heteryka historyka. Brzmi frapująco, ale tylko na papierze – na ekranie mamy teatr kukielkowy rozpisany na wydmuszki, sztywne dialogi i żenujące dowcipy. Na pozór re-

harcerskie zabawy mają stać się antidotum na nudę dnia powszedniego, a także próbą zaimponowania dorastającym dzieciom. W końcu jak tu nie pokochać taty, którego co prawda na co dzień nie ma, ale za to na wakacjach nie zawaha się wpaść twarzą w krowi placzek, a nawet pokazać goły tyłek. Będzie co opowiadać w szkole. Do tej ostatniej tęskno ewidentnie twórcom filmu. Filmy Dugana („Nie zadzieraj z fryzjerem”, „Duże dzieci”) są wyraźnie przedsięwzięciem bardziej towarzyskim niż filmowym. Komik Adam Sandler zaprosił na plan najlepszych kumpli (Chris Rock, David Spade, Rob Schneider) i za 80 milionów dolarów zrobili sobie miły grill. I jak to na podobnej imprezie: opowiadają dowcipy śmieszące tylko ich, odgrywają zakontraktowaną serię gagów, a przy okazji nieudolnie próbują nas przekonać, że chodzi tu o coś więcej niż tylko ich dobre samopoczucie. Jeżeli Adam Sandler chciał zrobić współczesną wersję „Wielkiego chłodu” (1983) Lawrence’a Kasdana, gdzie grupa przyjaciół z college’u spotyka się po latach i przekonuje, jak niewiele zostało z ich ideałów, to poniekąd mu się udało. Reakcja widzów jest adekwatna do tytułu tego ostatniego filmu.

zyser podejmuje ważne tematy: bezpłodność, związek homoseksualny, wojna w Iraku, tyle że zupełnie je trywializuje. Obsadzenie Miśka Koterskiego w roli geja to mało wyrafinowany chwyt, podobnie jak eksploatowanie i ogrywanie do znudzenia tych samych dowcipów (fajtapowaty Marek, który wciąż schodzi się i rozchodzi ze swoją Renatą). Zapewne to prostsze niż stworzenie psychologii postaci, zadbanie o inscenizację i minimum wiarygodności. W efekcie zamiast komedii inspirowanej wyraźnie amerykańskim kinem niezależnym, pochyłającej się nad absurdami dnia codziennego, mamy sitcom, który wcale nie prosił się na ten świat.

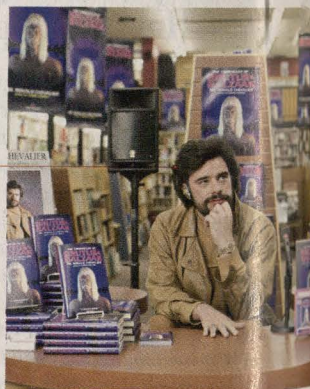
– sol

„Projekt dziecko”, reż. Adam Dobrzycki, Polska 2010, ITI Cinema, 80', premiera 16 sierpnia

Nie po dżentelmeńsku

„Gentlemen Broncos” to nie dojrzały film o dojrzewaniu

Jared Hass to prawdziwy guru amerykańskich nerdów (osób społecznie nieprzystosowanych). Jego offowa komedia „Napoleon wybuchowiec” (2004) barwnie obrazująca niepokoję wieku dorastania stała się za oceanem przebojem. Później było „Nach Libre” (2006), zgrabna zabawa stereotypami kultury masowej. Okrzyknięty nowym Kevinem Smithem złapał wiatr w żagle, niestety – ów zniósł go na mielizny banału i powtarzalności. W „Gentlemen Broncos” spotykamy kolejnego nieprzystosowanego nastolatka, tym razem autora science fiction, który dzieli czas między pisanie powieści a celebrowanie swojej osobowości. Ucieka przed rzeczywistością w świat tandetnych wizualizacji własnych pomysłów fabularnych, z którego wyrwa



go zaproszenie na zlot fanów ukochanej przez niego literatury. Tam poznaje uznanego pisarza Ronald Chevaliera (Jemaine Clement), któremu z nadzieją wręcza rękopis swojego opus magnum. Pech chce, że przeżywający kryzys twórca postanawia wydać dzieło nastolatka pod własnym nazwiskiem. Do pewnego momentu jego film jest kapitalnym żartem z zachowań i dziwactw środowiska science fiction żyjącego w zmyślonych światach. Reżyser wie, jak grać kiczem, a wizualizacje marzeń bohatera przywodzą na myśl najlepsze dokonania króla ekranowej tandety Eda Wooda. W pewnym momencie Hass rezygnuje jednak z ironii, stawiając na tanią zgrzywę, w której prym wiodą zabawy wymiocinami i odchodami. A to już bardzo niedżentelmeńskie zagrywki.

Michał Burszta, nFilmHD

„Gentlemen Broncos”, reż. Jared Hass, USA 2009, Imperial Cinepix, 90', premiera 13 sierpnia



Majakowski
– przestroga
dla naiwnych
i zbyt
kochliwych
poetów

✚✚✚✚✚ DAREK FOKS

O jedną muzę za daleko Szwedzki sławista postawił najładniejszy pomnik Majakowskiego

Kiedy w 1935 roku, pięć lat po samobójstwie Majakowskiego, Lili Brik napisała list do Stalina, w którym prosiła o przywrócenie poety światu, adresat zadecydował: „Iowarżyszu Jeżow, proszę was, abyście zwrócili uwagę na list L. Brik. Majakowski był i pozostanie największym, najbardziej utalentowanym poetą radzieckiej epoki. Obojętny stosunek do pamięci po nim i do jego do-”

robku to zbrodnia”. Nikołaj Jeżow – ten sam, który parę lat później jako ludowy komisarz spraw wewnętrznych z całą bezwzględnością wyczyścił otoczenie Stalina – skrupulatnie polecenie wodza wykonał i w ten sposób Majakowski został obok Gorkiego wzorcem literatury socrealistycznej. W Polsce ten socrealistyczny stan rzeczy utrzymywał się do połowy lat 80. ubiegłego wieku, przynajmniej jeśli chodzi o podręczniki szkolne. A jeszcze

w dwudziestolecie międzywojennym sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, o czym dobitnie świadczy choćby doskonały poemat „Obłok w spodniach” (1915), od którego zaczęła się wielka kariera Majakowskiego, a który Julian Tuwim doskonale przełożył w 1923 roku. Dla tych, co się niedysiejszymi podręcznikami szkolnymi za bardzo nie przejmowali, świetna praca Jangfeldta będzie niezbędnym uzupełnieniem niewielkiej monografii „Włodzimierz Majakowski” Edwarda Balcerzana (1984) i „Życia Majakowskiego” Wiktora Woroszyńskiego (1966, 1984), książkę starających się pokazać rosyjskiego poetę bardziej jako wzorzec rosyjskiej awangardy niż socrealistę. Zbliżona rozmia-”

staw precyzyjnych interpretacji utworów Majakowskiego, które dobitnie pokazują, że poeta od początku konsekwentnie kodował własny los w swojej poezji, nie zapominając o tym, co dzieje się dookoła. I właśnie dlatego Majakowski wielkim poetą był. Tak wielkim, że współczesni mogą sobie o takim co najwyżej pomarzyć.

Dookoła świata czy wokół sypialni?

Alaina de Bottona eskapady
cudzymi śladami

ALAIN DE BOTTON DZIĘKI KSIĄŻKOM „W stronę Isabel” czy „Wszystko o miłości” dał się poznać przede wszystkim jako badacz relacji damsko-męskich. Teraz ów brytyjski eseista objawia się jako specjalista od podróży. Nie podróżnik – choć w celach poznawczych odbył kilka wypraw – lecz raczej analityk zjawiska przemieszczania się w czasie i przestrzeni. Podąża tu śladem dość niekonwencjonalnych przewodników-patronów swojej „Sztuki podróżowania”. I to właśnie zestaw patronów sprawia, że rozważania na temat opisany wszędy i wzdłuż nie są nudne ani banalne. Wśród przewodników de Bottona znaleźli się bowiem nie tylko Alexander von Humboldt, który nieomal każdą minutę swojej pięcioletniej eskapady poświęcił na dokonywanie często przełomowych odkryć naukowych, ale także Xavier de Maistre, autor relacji pod znamennym tytułem „Podróż dookoła mojej sypialni”. Do Prowansji wyprawia się pisarz śladami Van Gogha, by porów-



Alain de Botton, analityk podróży

nać rzeczywiste krajobrazy z tymi, które podobały się ojcu ekspresjonizmu. Z kolei w angielskiej Krainie Jezior wywołuje ducha poety Williama Wordswortha, niestrudzonego piewcy fauny i flory. Podróż jest w sumie dziewięć, a każda stanowi w zasadzie tylko pretekst do wyprawy w głąb... biblioteki. Bez wątpienia warto odbyć podobne rozpoznanie przed wyruszeniem w świat.

Marta Mizuro



✚✚✚✚✚

Alain de Botton

„Sztuka podróżowania”,
przeł. Hanna Pustula,
Cztery Barbarzyńce,
Warszawa 2010,
s. 238, 32 zł



Wallander, już po tobie!

Uwaga: nadchodzi druga wojna secesyjna między Południem a Północą! Skandynawskim północnym kryminałom, mrocznym i ponurym, wypowiedziały wojnę kryminały południowe, słoneczne i dowcipne

KRYMINAŁY TEKST TADEUSZ NYCZEK, ILUSTRACJA MATEUSZ KOŁEK

W 1994 roku ukazała się w Szwecji powieść „Mężczyzna, który się uśmiechał” (wydanie polskie 2007), czwarta z serii o Wallanderze.* Oto jej początek:

„Mgła.
Jest jak skradający się bezszelestnie dra-
pieżnik, pomyślał.

Nigdy się nie przyzwyczaję. Chociaż całe
życie mieszkam w Skanii, gdzie mgła obleka
ludzi płaszczem niewidzialności”.

„Nocna zamieć” Johana Theorina, szwedz-
kiego pisarza i dziennikarza robiącego od kil-
ku lat szybką karierę, zaczyna się w ten
sposób:

„Valter Brommesson w małym dom-
ku w Åludden składa ręce i modli się do Bo-
ga. Prosi o to, aby wiatr i fale nadchodzące
tej nocy od morza nie rozbiły obu jego latar-
ni na kawałeczki.

Widował już złą pogodę, lecz nigdy dotąd
takiej burzy. Białe ściany śniegu i lodu, któ-
ra nadciąga od strony północno-wschodniej,
wstrzymując wszelkie prace budowlane”.

Najgłośniejszy kryminał duetu Sjöwall-
Wahlöö, „Śmiejący się policjant”, ma już po-
nad 40 lat, ale cóż to znaczy wobec skandy-
nawskiego klimatu. Oto jego pierwsze zdanie:
„Wieczorem trzynastego listopada w Sztok-
holmie lało jak z cebra”.

W listopadzie mogło lać jak z cebra wsze-
dzie w Europie, nawet na Sycylii albo w Katalo-
nii. Gdyby tak się zaczynał sycylijski krymi-
nał Andrei Camilleriego czy kataloński Alicii
Giménez-Bartlett, byłaby to zapowiedź nie-
zwyčajnych okoliczności, pośród których za-
czaiło się morderstwo. W powieściach skandy-
nawskich to tylko sugestia, że było jak zwykle.

Zresztą... spójrzmy. „Złodziej kanapek”
Camilleriego, którego akcja – jak wszystkich
książek z komisarzem Montalbano – dzieje się
w sycylijskiej Vigacie, rozpoczyna się
tak:

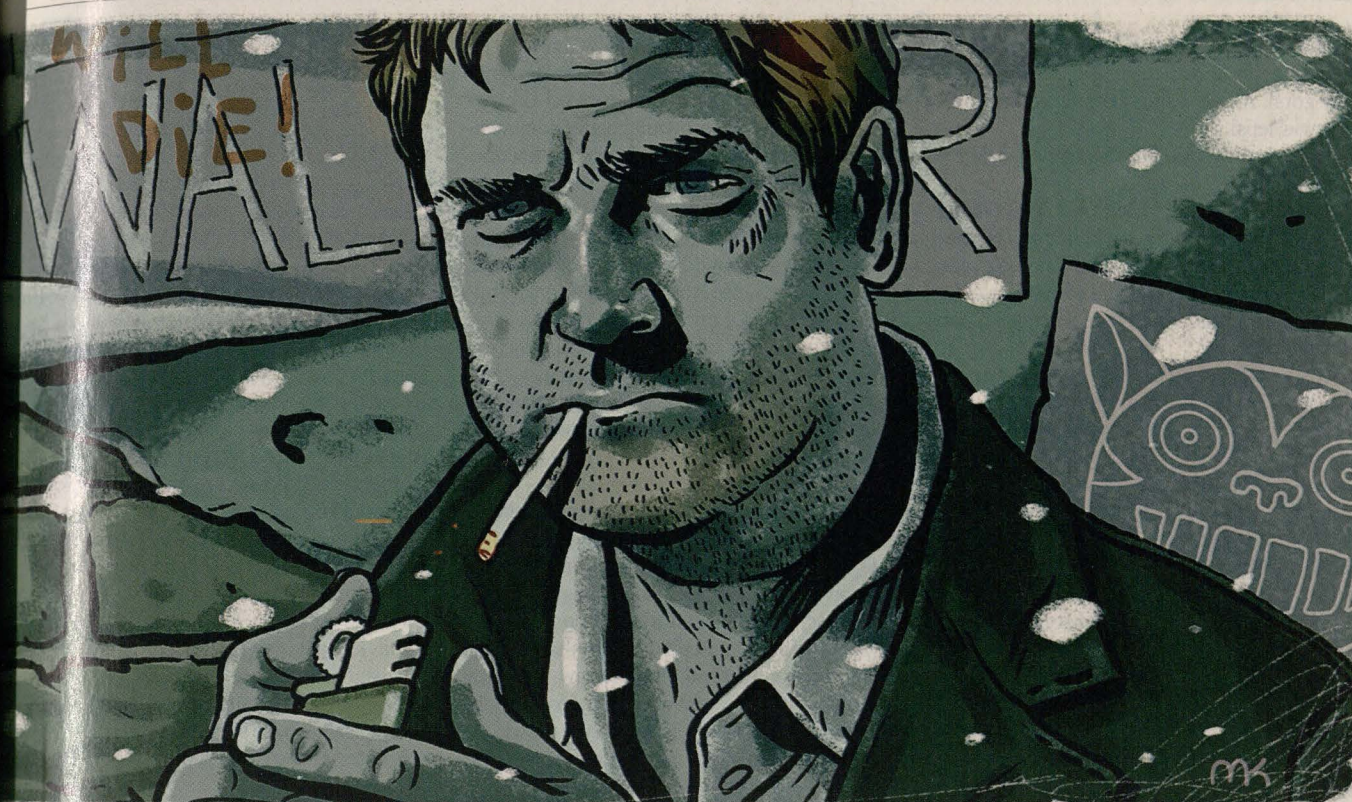
„Obudził się złany potem. Obcią-
żony półtorakilogramową porcją sar-
deli z czosnkiem i parmezanem, któ-
rą pochłoniął wieczorem, musiał w no-
cy strasznie się wiercić, bo był opłata-

ny prześcieradłami jak mumia. Wstał, poszedł
do kuchni, otworzył lodówkę, wypił pół litra
lodowatej wody. Z butelką przy ustach wy-
rzał przez otwarte okno. Światło jutrzienki za-
powiadało pogodny dzień, morze było płaskie
jak stół, na niebie ani jednej chmurki”.

W kryminałach skandynawskich jada się,
aby żyć, żaden autor nie zaprzęta sobie gło-
wy spożywczymi rytuałami. W tych dziejących
się na południu, w Hiszpanii, we Francji czy
we Włoszech, jada się głównie dla przyjem-
ności, a opisy upodobań kulinarnych bohater-
ów godne są książek kucharskich. Carvalho
i Montalbano są smakoszami, wręcz sybaryta-
mi jedzenia. Carvalho nie dość, że sam gotuje,
to jeszcze zatrudnił w domu do roli kucharza
kumpla poznanego w więzieniu. Montalbano

ma dochodzącą kucharkę. Petra Deli-
cado, kiedy ją przycisnie, potrafi goto-
wać jak złoto. Paola, żona Brunettie-
go, jest profesorem na uczelni, ale sa-
ma prowadzi dom, a posiłki przez nią
przygotowywane Donna Leon opisuje
ze smakowitymi szczegółami.

• Ta i inne
postaci – patrz
„Mały
słowniczek
postaci
dramatu”
na końcu tekstu



Wszyscy z wyjątkiem Brunettiego, któ-
ry pije tyle, ile wszyscy, nadużywają alkoho-
lu, przede wszystkim wina. Skandynawowie
– o dziwo – piją mniej, ale za to mocniejsze
trunki. Problemy z alkoholem miał Wallan-
der, choć nie w miejscu pracy. Czyżby policja
skandynawska była bardziej zdyscyplinowa-
na? Obejduje zgodnie z pogodą zimniejsze?

A TYMCZASEM GDZIEŚ NA SYCYLI... Montalbano?

Wiadomość brzmiała:
„Sycylia, Vigata, 4 maja, godzina 12.30, u mnie
w domu, dyskretnie. Obecność obowiązkowa.
Montalbano”.

Wszyscy pojawili się punktualnie. Montal-
bano wyjął z lodówki makaron z małżami i górę
duszonych barwen przygotowanych poprzed-
niego dnia przez niezawodną Concettę. Carval-
ho poprosił Garzóna o pomoc w przyniesieniu
z samochodu skrzynki z winem; siedemdzie-
siątka na karku dawała mu się we znaki i nie
był już taki żwawy jak kiedyś.

Hiszpańska Berberana Gran Reserva oka-
zała się wyśmienita. Barweny również. Po pią-
tej butelce nikomu nie chciało się sprzątać sto-
łu. Przez otwarte okna przelatywały lekkie po-
dmuchy bryzy, monotonny szum morza roz-
dzierały od czasu do czasu piski mew. Montal-
bano przyniósł grappę, rozlał i stuknął łyżecz-
ką o szkło.

– Nasze zdrowie – zwrócił się do zebra-
nych i podniósł kieliszek. – Pewnie się dziwi-
cie, po co was tu ściągnąłem. Ale jest sprawa,
i to poważna. Jak wiecie, żyliśmy sobie całkiem

przyjemnie. Ukęciliśmy lby ciemnym typ-
kom, wykrywaliśmy afery, obniżaliśmy w mia-
rę możliwości statystykę przestępstw. Krótko
mówiąc, robiliśmy dobrą, nikomu niepotrzeb-
ną robotę, bo jak wiadomo, nasza robota pole-
ga na tym, żeby sprzątać śmieci, których nigdy
nie ubywa. W dodatku mamy w policji szefów
kretynów. Ty, Brunetti, swojego Patte, wy, Pe-
tra i Fermin, waszego Coronasa, ja mam nawet
dwóch naraz debili, kwestora i dyrektora jego
gabinetu. Jeden Carvalho pracuje na własną rękę
i ma oszczędzone.

– Salvo, nie jesteś na bieżąco. Przeszedłem
na emeryturę i wszystko radośnie czniam
– mruknął Carvalho, wycierając czoło
rękawem.

– To masz szczęście. Ale nie w tym rzecz. Dłu-
go patrzyliśmy spokojnie, jak nasze koleżeń-
stwo ze Szwecji, z Norwegii i reszty Skandy-
nawii wkręca się w policyjny biznes. Półki ich
rządy udawały, że wszystko jest cacy, mało kto
wiedział, że w ogóle ktoś tam kogoś zabija czy
okrada. Tymczasem...

– Beck. Pamiętaj o Becku i jego kolegach
ze sztokholmskiej policji, Montalbano – prze-
rwał mu Brunetti, nalewając sobie drugą grap-
pę. – Oni tam już byli, nim nas wymyślono.

– Jasne, Beck. Ale to były lata 70. Sjöwall i Wah-
löö szli ostro na lewo i demokracja szwedzka
bardziej im śmierdziała niż sowiecki komu-
nizm. Zresztą ty też, Carvalho – Montalbano
popatrzył w kierunku hiszpańskiego detekty-
wa – też wtedy nieźle komunizowałeś, nawet
wyłądowałaś za to w pierdlu. Barcelona nie by-
ła taka miła jak teraz. Ale wróćmy do tematu.
Minęło trochę lat i gdzie jesteśmy teraz? W du-

pie, koledzy i koleżanki, za przeproszeniem, pa-
ni komisarz Delicado.

– Pieprz się, Salvo – powiedziała łagodnie Pe-
tra, kopiąc go pod stołem w kostkę.

– Jesteśmy, mówię, w dupie u skandynawskie-
go murzyna. Mankell z tym Wallanderem leje
nas na głowę, opanował teren i tłucze szmal.

– Z tego, co słyszałem, skończył z Wallanderem.
Choć szmal tłucze niezależnie, fakt. Próbowali-
śmy go wyeliminować, ale akcja z umieszcze-
niem go w maju na statku Flotyli Pokojowej
na rzecz Strefy Gazy nie wypaliła. Statek ostrze-
lali, trochę ludzi zginęło, Mankellowi znowu się
udało – westchnął ponuro Carvalho.

– OK, przynajmniej Wallandera mamy z głowy.
Jeszcze tylko trzeba przetrzymać te oba serie
telewizyjne, jeden z Branaghem i drugi z tam-
tym Szwedem, nazwiska nie pamiętam. Naj-
gorsze, że Wallander pociągnął innych. Jakby
facetów było mało, do kryminałów wzięły się
baby, no i zupa się rozlała. Wszyscy teraz ga-
dają o skandynawskich kryminałach, cmokają,
wydziwiają, mówią o zjawisku, światowym fe-
nomenie. A jeszcze jak wyskoczył ten cwaniak
Larsson ze swoim „Millennium”, całkiem po-
wariowali.

– Spokojnie, chłopie – odezwał się milczący
dotąd Garzón, który tradycyjnie się obzał i po-
drzemnywał w słońcu. – Przecież poszło zlecenie
na Larssona i od paru lat kolega Stieg już gry-
zie matkę ziemię. W dodatku wszyscy myślą,
że to był zawał. Trzy tomy „Millennium” napi-
sał, a nawet nie zdążył zobaczyć ich w druku.
Więcej nie będzie.

– Ale co się porobiło, to się porobiło – kon-
tynuował Montalbano, wymachując —

→ kieliszkiem, ale nie roniąc ani kropli. – Trzeba z tym skończyć. W końcu nie jesteśmy gorsi. A nawet, powiedzmy w tym towarzystwie, lepsi. – Co zatem proponujesz? – odezwała się rzeczowo Petra. – Wallander padł, Larssona uciszylismy. Wszystkich jednak nie wykończymy. Oni są jak hydra. Urwiesz łeb jednemu, na jego miejsce wskakuje od razu dwóch albo trójka. Trzeba to załatwić inaczej. Przede wszystkim podnieść jakość.

Brunetti pokręcił głową. – Jak sobie to wyobrażasz? Twój Camilleri kończy w tym roku 85 lat i lepszy nie będzie. I tak nieźle, że jeszcze mu się chce coś wymyślać.

– Przede wszystkim muszę mu wybić z głowy pierdoły w rodzaju tej ostatniej książki o jakimś rzekomo odnalezionym dzienniku Caravaggia. Niech się skupi na Vigacie, będę mu częściej podrzuczał tematy.

– A jak w tym grajdole je znajdziesz? – zaciekał się Carvalho. – Niby Sycylia, ale cóż mafii po takiej dziurze jak Vigata?

– Nie słyszeliście o policyjnych prowokacjach? Spokojna głowa, damy radę. Brunetti, twoja Donna coś dołuje. Pierwsze powieści rewelacyjne, a teraz nudziarstwo i zawracanie głowy. Co jest z wami? Już nic się w tej Wenecji nie dzieje? Tu się utopi jakaś dziewczynka, tam Murzyna zastrzela i to ma być literatura? Do roboty! Petra i Fermin – Montalbano zwrócił się do hiszpańskiej pary szepcząc coś na boku – tak trzymać. Wasza Alicja trzyma poziom. Największy kłopot z Carvalhem. Jego Montalbán zszedł z tego świata siedem lat temu i kicha. Poza tym postarzałeś się, Pete, tylko żresz i chlejesz. Trzeba ci wymyślić nowego autora, może jeszcze wrócisz do zawodu. Swoją drogą, Montalbána szkoda, bo był najlepszy ze wszystkich. Jako pisarz i w ogóle. Z jajami facet. Nawet mój Camilleri mu zazdrościł i na jego cześć wymyślił mi nazwisko. A skoro już jesteśmy przy tych dwóch. Uwaga: tu jest nasz najmocniejszy punkt. Literatura. Mamy po prostu najlepszych pisarzy. Montalbán to arcy mistrz, proza jak dzwon. Jeden je-

go akapit więcej jest wart niż cały Mankell i jego skandynawska banda. Mój Camilleri mało co gorszy. Jako pisarza wolę go od Umberta Eco, tej przereklamowanej belferskiej mendi. Giménez-Bartlett też jest pierwszorzędnym. Trzeba jej zrobić większą reklamę i przebić te szwedzko-fińskie gówniary. Twoja Donna, Brunetti, trochę odstaje, bo nie czuje południowego ducha jak tamci, w końcu Amerykanka, produkt nabyty. Ale i tak spokojnie wytrzymuje konkurencję. Co my tu jeszcze mamy...

– Fajniej się nas czyta – ożywił się Garzón – bo ci nasi mają poczucie humoru, a tamci północni ponurzy jak kanar w tramwaju. Uśmiełeś się choć raz, czytając Skandynawów? Bo ja w życiu. A każda książka z nami bywa zabawna. Bo my jesteśmy zabawni.

– Fermin, jak ty coś powiesz... – westchnęła Petra Delicado. – Lepiej podaj kolejną flaszkę. – O, i więcej pijemy, to dlatego – ucieszył się Garzón i sięgnął do skrzynki za sobą.

– A może to stąd, że oni właśnie poważniejsi? – rzekł Brunetti i przepił do Carvalha. – Mówi się, że wymyślili kryminał społeczny, że zbrodnie zbrodniami, ale równie ważne jest to polityczne, obyczajowe... Wiecie, o czym mówię.

Montalbano wstał i zaczął nerwowo chodzić wzdłuż tarasu. – Gówno prawda, Guido. Wszystkie kryminały z tobą mają takie tło. Ba, twoja Donna Leon posuwa się nawet do tego, że niby wykrywasz zbrodniarza, ale nic z tym nie da się dalej zrobić i tylko szlag cię trafia, bo koleś należy do jakiegoś włoskiego układu, jest kryty przez rząd albo inną mafię i wszystkiemu ukręca się łeb. To jest dopiero tło. Petra z Ferminem ciągle babrzą się w jakichś barcelońskich przekrętach na większą skalę. Carvalho bez przerwy siedział w jakichś szambach politycznych albo kombinacjach elit władzy i wpływowego biznesu. Więc niech się pieprzą z argumentami o społecznym tle. To wszystko już zresztą dawno temu Hammett z Chandlerem i Spillane'em wymyślili w Ameryce.

Łyknał wino, kopnął wiklinowy fotel i usiadł na balustradzie.

– Mówię wam, to jest pic na wodę i mydlenie oczu. Oni po prostu lepiej kombinują. Ma-

★ Niedawno ukazała się po polsku

jego najnowsza kryminalno-sensacyjno-kulinarna powieść „Wytrawny przekręt”

ra Bergmana, nie? Może wystarczy jeden jej telefon, gdzie trzeba? Do jednej czy drugiej gazety? Do telewizji? A my co? Prowincjonalne bidaki. Włochy, Hiszpania – to pięknie brzmi, ale gówno za tym stoi. Trzeba rozszerzyć ofertę. Poszukać innych autorów. Żeby się tak Francuzi przyłączyli... Oni mają siłę przebicia. Tylko co z tego. Mieli jednego Si-menona i koniec.

– A duet Boileau-Narcejac? – spytał Carvalho, sięgając po krewetkę. – Poznałem ich kiedyś. Miłe chłopaki.

– Tyle że od lat nie żyją. Ich „Zawrót głowy” zrobił karierę dzięki Hitchcockowi, ale kto to dzisiaj pamięta.

– Nie opowiadaj, dobrzy byli, parę fajnych książek napisali. No ale się zbyli.

– A Peter Mayle? – przypomniał sobie nagle Montalbano.

– Ten sfrancuział Anglik od Prowansji? Zwariował? Chociaż fakt, oprócz tych swoich prowansalskich gawędziarstw napisał parę całkiem rozrywkowych kryminałów.*

– OK, wciągnijmy go do akcji. Brunetti, ty się tym zajmiesz, znasz angielski. Ten Angol ma dryg do pijaru. Popatrzcie, ilu ludzi pod jego wpływem zwariowało na punkcie Prowansji czy innej Toskanii. Każdy pisze książki, jak tam jest fantastycznie. Swoją drogą, rzygać się chce. Ale wracając do naszej sprawy: zbieramy siły i robimy wielką światową akcję promocyjną pod hasłem „Jak dać się zabić – to tylko na Południu”.

– Ja biorę na siebie „Przekrój” – powiedziała Petra i wyjęła komórke. – Sprawdzę tylko, do kogo mam tam kontakt. OK, już wiem. Fermin, dupa w troki. Jutro lecimy do Warszawy. A teraz otwieraj butelkę, bo w tej widać dno.

ją lepszy pijar, jak to się teraz nazywa. Więcej szmalu na reklamę. Nie przyszło wam do głowy, że za takim Mankellem może stoi jego żona i udaje świętego ducha? A to przecież órunia samego Ingma-

Brukselska sztuka kochania

Grażyna Plebanek skutecznie szuka polszczyzny, którą można dziś mówić o seksie

Historia stara jak świat – pewien pan (o imieniu Jonathan) kocha panię. Dwie. Przynajmniej tak mu się wydaje. Pierwsza pani, Megi, to jego żona, matka ich dzieci, oddana towarzyszką życia. Druga pani, Andrea, jest pod każdym względem kuszącą dziennikarką zagranicznej telewizji, w dodatku dziewczyną szefa pierwszej pani. Jonathan aż się prosi, by napisać o sobie biedy – i rzeczywiście wpade w kłopoty. Przez większą część książki targany jest już to namiętnością, już to poczuciem winy i obowiązku. Wszystko to odbywa się w brukselskich dekoracjach, gdyż tam właśnie mieszkają wszyscy troje zainteresowani. Grażyna

Plebanek w „Nielegalnych związkach” ogrywa znane romansowe klisze, a mimo to są co najmniej dwa powody, dla których warto przeczytać tę książkę. Pierwszym z nich jest temperatura i jakoś polszczyzny w opisach bliskich spotkań kochanków. Jonathan i Andrea wymieniają miłosne spostrzeżenia w sposób kunsztowny i wart naśladowania, a i wszechwiedzący – a więc i wszechwidzący – narrator potrafi dołożyć do tych scen swoje trzy pieprzne, ale i taktowne grosze. Grażynie Plebanek udało się stworzyć język, który rzeczywiście mógłby być intymnym narzeczem pary kochanków. Biorąc pod uwa-

gę wieczne narzekania na to, że nie mamy w polszczyźnie słów, którymi moglibyśmy mówić o seksie, wydaje się to nie laża sztuką. Drugim powodem, dla którego „Nielegalne związki” są zdecydowanie czymś więcej niż tylko romansem na lato, jest dość wnikliwy portret psychologiczny nowoczesnej rodziny. Jonathan i Megi są przedstawicielami pokolenia, które dobrze czuje się w każdej europejskiej stolicy, które odrzuciło tradycyjne wzorce kobiecości i męskości i buduje małżeńskie relacje na dobrej woli i współpracy. Taki partnerski układ ma konsekwencje również w przypadku zdrady i o nich właśnie są „Nielegalne związki”.

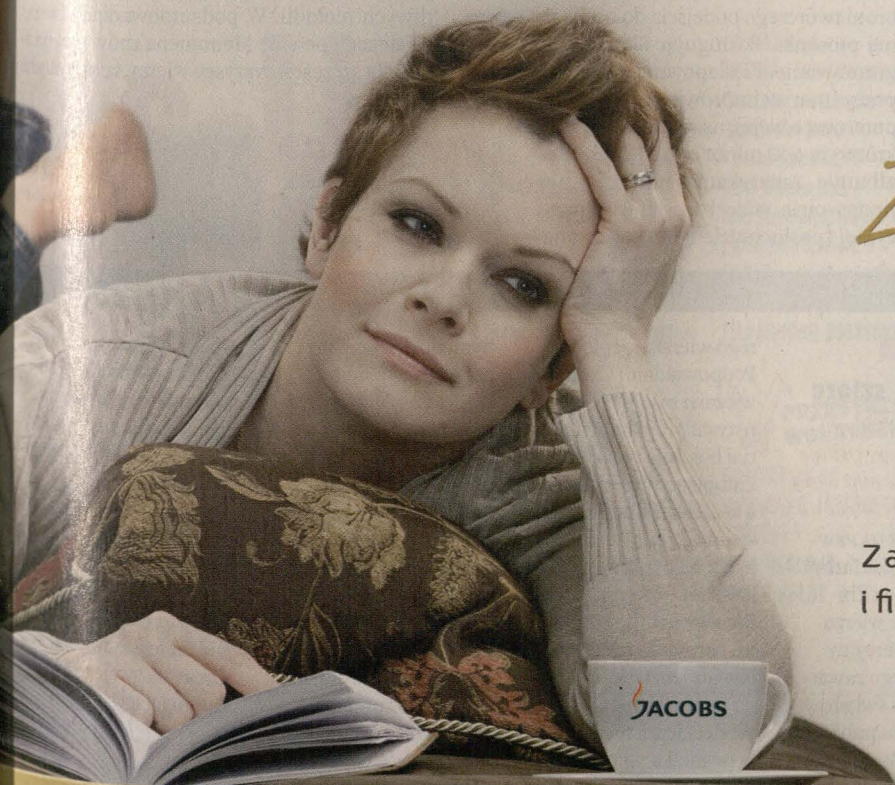
Złota kolekcja



Grażyna Plebanek
„Nielegalne związki”,
W.A.B., Warszawa 2010

„Nielegalne związki” są także wnikliwym portretem psychologicznym współczesnej rodziny

REKLAMA



Złota kolekcja



Zatrzymaj chwilę z dobrą książką i filiżanką kawy Jacobs Cronat Gold

JACOBS

CRONAT
GOLD

MAŁY SŁOWNICZEK POSTACI DRAMATU

Kurt Wallander. Szwed, komisarz policji w Ystad stworzony przez Henninga Mankella. Wiek średni, cukrzyk z nadwagą, rozwiedziony, jedna córka po różnych perypetiach, też policjantka, ojciec obsesyjny malarz, już nieżyjący pod koniec cyklu.

Martin Beck. Szwed, komisarz sztokholmskiej policji, postać z serii kryminałów pary Maj Sjöwall-Per Wahlöö. Ponurawy osobnik w średnim wieku z kłopotami rodzinnymi.

Salvo Montalbano. Komisarz policji w sycylijskiej Vigacie, miasteczku wymyślonym przez Andreę Camilleriego. Sybaryta, ironista, kawalarz, ma dojeżdżającą kochankę i dochodzącą gosposię. Narzeka na objawy starości, częściowo niesłusznie.

Pepe Carvalho. Hiszpan, bohater kilkunastu powieści nieżyjącego już Manuela Vázqueza Montalbána. Były komunista i agent CIA, obecnie wolny detektyw, zgorzkniały intelektualista i wytrawny

smakosz. Przyrządza wykwinne posiłki, paląc książkami w piecu. Oryginał, uwodzi i daje się uwodzić, aczkolwiek ma narzeczoną, skądinąd luksusową prostytutkę.

Petra Delicado. Hiszpanka, bohaterka serii powieści Alicji Giménez-Bartlett, komisarz policji barcelońskiej. Fertyczna czterdziestka, ostra, bystra i przystojna. Dwukrotna rozwódka. Pracuje jak maszyną i w śledztwie, i w łóżku. Klóci się z policyjnym partnerem (patrz niżej), ale go lubi i ceni.

Fermin Garzón. Partner i podwładny Petry D. Wdowiec, grubas

starej daty, bez gustu do odzieży, ale z gustem do wyżerki. Marudzi, wyrzeka na wiek i nie może się pogodzić z odkryciem, że dorosły syn okazał się gejem.

Guido Brunetti. Komisarz z Wenecji wymyślony przez Donnę Leon, wenecką Amerykankę. Spokojny, dyskretny, błyskotliwy. Ironista w najlepszym gatunku. Wszystko ma udane na czele z żoną arystokratką i dwójką dorastających dzieci. Jedyne problemy to szef kretyń i tuszowanie wykrytych przestępstw przez wpływowych bonzów władzy i biznesu.

Menomena i monotonia

Kanadyjski głos szarego przedmieścia kontra żywioł twórczy z Zachodniego Wybrzeża

MARIUSZ HERMA

W podsumowaniach dekady Arcade Fire radziło sobie doskonale. Jak wyliczył internetowy serwis Metacritics, który skrupulatnie zbiera opinie najważniejszych anglojęzycznych mediów, w wyścigu o tytuł albumu dziesięciolecia w swojej kategorii wago-wej Kanadyjczy z „Funeral” (2004) ustąpili miejsca tylko The White Stripes i The Strokes.

Letnią premierą trzeciego albumu „The Suburbs” znów zebrali żniwo pochwał. Młodzi zachodni krytycy w tekstach Wina Butlera rozpoznają głębokie pokoleniowe prawdy. Jednak mniej dociekliwi usłyszą tylko pretensjonalne piosenki o życiu na przedmieściach (egzystencjalna pustka ukryta pod pozorem sielan-ki), o samochodach (motyw wyzwajającej przejażdżki powraca w co trzecim utworze), a najczęściej o jednym i drugim naraz. Cóż z tego, że w 16 utworach Arcade Fire kłania się punkowi, disco i amerykańskiemu folkowi, skoro wszystkie numery powstały według tego samego trzy-, czteroakordowego schematu? Jeśli nie lubicie piosenek, które kończą się tak samo, jak się zaczęły, to różnorodności pozostaje wam poszukiwać na okładce. A raczej okładkach, bo grupa przygotowała ich aż osiem.

Menomena we wspomnianych podsumowaniach nie pojawia się ani razu, choć mo-



Menomena broni twórczego podejścia do tradycji klasycznej piosenki

głaby trzykrotnie. Trio z Portland jako jedno z ostatnich w marniejącej krainie indie rocka broni twórczego podejścia do tradycji klasycznej piosenki. Posługując się własnym oprogramowaniem i niepowtarzalnym systemem pracy (mariaż improwizacji ze staranną komputerową edycją), na swoim czwartym, krótszym o 10 minut od „The Suburbs” albumie Amerykanie mieszczą nieprzyswoicę więcej treści: kompozycyjnej (posłuchajcie tylko, jak „grają”

ciszą), słownej (kłątwa nałogu alkoholowego obok afirmacji życia) czy po prostu chwytliwych melodii. W podsumowaniach bieżącej dekady pewnie Menomena znów przepadnie. Na szczęście wszyscy wiemy, że statystyka kłamie.



Menomena „Mines”, City Slang



Arcade Fire „The Suburbs”, Universal



Kosy na sztorc

Zbigniew Wodecki marszczy brew. Usiłuje straszyć, kiedy nikt lepiej nie potrafi bawić

„PLATYNOWA”? NA PEWNO chodzi o kolor farby do włosów pana Zbigniewa, bo nie wierzę w sukces komercyjny albumu, którego zawartość i wydanie świadczy o lekceważeniu publiczności. Brak pomysłów na zdjęcia i skład na kolanie mogę wybaczyć, ale żeby nie sprawdzić, jak na imię miał poeta, któ-

rego wiersz się śpiewa? Podpowiadam: Czecho-wiczowi było Józef. Artysta proponuje materiał boleśnie nieaktualny. Zatopił go w aranżacjach à la „Telewizyjny koncert życzeń”, z tymi chórami, hardrockowymi solówkami gitarowymi, jazzem bez swingu, forsownymi partiami wokalnymi. Nie umiem wskazać po nazwisku tego, kto Wodeckiemu to zrobił, bo wkładka pomija takie szczegóły jak produkcja muzyczna. W połączeniu z patetycznymi tekstami Jana Wołka adresowa-

nymi do doświadczeń pokolenia, któremu w PRL za dobrze nie było, ale w nowych czasach jest jeszcze gorzej, brzmi to jak oprawa muzyczna późnych od-cinków „Kabaretu Olgi Lipińskiej”. Czyli raczej strasznie niż śmiesznie. Tym bardziej że Wodeckiemu z kosą na sztorc, z groźnym, odwołującym się do sumienia narodu repertuarem zupełnie nie do twarzy. Kiedy w „Dobrze, że słońce” nastrój zmienia się na liryczny, słychać, że mogło być lepiej – cie-

pło, swobodnie. Nawet dancingowe latino „Seniority” w zestawieniu z dominującym na płycie ponuractwem jest jak łyk powietrza. Czy „Platynowa” ma jakieś mocne strony? Owszem, ten głos. Czas się go nie ima, Wodecki wciąż ma potencjał, ale nie umie go wykorzystać. Czekaj na swojego Ricka Rubina. Jacysy chętni?

Jarek Szubrycht



Zbigniew Wodecki „Platynowa”, Fonografika

JAREK SZUBRYCHT

Halny prosto z piekła

Nadchodzą Furia i Morowe – dawno o kimś tak złym nie pisaliśmy tak dobrze

P arę lat temu poważne pisma, jak „New York Times” czy „Wire”, zdjęły kłatwę z black metalu, dostrzegając pod groźnymi minami całe pokłady interesującej muzyki. To na świecie, bo w Polsce black metal wciąż jest lekceważony i poza Behemothem – który musiał zrobić karierę w USA i tabloidach, żeby go doceniono – właściwie nieznany.

Oto więc Furia i Morowe. Dwie formacje, których nie możecie przegapić, jeśli wykazujecie choćby minimum zainteresowania muzyczną ekstremą. Ci pierwsi proponują minialbum, który zawiera jeden, za to dwudziestominutowy utwór: mroczną i miejscami wścieklą suitę poświęconą wiatrowi. I rzeczywiście, w „Halnym” gitary to płaczą się w psychodelicznych, chaotycznych technieniach na skraju ciszy,



Furia „Halny”, Pagan



Morowe „Piekło. Labirynty. Diabły”, Witching Hour

to znów uderzają z siłą huraganu, straszają przeraźliwym wyciem. To znakomita kontynuacja jeszcze lepszej płyty, lodowatej i brudnej „Grudzień za grudniem”. Morowe z kolei to propozycja nieco bardziej klasyczna, której korzeni można szukać na scenie amerykańskiej czy skandynawskiej. Zespół starannie buduje atmosferę, nie stroni od melodii, ale też potrafi postraszyć brutalnym łomotem. Oba zespoły łączą postać Nihila, o którym wiem niewiele, poza tym że pochodzi z Katowic, jest piekielnie arogancki (to z nielicznych wywiadów, które czytałem) i diabelnie zdolny. Do tego facet pisze teksty, w których nie znajdziecie groteskowego metalowego horroru ani wydumanych, książkowych okultystycznych konceptów, ale takie obrazki: „Chcieli nas zabrać/nie do gazu ani pracy.../Na ich dłoniach stygmaty/a na twarzy troska./Czule po twarzy, uśmiechy nam krwią smarowali/Komenda! Żony zgwałcić/dzieci z małpami złączyć!”. Albo: „My, głowy mocarstw./piliśmy wodę, graliśmy w kości (...)/Nożem równik przejechałem:/Północ dla Busha./Południe dla Putina./Dla mnie piekło”. Straszne, prawda? I o to chodzi.



Morowe potrafi postraszyć łomotem

FESTIVAL Solidarity of Arts of ARTS 2010

GDAŃSK / 18.08. - 8.09.

20 SIERPNIA
PIĄTEK, GODZINA 20:00

Oficjalne otwarcie festiwalu Solidarity of Arts oraz ceremonia wręczenia Nagród Prezydenta Miasta Gdańska NEPTUNY 2010
DWÓR ARTUSA W GDAŃSKU

Plenerowa prezentacja zrekonstruowanych cyfrowo materiałów filmowych z okresu powstania i początków Solidarności - materiały archiwalne Fundacji Archiwum Filmowe w Gdańsku
CZAS TRWANIA: 10 DNI
DWÓR ARTUSA W GDAŃSKU

21 SIERPNIA
SOBOTA, GODZINA 18:00

Uroczyste odsłonięcie dłoni w Alei Gwiazd - Marek Karewicz, Naná Vasconcelos, Lars Danielsson, Marcus Miller, John Scofield, Eddie Daniels, Charles Fox
DZIEDZINIEC POLSKIEJ FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

PRZESTRZEŃ WOLNOŚCI

GODZINA 20:30
WIDOWISKO JAZZOWE
MOŻDŻER+
TARG WĘGLOWY
WSTĘP WOLNY

29 SIERPNIA
NIEDZIELA, GODZINA 18:00

Uroczyste odsłonięcie dłoni w Alei Gwiazd - Paweł Mykietyn
GODZINA 19:00
VIVO XXX
Prapremiera dzieła Pawła Mykietyna napisanego z okazji 30-lecia powstania Solidarności. Reinbert de Leeuw (dyrygent). Orkiestra Symfoniczna Polskiej Filharmonii Bałtyckiej, Państwowy Chór Filharmonii w Mińsku
POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA
PATRONAT HONOROWY: LECH WAŁĘSA

5 WRZEŚNIA
NIEDZIELA, GODZINA 19:00

MAKBE
Opera Giuseppe Verdiego w reżyserii Marka Weissa
PAŃSTWOWA OPERA BAŁTYCKA

8 WRZEŚNIA
ŚRODA, GODZINA 19:00

BIAŁA BLUZKA
Spektakl według opowiadania Agnieszki Osieckiej w reżyserii Magdy Umer, w roli głównej Krystyna Janda
POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA

GDAŃSK 2016
METROPOLIA
EUROPEJSKA STOLICA KULTURY
KANDYDAT

Organizatorzy festiwalu:

Sponsor główny: LOTOS plus+kultura

Sponsor:

Patroni medialni:

Producenci:

Polska Filharmonia Bałtycka

CANAL+

och-teatr

Fundacja Archiwum Filmowe

FUNDACJA GDAŃSKA

Solidarność od kuchni

Tegoroczna edycja Solidarity of Arts zbiega się z 30. rocznicą powstania Solidarności. Tamten sierpień przypomną materiały i filmy z Fundacji Archiwum Filmowe „Drogi do niepodległości” wyświetlane przez 10 dni na telebimie przy gdańskim Dworze Artusa

■ MAŁGORZATA SADOWSKA

Na każdy dzień przygotowujemy około ośmiu godzin projekcji – mówi Jacek Borzych, prezes Fundacji. Na telebimie będzie można zobaczyć między innymi spotkanie Lecha Wałęsy z Eltonem Johnem w 1984 roku czy z Joan Baez w roku 1985; wywiad dla francuskiej telewizji, podczas którego Wałęsa zajada kielbasę; powrót przyszłego prezydenta do pracy po okresie internowania; mszę na Zaspie (1987) celebrowaną przez Jana Pawła II, zarejestrowany nocą spektakl poznańskiego Teatru Ósmego Dnia, czy materiały z pierwszego zjazdu Solidarności – również te mniej znane, jak dyskusja Wałęsy, Jacka Kuronia i Tadeusza Mazowieckiego o tym, jak wyglądał będzie rząd, gdy przejmą władzę. I te pokazujące kulisy zjazdu: – Mamy na przykład niewykorzystany dotąd w żadnym filmie o Solidarności... wywiad z bufetową opowiadającą, co jedzą delegaci, co bufet ma w ofercie – opowiada Jacek Borzych o ciekawostkach, których archiwiści doszukali się w magazynach FAF. Rzecz błaha i anegdotyczna? Być może, ale zarazem pokazująca, jak wielkim organizacyjnym wysiłkiem było przygotowanie zjazdu.

– Zarejestrowana została też rozmowa, w której ludzie z Biura Informacji Prasowej Solidarności odpowiedzialni za fotograficzną obsługę zjazdu cieszą się, że za j e d n o sprzedane do Japonii zdjęcie dostali tyle pieniędzy, że mogli kupić wyposażenie całej – profesjonalnej! – ciemni – dodaje Borzych. Fundacji zależało na tym, by wybrane do plenerowych pokazów materiały nie tylko wprowadzały w historię, ale również oddawały ducha epoki, przybliżały młodym ludziom – a z myślą przede wszystkim o nich powstał wybór – rzeczywistość, w której rodziła się i działała Solidarność. Dlatego na telebimie przed Dworem Artusa można będzie obejrzeć także filmowe zapisy życia codziennego w PRL-u: puste półki, kolejki przed sklepami, smutne, szare ulice, czy sceny z podwarszawskiego bazaru.

W magazynach FAF znajduje się około 8,5 tysiąca taśm filmowych i kaset telewizyjnych, w tym cenne, unikatowe materiały realizowane przez komórkę audiowizualną przy Biurze Informacji Prasowej Solidarności. BIPS dostał pierwszą kamerę i stół montażowy w prezencie od Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych jesienią 1981 roku, nagraniami, które na początku trafiły do archiwum, były materiały z pierwszego zjazdu Solidarności.

Kamera Sony, która rejestrowała wydarzenia sprzed 30 lat, wciąż działa. □

Plenerowa prezentacja zrekonstruowanych cyfrowo materiałów filmowych z okresu powstania i początków Solidarności, Gdańsk, 20–30 sierpnia



1983 rok. Lech Wałęsa powraca do pracy w stoczni po internowaniu. Ten dzień utrwaliły także kamery

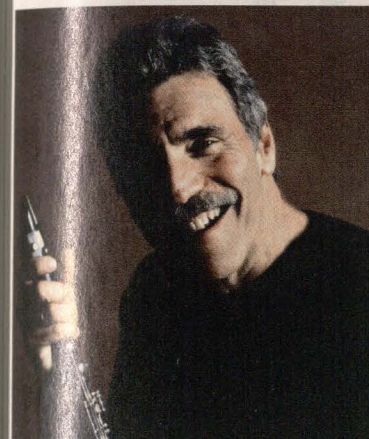
Z MIŁOŚCI DO WOLNOŚCI

Od 18 sierpnia do 8 września będzie trwał w Gdańsku festiwal Solidarity of Arts – impreza skupiająca artystów, których, jak deklarują organizatorzy, „wizytówką jest poszukiwanie i szacunek dla wolności oraz otwartość na wspólne działanie”. W tym roku w Gdańsku gościć będą przede wszystkim muzycy – w tym gwiazdy jazzu (przeczytacie o nich obok) – biorący udział w widowisku Moździerz+. 29 sierpnia swoją premierę będzie miał 70-minutowy

utwór jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów (pracuje z Krzysztofem Warlikowskim, napisał też muzykę do najnowszego filmu Jerzego Skolimowskiego) – Pawła Mykietyna. „VIVO XXX” nawiązuje do 30. rocznicy powstania Solidarności, napisany został na chór i orkiestrę, ale zawiera też elementy elektroniki. Orkiestrę Symfoniczną Polskiej Filharmonii Bałtyckiej oraz Państwowy Chór Filharmonii w Mińsku poprowadzi

Reinbert de Leeuw. Poniekąd muzycznym projektem jest wystawa fotografii Marka Karewicz z albumu „This is jazz” (od 21 sierpnia, dziedziniec Filharmonii Bałtyckiej), których bohaterami są giganci jazzu. 21 sierpnia Karewicz i artyści biorący udział w projekcie Moździerz+ odcisną swoje dłonie w gdańskiej Alei Gwiazd, na wyspie Ołowianka.

Szczegóły znajdziecie na www.solidarityofarts.pl

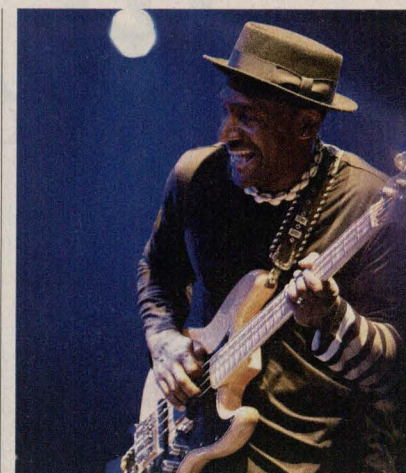


■ MARIUSZ HERMA

Wartość dodana

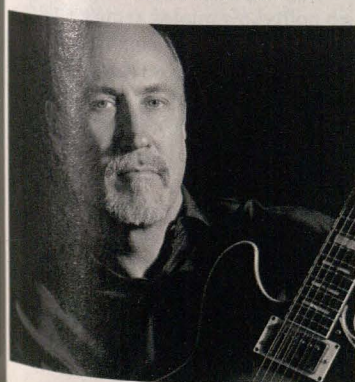
Kim są ci, którzy podczas widowiska Moździerz+ w ramach gdańskiego festiwalu Solidarity of Arts ustawiają się po drugiej stronie znaku dodawania? Oto piątka zagranicznych gości polskiego pianisty

+EDDIE DANIELS = WŚRÓD FAL JAZZU I KLASYKI
„JAZZ NIE POWINIEN WYGLĄDAĆ TAK, ŻE SOLISTA SOBIE FOLGUJE, a pozostali instrumentalści robią za tło. Musimy znajdować się w tym samym świecie, wiosłować wspólnie przez ocean dźwięków. Nie inaczej jest w muzyce klasycznej. Chociaż wszystko zapisane jest w nutach, to sposób, w jaki podejmiesz daną frazę, musi zależeć od tego, jakim głosem poprzedni temat wykonał twój sąsiad. Tylko wówczas ta muzyka ożywa” – takie zdania może wypowiadać jedynie Eddie Daniels. 59-letni nowojorski klarncista i saksofonista jest bowiem równie zasłużony dla jazzu co dla muzyki poważnej. Absolwent słynnej Juilliard School i wielokrotny zdobywca Grammy wspólnie z Leszkiem Moździerzem wykona 10-minutowy utwór inspirowany Chopinem, który specjalnie na tę okazję skomponował Charles Fox.



■ JOHN SCOFIELD = WIELKA IMPROWIZACJA

„MILES POCIĄGNĄŁ MNIE W KIERUNKU elektrycznego, funkującego jazzu. Bez niego po dziś dzień grałbym same standardy” – wspominał John Scofield. A pobierał nauki także u Charlesa Mingusa, Charliego Hadena, Herbiego Hancocka. Obecnie to inni chwalą się współpracą z mistrzem jazzowej improwizacji. W gitarowej ekstraklasie Scofielda wyróżnia refleks (mimo 59 lat na karku), melodyka oraz specyficzne brzmienie instrumentu, przez wielu zresztą słabo tolerowane. Latem wydał płytę „54”. Jest ona efektem współpracy z kompozytorem Vince'em Mendozą oraz The Metropole Orchestra, największą na świecie jazzową orkiestrą. W Gdańsku Scofield pojawi się jednak tylko z dwoma muzykami. A raczej aż z dwoma, jako że będą to zaślubieni Steve Swallow i Bill Stewart.



■ NANÁ VASCONCELOS = SAMBA U PODSTAW

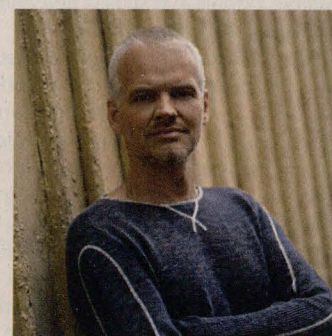
„SAMBA TO PODSTAWOWY, mityczny rytm Brazylii. Zbudowana na niej brazylijska kultura jest już stopem rozmaitych pierwiastków. Niektóre pochodzą z Afryki. Inne występują wyłącznie w Brazylii albo tylko tutaj się spotykają” – zwykł mawiać Naná Vasconcelos. 66-letni brazylijski perkusista i pieśniarz jest dumą latynowskiego jazzu od początku lat 70. Wielokrotnie zatrudniali go Pat Metheny i Jon Hassell, pracował z Gato Barbierim i Janem Garbarkiem, eksperymentował z Brianem Eno i Paulem Motianem. Z Leszkiem Moździerzem zna się od 2005 roku, kiedy wystąpili wspólnie na festiwalu Polónia Carioca w Rio de Janeiro, a konkretnie na tamtejszym dworcu autobusowym.



skiego jazzu od początku lat 70. Wielokrotnie zatrudniali go Pat Metheny i Jon Hassell, pracował z Gato Barbierim i Janem Garbarkiem, eksperymentował z Brianem Eno i Paulem Motianem. Z Leszkiem Moździerzem zna się od 2005 roku, kiedy wystąpili wspólnie na festiwalu Polónia Carioca w Rio de Janeiro, a konkretnie na tamtejszym dworcu autobusowym.

■ LARS DANIELSSON = POEZJA W TRÓJNASÓB

„NAJBARDZIEJ CENIĘ W MOIM ZAWODZIE TO, ŻE MOGĘ WYDOBYWAĆ z muzyki szczególną energię, przekazywać ją publiczności i obserwować, jak wraca do mnie na scenę. To najmocniejsze z wszelkich doznań” – wyznał kiedyś Lars Danielsson. 52-letni szwedzki poeta kontrbasu debiutował 30 lat temu. Wkrótce potem wyzwał energię z Johnem Scofieldem, Jackiem DeJohnette'em, Randym Breckem i jego bratem Michaeliem. W połowie ostatniej dekady zakochał się w grze Leszka Moździerza (z wzajemnością). W ciągu pięciu lat nagrali pięć znakomitych płyt, z czego trzy wspólnie z Zoharem Fresco, izraelskim perkusistą tureckiego pochodzenia. I to właśnie Fresco dopełni tria podczas koncertu w Gdańsku.





RECE MNIE JUŻ PARZA

PRZEZ WIELE LAT PUBLICZNOŚĆ BYŁA DLA MNIE EGZAMINATOREM. DZIŚ TO JA NIĄ RZĄDZĘ, CHCĘ PO PROSTU GRAĆ MUZYKĘ I SZKODA MI CZASU NA PODTRZYMYWANIE TEJ CAŁEJ MEDIALNEJ BAŃKI WOKÓŁ MNIE – OPOWIADA **LESZEK MOŹDŻER**

Żniwa w pełni...

– W tym roku 90 procent koncertów, które zagrałem, to Chopin. Dopiero minął lipiec, a ja byłem już chyba na wszystkich kontynentach: Chiny, Japonia, Singapur, Malezja, Francja, Włochy, Niemcy... Przez pół roku zarobiłem na dwa fortepiany – jeden ćwiczeniowy, a drugi półkoncertowy. Fazioli – piękna rzecz, ręcznie robiony. Firma wydaje na rynek tylko kilkadziesiąt sztuk rocznie. Dziękuję ci, Chopinie, że będę miał fajny instrument w domu. Myślę, że odmówiłem udziału w 50 projektach. A telefon ciągle dzwoni, żeby opracować na nowo Chopina – a to zrobić go z hiphopowcami, a to na jazzowo, a to do filmu. A ja nie chcę. Uważam, że Chopina nie powinno się przerabiać, dotykać, że powinien być grany nuta w nutę.

I dlatego grasz go z Tymonem Tymańskim? To muzyczny rzeźnik.

– Miałem właściwie jeden pomysł, jak ugryźć Chopina na nowo: wziąć muzycznych chuliganów, takich jak Tymon i jego Polish Brass Ensemble, i zrobić to w sposób bezczelny.

No to ja już nic nie rozumiem.

– W przypadku Chopina opisana jest każda nuta – czy jest grana szybko, czy wolno, głośno czy cicho. Frycek odnotował każde przyciśnięcie pedału. Muzykolodzy rozkminiają strukturę każdego utworu, wychwytyją, że powtórzenia ośmiotaktowe są identyczne, ale w trzecim takcie jest inny składnik w lewej ręce. Pamiętam te uwagi z dzieciństwa od nauczycieli: popatrz, tam Chopin napisał mezzo forte z akcentem forcatissimo na przedostatnią nutę, nie możesz akcentować ostatniej. A tych nut tylko w jednym

takiej jest 24 i naprawdę trudno się połapać. Od lat działa potężny urząd kontroli wykonania Chopina. W Polsce mamy wpojony tak wielki szacunek do tego artysty, że trudno go wytargać za czuprynkę, poklepać po policzku. No więc pomyślałem, że jedynym pomysłem, jaki na niego mam, to wykonanie go na bezczelnie – wypatroszymy z Tymonem Chopina, spalimy jego nuty i będziemy tańczyć przy ognisku.

Ale ten projekt przygotowałeś dla dzieciaków na Przystanek Woodstock, żeby w ogóle chciały cię słuchać. Na fortepiany zarobiłeś, grając po ambasadach i polskich instytucjach kulturalnych swój materiał sprzed 10 lat.

– To prawda, ale czuję już lekki niesmak. Właściwie robię za takiego ambasadora, jeżdżę po świecie i gram Chopina. I generalnie Polacy, którzy przychodzą na moje koncerty w Paryżu, Szwajcarii czy Kuala Lumpur, płaczą, słuchając go, bo wiedzą, że to nasz rodak, który osiągnął wspaniały poziom. To piękne, ale ja jestem artystą, reprezentantem rasy ludzkiej, a nie tylko polskiego narodu. Chodzi mi o to, by podczas koncertu przeżyć coś razem z publicznością, nieważne, jakiej narodowości. Czuję, że dałem sobie nałożyć zbroję, dostałem złotą włócznię do ręki, ludzie klepią mnie po ramieniu i mówią: idź w świat i głoś chwałę Chopina. Tyłko że w tej kupie żelaza jest bardzo niewygodnie, a chorągiew ciężka. Nie dam się zamknąć w szkatule reprezentanta polskiej sztuki.

Przyjmujesz zamówienie, grasz, pieniądze lądują na koncie... O co te pretensje do świata?

– Ja za każdym razem reprezentuję Polskę. Niezależnie od tego, czy gram Chopina w ambasadzie, czy w instytucie polskim, czy jazz, piano solo w klubie. Oczywiście jeśli to jest oficjalny występ, zakładam garnitur, ale tak naprawdę wiem, że na koncert przyjdą ludzie; nieważne, czy są urzędnikami państwowymi, czy nauczycielami. Chodzi o to, by na moment zczarować rzeczywistość. Ja chyba po prostu kiepsko czuję się w takich oficjalnych sytuacjach.

Mówisz o politykach? Może porozmawiamy o twoich poglądach?

– Prawica, lewica, liberałowie... Ja jestem ponad to. Wychodzę na scenę już prawie 20 lat i sporo miałem zamówień od polityków. Oni się zmieniają, co chwila gram dla kogoś innego, a fortepiany są te same. Po paru latach przyjeżdżam do znanej mi ambasady, gdzie kiedyś grałem, z lotniska odbiera mnie ten sam kierownik co poprzednio, ta sama sekretarka przynosi kawę, ale reszta jest już z nowego rozdania.

Od jakich polityków miałeś zamówienia?

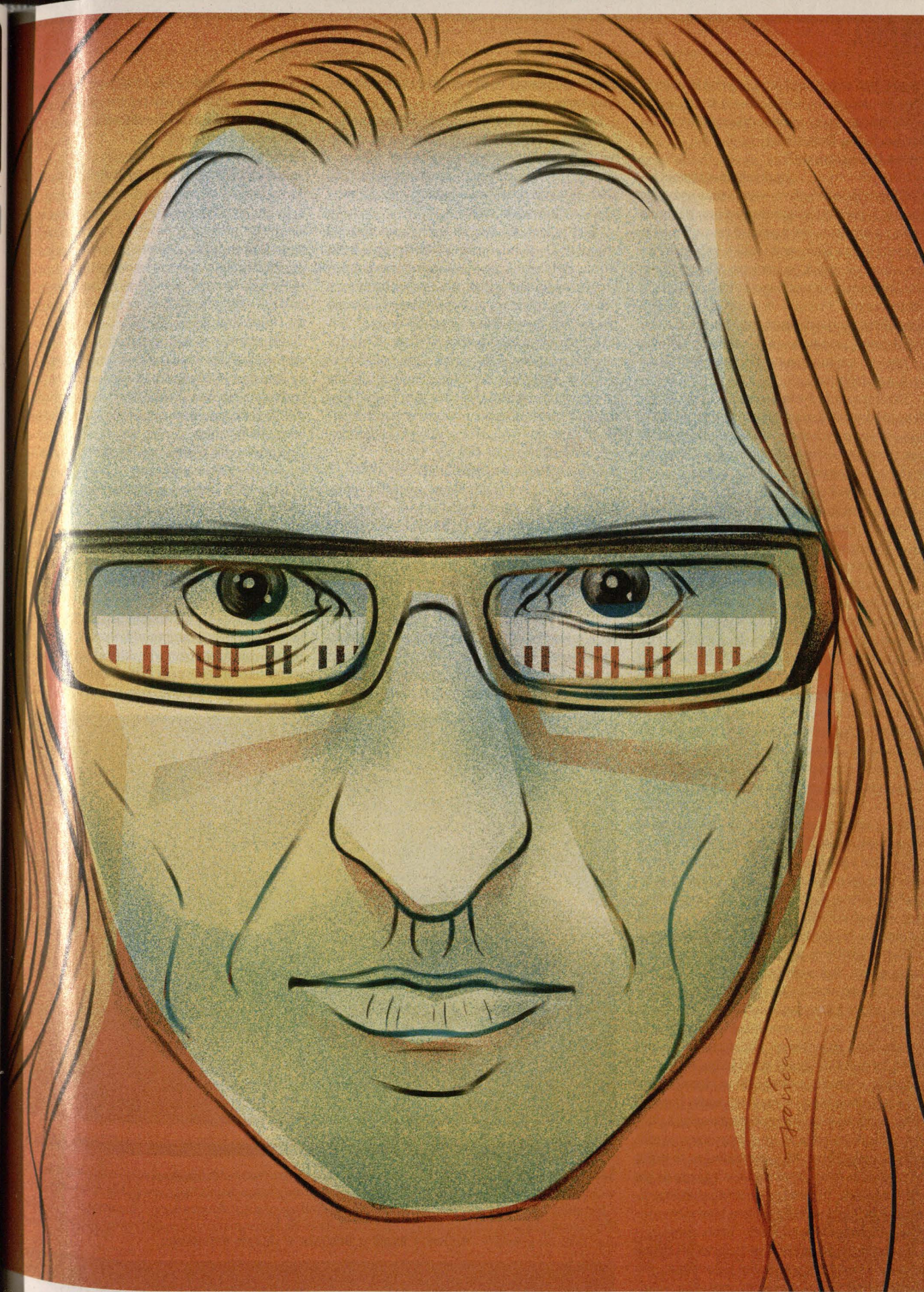
– Nie rozróżniam ich. Od wielu.

Nie odróżniasz Oleksego od Kaczyńskiego?

– No ich odróżniam, ale mam to szczęście, że nie gram na imprezach określonych partii. Raczej przyjmuję zamówienia na rocznice, uroczystości państwowe.

Ile dni spędziłeś w tym roku w domu?

– Ze dwa tygodnie, góra miesiąc. Ale to, że podróżuję, nie oznacza, iż życie leży odłogi. Jak dzwoni kafelkarz, żeby spytać, jaki kolor położyć w łazience, to mówię mu, że jestem w Los Angeles, ale potem zagram w Singapurze i przyjadę na piątek do domu.



→ to pojedziemy do sklepu i coś wybierzemy. Mnie to urzeka we współczesnej technologii, że w gruncie rzeczy zawsze czuję się jak u siebie na osiedlu. To zabijasz.

Lubisz życie w trasie?

– Czyli pytasz mnie, czy narzekam na swoje życie? Oczywiście mógłbym wymienić irytujące sytuacje w rodzaju ściągania dwa razy dziennie paska na lotnisku, żeby przejść przez bramkę. Mam też buty z klamrami i jeśli je założę, to zawsze muszę je zdjąć, bo brzęczą. Albo problem z zasilaczami do wszelkiego rodzaju urządzeń elektronicznych. Przecież w różnych częściach świata kontakty są różnych typów, a jak nie wezmę z domu zasilacza – a w hotelu zwykle ich nie ma – to nie mogę nawet naładować telefonu. Ale to drobiazgi.

Tak naprawdę życie w trasie jest łatwe. Jestem głodny, to dzwonię na recepcję. Potrzebuję pary czarnych skarpetek? Telefon do road managera. A w domu jestem sam. Lodówkę trzeba umyć, zepsuła się pralka, zakupy...

Gwiazdorzysz?

– W trasie lubię sobie pospać, ale prawda jest też taka, że doba hotelowa kończy się zwykle o 11, a artyści nikt nie chce długo trzymać. Chodzi o to, żeby przyjechać, przespacerować się (najlepiej w nie do drogi hotelu), zagrać i jak najszybciej wyjechać (najlepiej od razu po koncercie). Pobyt artysty to koszt. Artysta to osobnik dość uciążliwy, a z gwiazdą to już same kłopoty. A jak, nie daj Boże, jeszcze jakiś festiwal, to ich nagromadzenie kończy się frustracją. Nagle dowiaduję się z plakatów, że gwiazda imprezy są nazwiska, które widzę po raz pierwszy. No to sobie myślę, że może dla innych artystów też jestem takim nazwiskiem.

W ogóle rynek gwiazd dziwnie się zaburzył. Właściwie w świecie jazzu jest ich parę: Herbie Hancock, Wayne Shorter, Chick Corea, Pat Metheny... Z czystym sumieniem można wymienić 10 nazwisk. Jednak nastawiony na zysk rynek zrobił błąd i nie kreuje nowych gwiazd. Zaraz okaże się, że nie ma kogo dać na plakat, żeby festiwal dobrze się prezentował. Zresztą to nużące słuchać w kółko tych samych ludzi, którym nie chce się już ćwiczyć i robić nowych rzeczy.

Same koncerty pochłaniają w trasie najmniej czasu. Tak naprawdę najczęściej spędza się go na lotniskach. Oczywiście są one fascynujące przez pierwszy rok, ale po trzech sezonach już wiesz, że wszystkie wyglądają podobnie. No i to jedzenie. Jadłeś coś smacznego na terminalu? Znam tylko jedną dobrą restaurację – włoską na lotnisku w Monachium. W samolotach mogę zasnąć w każdej pozycji. Tylko czasami nie wierzę własnym oczom, kiedy widzę, ile miejsca na nogi przeznaczają niektóre linie lotnicze. Ktoś powinien za to pójść do więzienia. Albo przez rok latać za karę na takim siedzeniu. To zaczyna się robić niehumanitarne. Kiedyś za metafizyczny uznawałem moment oderwania się od ziemi. Teraz coraz częściej go przesypiam. Ostatnio zdarza mi się też przesypiać uroczysty moment lądowania. Stewardesa budzi mnie, kiedy już wszyscy wyjdą.

Czego można się nauczyć, jeżdżąc z miasta do miasta?

– Pokory. Ostatnio grałem na festiwalu pod San Remo, kierowca przywiózł mnie na terminal, wyladowaliśmy torby i odjechał. Okazało się, że to nie to lotnisko. No co mogłem zrobić? To są sytuacje, kiedy całe swoje gwiazdorstwo musisz schować do kieszeni.

Nauczyłem się też, że nie warto wpadać w gniew. Owszem, ludzie po awanturze będą wobec ciebie mili, ale kiedy się odwrócisz, pokazą ci odpowiedni gest. Na Sycylii kwadrans przed koncertem na dwa fortepiany na scenie nie było żadnego. No co możesz zrobić? Tylko się śmiać. Jakimś cudem w ciągu 20 minut pojawił się jeden instrument, nawet nieźle nastrojony. Drugi nie dojechał, więc zagraliśmy na cztery ręce. Nie ma lustra w garderobie albo trzech krzeseł, chociaż mam to w kontrakcie? No to ze znajomymi, którzy przyjdą po koncercie, porozmawiam na stojąco.

Jako artysta jesteś kapryśny?

– Niebezpieczeństwo bycia gwiazdą polega na tym, że łatwo możesz sobie pozwolić na gniew. Długo siedziałem na lotnisku, spóźnił się samolot, jesteś niewyspany, wczoraj ktoś jak zwykle chciał się z tobą napić po koncercie... A zaraz masz stresujący występ, na którym będzie sześć kamer, twój garnitur jest trochę nieświeży, bo to już jego trzeci wieczór, a zapasowy został w poprzednim hotelu. A wszyscy są tacy mili... Nic, tylko przyciąć porządnego focha. Ludzie przyjmą go ze zrozumieniem, bo przecież artysta ma prawo się

zdeenerwować. Człowiek, który wpada w gniew, jest jednak trudnym partnerem i jeżeli zorientuję się, że z kimś takim mam do czynienia, unikam potem współpracy.

Nazwiska?

– Żadnych. Jednak paru muzyków wykreśliłem z notesu. Po awanturach, jakie urządzałem, jedynym wyjściem byłoby palnąć im w łeb, ale nie zrobię tego, ponieważ jestem człowiekiem kulturalnym. Dobrze pracuje się z ludźmi, którzy mają dystans i ze wszystkiego robią sobie jaja. Chociaż musiałem się tego nauczyć, bo na początku myślałem, że muzyka jest sprawą śmiertelnie poważną.

Żartów za to nie ma przy dzieleniu kasy. Często lider, który dzieli pieniądze, mówi, że jeszcze nie wiadomo, ile to będzie, bo jest nadbagaż, więc zadzwoni w przyszłym miesiącu. To rodzaj subtelnej upokorzenia, bo nie wiesz, za ile grasz.

Za to pewnie wiesz, za ile chałturzysz na firmowych imprezach.

– Ktoś robi imprezę i zależy mu na kulturalnej, artystycznej oprawie, więc dzwoni do mojej menedżerki po Moźdżera. I to daje mi wielką szansę, bo spotykam ludzi, którzy prawdopodobnie nigdy by nie przysłuchali się do mojego koncertu. Impreza jest sztywniacka, wszyscy w garniturach, jest nieznośnie miło i ja zadaję im cios znienacka. Wychodzę jako długowłosy pianista w kolorowym garniturze i zamiast rozrywki, której się spodziewają, napierdalam im Lutosławskiego. I cała ta finezyjna konstrukcja z koreczków śle-

dziowych i zawiązanych krawatów przestaje obowiązywać.

Jeszcze nie słyszałem takiej pochwały chałtury.

– Chałtura to granie czegoś, czego nie kochasz, nie chcesz grać, ale robisz to dla pieniędzy. A jeżeli grasz to, co kochasz, w co wierzysz, tyle że za większą kasę niż zwykle, to nie jest chałtura.

A często grasz za większą kasę niż zwykle?

– Często, parę koncertów w miesiącu. To są mocne przeżycia okraszone poczuciem absurdu.

Tomasz Stańko kupił mieszkanie w Nowym Jorku, Kuba Wojewódzki też. Nie kusi cię dobry zagraniczny adres? Przecież masz ambicje, by zrobić międzynarodową karierę.

– Owszem, kiedyś chciałem mieć jedno mieszkanie w Tokio, jedno w Nowym Jorku, jedno w Paryżu... Ale jak masz sześć adresów, to musisz kupić sześć czajników, tyle egzemplarzy książki, która jest dla ciebie ważna. Wszystko zaczyna się komplikować, bo już teraz nie pamiętam, czy swój keyboard Virus HC zostawiłem w mieszkaniu w Sopocie, czy we Wrocławiu. Może Tomkowi jest trochę łatwiej – bierze trąbkę pod pachę i problem z głowy.

Mam to szczęście, że kiedy jestem w trasie, w moich domach mieszkają przyjaciele, wielu ludzi ma klucze. Czasami to się przydaje, bo jak zapomnę nut, to dzwonię do kogoś i proszę, by wysłał mi je faksem do hotelu. Puste domy są strasznie depresyjne i zakurzone.

Co będziesz robił, gdy skończy się Rok Chopinowski?

– Generalnie mam taki moment, że zająłem się innymi dziedzinami życia niż tworzenie muzyki, nagrywanie płyt. Owszem, gram Chopina, ale tak naprawdę w tym roku zadbałem o siebie. Przez lata miałem życie szalenie wypełnione planami koncertowymi, zleceniami kompozytorskimi, przymuszałem się do ciągłego rozwoju. Miałem dobre brzmienie, kompozycje i życie w rozsypce: lęk przed kobietami, nieumiejętność spontanicznego wyrażania własnych pragnień.

To może wakacje?

– Tylko raz byłem na dłuższych wakacjach. W zeszłym roku zaczął mnie boleć kręgosłup. Kiedy powiedziałem lekarzowi, że ostatni raz miałem wolne 12 lat temu, od razu zarządził: wakacje zamiast operacji. Wtedy panicznie się bałem, że gdy zejść ze sceny, ludzie o mnie zapomną. A okazało się, że mają już tyle medialnych informacji o Moźdżerze, iż nikt mojej nieobecności nawet nie zauważył. Ja jednak już nie powtórzę tego błędu. Miesiąc odstawienia od fortepianu spowodował, że przez rok dochodziłem do formy.

Jesteś zmęczony czy wypalony?

– Wprost przeciwnie, jestem w życiowej formie. Jak wychodzę na scenę, nie mam wątpliwości, że jestem dobrym pianistą. Wiem to, czuję, widzę po reakcji publiczności. Potrafię zgwałcić każdy instrument, nawet jeżeli on gra wbrew mnie, nawet jeżeli jest słaby, to i tak wy-

cisnę z niego niespotykane brzmienie. Gram koncert co dwa-trzy dni, mam od tego gorące ręce. One parzą. A żeby zrobić nowy projekt, trzeba mieć wolną głowę.

Przestałem też wierzyć w płyty, dziś wszyscy je nagrywają na laptopach, wydają własnym kosztem. Mieć na koncie płytę to już żaden sukces. Po płycie nie jesteś w stanie ocenić, czy to dobry artysta, bo w montażu i tak wszystko można wyczyścić. Dziś to scena jest próbą artystycznych umiejętności.

Kiedyś mówiłeś, że przez lata bałeś się występów. Polubiłeś je?

– Gram publicznie od siódmego roku życia, najgorsze były egzaminy dla szkoły i rodziców. Tata mówił: wyprostuj się, pani od muzyki: wiesz, ten drugi utwór zagrałeś za szybko, ktoś inny: za dużo lewej ręki, za dużo pedału,

W tym roku zostałem ambasadorem Chopina. Gram go co dwa-trzy dni. Mam już lekki niesmak, no ale na dwa fortepiany zarobiłem

LESZEK MOŹDŻER

za głośno. I wszyscy, którzy mnie słuchali, wdziali lepiej ode mnie, co zrobiłem źle. Niedawno miałem w SPATiF-ie przypadkową rozmowę, jakiś koleś zaczął opowiadać, że moja twórczość jest niekonsekwentna, niesymetryczna... Strasznie się tym przejąłem, zacząłem się tłumaczyć, aż w końcu mnie oświeciło: spytałem, jaka jest tercja w C-dur. I on nie wiedział. Nie wiedział, a wypowiadał się o mojej twórczości. To tak, jakby podszedł do ciebie ktoś, kto wychował się na katalogach samochodowych, i zaczął mówić, jakie błędy popełniłeś, robiąc „Przekrój”. Więc powiem teraz temu koledze, że tercja w C-dur jest dźwięk E.

Dopiero niedawno zorientowałem się, że ludzie, którzy przychodzą na koncert, wiedzą o muzyce mniej niż ja. To było dla mnie odkrycie, że mogę pozwolić sobie na rodzaj arogancji wobec nich. Gram etiudę Witolda Lutosławskiego, w której notorycznie mylę się na trzeciej stronie i nikt tego nie słyszy. Mogę trochę poimprovizować i wrócić do nut. Przez wiele lat publiczność była dla mnie egzaminatorem. Ale już się wypłakałem nad tym moim dzieciństwem i pogodziłem się.

No i?

– Poczulem ulgę. Do niedawna bardzo sztywno broniłem swojego wizerunku, uważałem na każde słowo, publiczny ruch. Teraz zupełnie odepnąłem. Nie wiem, co z tego wyjdzie, za to wiem, że nie byłem szczęśliwy, więc może opłaca się trochę poluzować. Kiedy spotkałem Davida Gilmoura, powiedział mi, że chciałby być ponownie nieznanym muzykiem. Że teraz wystarczy, iż weźmie gitarę do ręki, coś brzęknie, a już zgłaszają się po to wytwórnie, drukują

plakaty, rusza trasa, bo każdy chce zrobić z nim *big deal*. Zobaczyłem, że on nie może pograć ot tak, bo wielki sukces odebrał mu tę wolność.

Nie ma już jednak powrotu do anonimowości – ani dla niego, ani dla ciebie. Marudziacie jak typowe gwiazdy.

– Nie dam się wtłoczyć w rolę maszynki do robienia pieniędzy. Weźmy choćby koncert Moźdżer+ na Solidarity of Arts: miliony złotych budżetu, trzy sceny, wielka odpowiedzialność... Gdybym zaczął się zastanawiać, ile to kosztuje, ile ludzi nad tym pracuje, to nie miałbym siły grać.

Ma to być podsumowanie twojej 20-letniej działalności, a nie zaprosiłeś na scenę Preisnera, Tymańskiego, Makowicza... Ludzi, którym – jak sam mówiłeś – zawdzięczasz najwięcej.

– Rzeczywiście. Praca nad tym koncertem trwa już od dwóch lat. Przyszedł do mnie Krzysztof Materna, pomysłodawca i reżyser całego zamieszania, i zapytał, z kim chciałbym zagrać. Byłem wtedy w kiepskiej formie psychicznej i powiedziałem, że jest mi wszystko jedno. To on rzucił takimi nazwiskami jak Marcus Miller, John Scofield... A ja kiwałem głową i dorzuciłem kilku swoich przyjaciół, takich jak Naná Vasconcelos, Zohar Fresco czy Lars Danielsson. Wszystko zapisałem na papierze, Krzysztof wraz ze swoją ekipą zaczął przygotowania. Po paru miesiącach okazało się, że kontrakty są już podpisane i teraz muszę zrealizować zadanie, jakie przede mną stoi.

Kiepskie podejście jak na podsumowanie swojej twórczości.

– Podsumowania są iluzją. A ja wiem, że życie toczy się dalej i takich wydarzeń będzie w przyszłości jeszcze wiele.

Zrywasz ze swoimi dotychczasowymi autorytetami?

– Zawsze miałem tendencję do przesuwania odpowiedzialności za moje życie na osoby trzecie. Teraz nauczyłem się, że to ja decyduję za siebie, ale cały czas jestem otwarty na sugestie innych. Poza tym uleganie czarowi autorytetu ma swoją ciemniejszą stronę. Po prostu tracisz wolność i własną ekspresję. Chcesz kogoś naśladować, pragniesz komplementów i robisz wszystko, by się dopasować, zamykasz się na siebie. A każdy jest inny i nie ma jednej drogi dla wszystkich. Jestem teraz na etapie odrzucania autorytetów.

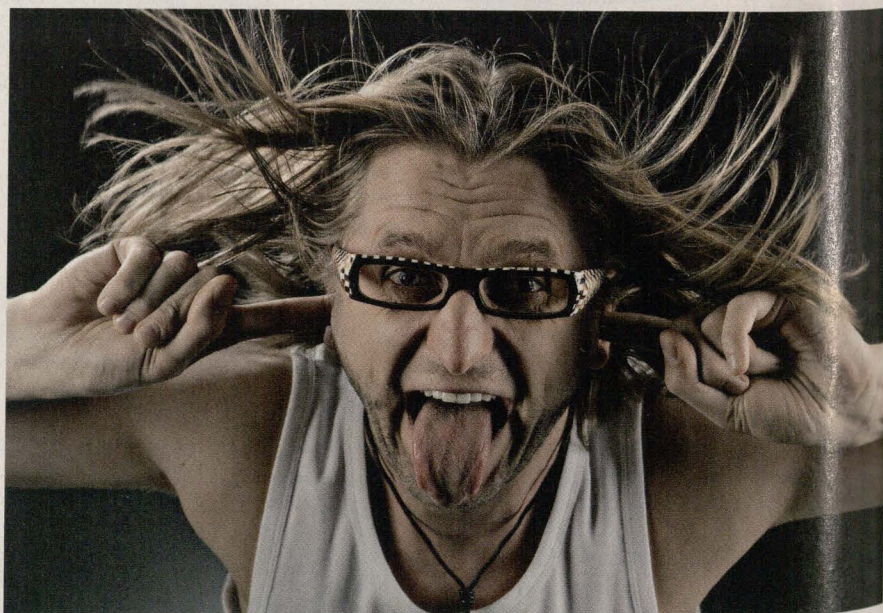
Powiem ci jeszcze, jak odnalazłem szczęście. Może nie wszyscy to skumają, ale... Jest w umyśle takie miejsce, kiedy jedna myśl się kończy, a inna jeszcze nie zaczęła. I jest przestrzeń między tymi myślami, taki moment, i tam trzeba wskoczyć. I przez tę szczelinę możesz dostać się do samego siebie, Boga, swojej szczęśliwości...

Próbowałeś?

– Oczywiście.



Chilli ZET
Radio w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



Leszek Moźdżer, rocznik 1971. Pianista, kompozytor, artysta pracoholik. Ukończył Akademię Muzyczną w Gdańsku, ale pierwsze sukcesy przyniosła mu współpraca z jazzmanami: Zbigniewem Namysłowskim i Tymonem Tymańskim w grupie Miłość. Współpracował z Janem A.P. Kaczmarkiem, Zbigniewem Preisnerem, Davidem Gilmourem czy Lesterem Bowie. Na scenie znakiem charakterystycznym pozostają jego kolorowe garnitury – **pierwszy kupił w Berlinie w sklepie gejowskim**.

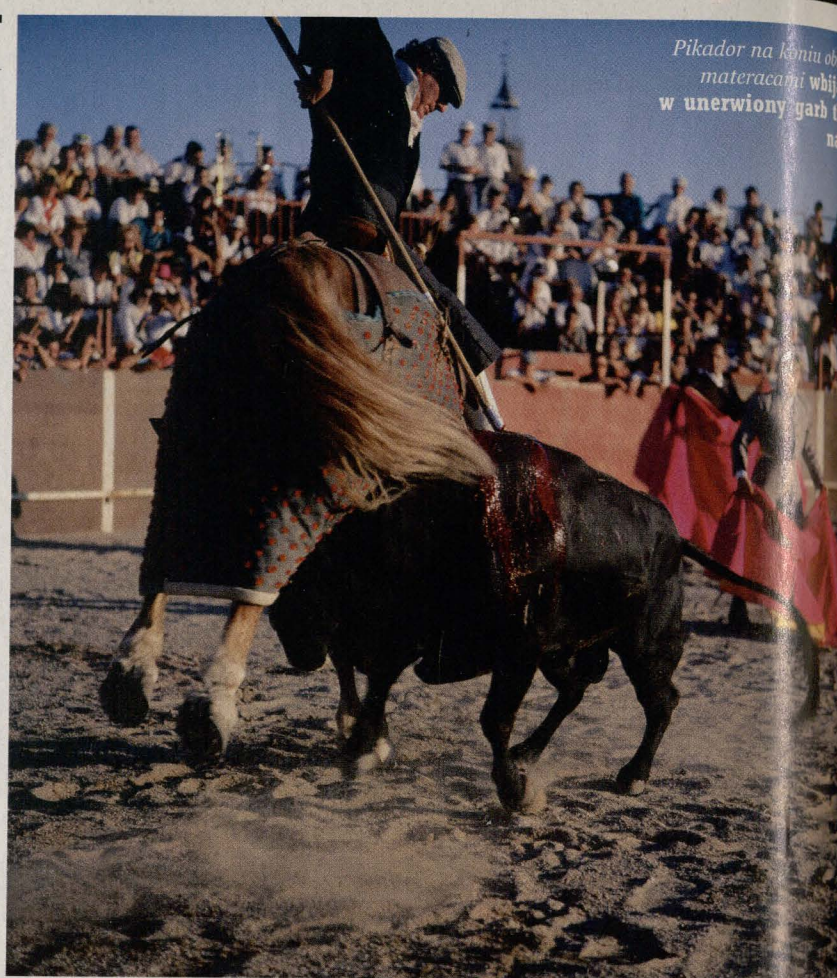
OTWÓRZ
oczy

ZADYSZKA CORRIDY

NIKT NIE WIERZYŁ,
ŻE KATALOŃSKIM
RADNYM W KILKA
MINUT UDA SIĘ ZADAĆ
ŚMIERTELNY CIOS
WIELOWIEKOWEJ
TRADYCJI. DZIŚ
HISZPANIA
ZASTANAWIA SIĘ,
JAK WPISAĆ
CORRIDĘ NA LISTĘ
DZIEDZICTWA UNESCO

TRADYCJE STANISŁAW RAJEWSKI

DLA WIĘKSZOŚCI HISZPANÓW TO JAK zdelegalizowanie flamenco albo piłki nożnej. Tymczasem branża związana z organizacją walk byków nad Ebro i w Ameryce Łacińskiej zamarała w osłupieniu: jedni już liczą straty, inni czekają na najgorsze – efekt domina, który doprowadzi do zagłady świata corrid. W czasie gdy politycy poszczególnych partii obrzucają się obelgami w związku z zakazem walki z bykami, przedsiębiorcy związani z branżą gorączkowo lobbują w Madrycie za ustawami, które miałyby zatrzymać katalońską „zarazę”. Pojawiły się już pomysły, by Kortezy uznały corridę za część dziedzictwa narodowego i w ten sposób obaliły zakaz. Niektórzy idą dalej i żądają wpisania jej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Skąd takie larum o – zdawałoby się – anachroniczne widowisko, w którym człowiek ubrany w jaskrawy i za krótki garnitur ryzykuje życie w pojedynku z ranną bestią? – Powiedzieć, że corrida



Pikador na koniu oblatuje drażni zwierzę wystawnymi ózowymi płachtami (capa). Choć wa nie ma znaczenia, bo byki nie tają kolorów. Gracja liczy się nie skuteczność

Pierwsze wzmianki o kobietach walczących z bykami sięgają XVII wieku, ale dopiero w 1974 roku zniesiono formalny zakaz ich uczestniczenia w corridzie



dla Hiszpanów to tradycja, to nie powiedzieć nie – przekonuje w rozmowie z nami Fernando Cuadri Vides ze Związku Hodowców Byków Bojowych (UCTL). – To misterium, które jest nierozdzielnie związane z naszą tożsamością, tak jak flamenco, piłka nożna czy wspomnienie o rekonkwiescie – dodaje.

Wtórzuje mu Placido Domingo, hiszpański tenor: – Zakaz organizacji walk byków nie ma nic wspólnego z ochroną zwierząt. Byk bojowy jest specjalnie hodowany dla tego widowiska. Tak jak świnia dla szynki. Pięć lat żyje w luksusowych warunkach, by potem umrzeć po 15 minutach cierpienia. Po co tego zabraniać? Jak ktoś nie chce, to niech nie chodzi na corridę. Toreadorzy to artyści, którzy podczas widowiska dają z siebie wszystko, ryzykują życie, taka jest nasza tradycja. Corrida to prawdziwa sztuka

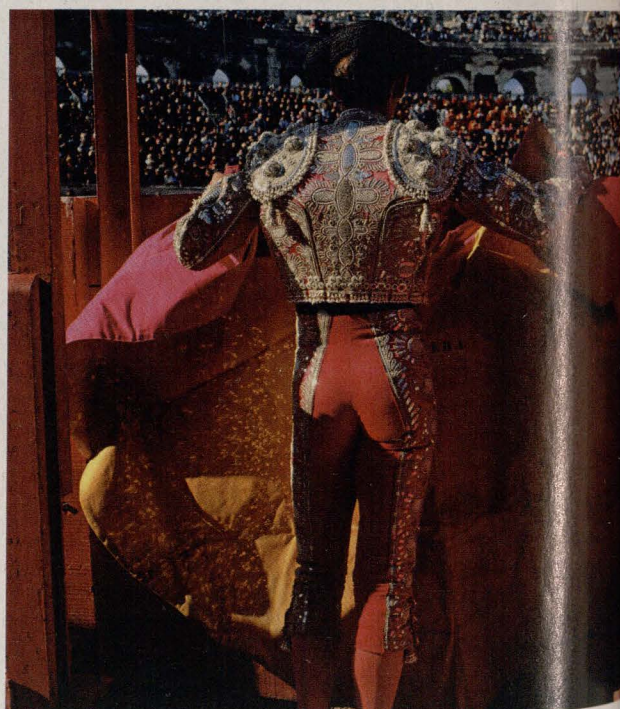
Matador wychodzi na scenę bez szpady. Te trzyma pomocnik, gotowy szybko je podać

ka – mówił w wywiadzie dla dziennika „La Razón”.

(Żaloba po toreadorze)

Jednak corrida to nie tylko drobiazgowo wyreżyserowane misterium mające symbolizować zmaganie człowieka ze śmiercią. To potężna gałąź show-biznesu, a najslawniejsi *toreros* deklarują – jeśli chodzi o popularność i zarobki – gwiazdy kina.

Kiedy José Tomás, matador uznawany za jednego z najlepszych w historii, ogłosił w 2002 roku, że kończy karierę, cały kraj pograżył się w żalu, a niektóre dzienniki ukazały się w żałobnej szacie, bez kolorowych zdjęć. Pięć lat później, kiedy Tomás zapowiedział powrót, Hiszpania oszalała z radości graniczącej z histerią. Corrida przeżywała renesans, a areny pękały w szwach. Lewicowy dziennik „El País”, który wycofał się z relacjonowania walk byków, znowu poświęcał im stronę za stroną. Nawet →



Corrida to starannie wyreżyserowane przedstawienie: drażniący się z bykiem toreadorzy zakładają metalowe ochraniacze i wychodzą na scenę, następnie pojawiają się pikador na koniu i piesi, którzy starają się wbić w zwierzę kolorowe włócznie. Na koniec wkracza matador (zabijacz)

→ państwowa telewizja, która zapowiedziała rezygnację z transmisji walk, przerywała trwające programy, by pokazać Tomása w akcji. Prywatne zdjęcie matadora z wakacji dla plotkarskich pism wciąż jest więcej warte niż zbliżenia Julii Roberts czy Bruce'a Willis.

Znawcy corridy twierdzą, że zbiorowe uwielbienie dla 38-latką to efekt niespotykanej brawury i mistrzostwa. Do tego matador nie traci zimnej krwi, nawet kiedy jest ranny i walczy z omdleniem po szarży byka. – Z punktu widzenia przedsiębiorcy corrida to kapryśny i nieprzewidywalny rynek. Dużo zależy od pojawienia się na nim takiego talentu jak Tomás

– mówi nam Jose Angel Cruz, ekonomista z Katolickiego Uniwersytetu San Antonio w Murcji. – Dobry torero, który potrafi zdobyć serca ludzi i – co równie ważne – artystów, intelektualistów oraz dziennikarzy, jest jak lokomotywa, która napędza cały przemysł – dodaje.

A przemysł, który odpowiada za organizację widowisk, to blisko 2,5 miliarda euro obrotów rocznie i 200 tysięcy miejsc pracy. Dla przedstawicieli najróżniejszych zawodów – od matadorów, poprzez agentów artystycznych, weterynarzy, muzyków, po dziennikarzy i specjalistyczne firmy transportowe. To także 1377 przedsiębiorstw, które na 550 tysiącach hekta-

rów łąk zajmują się hodowlą byków bojowych (w ubiegłym roku na areny trafiło ponad 10 tysięcy zwierząt, a ich ceny wahały się najczęściej między 5 a 15 tysięcy euro). Do tego dochodzą jeszcze 44 szkoły dla matadorów, które muszą walczyć z nadmiarem chętnych, chociaż w ostatnich latach coraz więcej rodziców posyła synów po nauki do Meksyku i Kolumbii, gdzie nie obowiązują ograniczenia wiekowe w czasie naboru. W Europie do takiej szkoły za zgodą rodziców można zapisać dziecko od 12. roku życia. Toreros uważają, że to za późno, bo dobry matador jak najwcześniej musi zacząć oswajać się ze zwierzęciem. Dlatego wielu znanych



Strój toreadora sięga tradycją czasów hiszpańskich kolonizatorów. Dziś projektują je największe gwiazdy mody, jak Giorgio Armani

toreros, którzy są już na emeryturze i chcą, żeby ich synowie też walczyli, na czas ich nauki przenoszą się do Meksyku.

I chociaż minęły już czasy, kiedy żadne święto patrona wioski nie mogło się odbyć bez choćby skromnej corridy, to branża w ubiegłym roku obsłużyła 1848 dużych przedstawień (o 20 procent mniej niż w 2008 roku ze względu na kryzys finansowy i gwałtowny spadek liczby turystów z USA).

(Katalonia umarła)

Mimo tradycyjnych narzekania hodowców byków to branża, która znacznie lepiej niż inne radzi sobie z krachem gospodarczym. Jed-

nak niedługo może się to zmienić, i to nie tylko w Hiszpanii, ale też w Ameryce Łacińskiej. – To, co się stało w Barcelonie, wzmocni ruchy, które domagają się zakazu corridy. Posypią się następne wnioski – mówi w rozmowie z dziennikiem „El País” Alfredo Sahagún z firmy zarządzającej areną walk byków w Guadalajarze w Meksyku.

Nie dziwnego zatem, że to, co się stało w Katalonii podczas większości kolejnych corrid, zostało upamiętnione minutą ciszy. – Był czas, kiedy Barcelona była stolicą corridy. Dla mnie Katalonia umarła – stwierdził w wywiadzie dla dziennika „ABC” Joaquín Bernardo, legendarny matador, który w latach 70. podczas jednego występu pokonał sześć byków.

Paradoksalnie jednak zakaz – jak już kilkakrotnie zdarzało się w przeszłości – przyczyni się do renesansu corridy. Stało się tak w XVI wieku, kiedy papież Pius V zakazał corridy pod groźbą ekskomuniki, w XVIII wieku po zakazie Karola III Burbona czy zupełnie niedawno, w latach 80. i 90., kiedy zakaz był debatowany na forum Unii Europejskiej. Każda dotychczasowa próba administracyjnego zniesienia walk byków prowadziła do mobilizacji *aficionados* i triumfalnego powrotu corridy do łask. Szanse, że tym razem będzie tak samo, są spore – według ostatnich badań 37 procent Hiszpanów deklaruje, że lubi widowisko, a 57 procent sprzeciwia się decyzji katalońskiego parlamentu.

ROZMAITOŚCI

Wymyślił i narysował
Marek Raczkowski



W tym tygodniu:

KURKIEWICZ UŚWIADAMIA PANIĄ RPO, WITKOWSKI NOSI SKARPETY DO SANDAŁÓW, A KRZYŻÓWKA PISZE LIST PASUJĄCY DO „PRZEKROJU”



ROMAN KURKIEWICZ

Pani Jourdain polskiej polityki
Smutno. Kaczyński nie przyszedł na zaprzysiężenie Komorowskiego. Komorowski przynudził. I jeszcze ta nieświadoma swojej roli Pani Rzecznik Praw Obywatelskich... Czy naprawdę takie państwo jest nam do czegoś niezbędne?

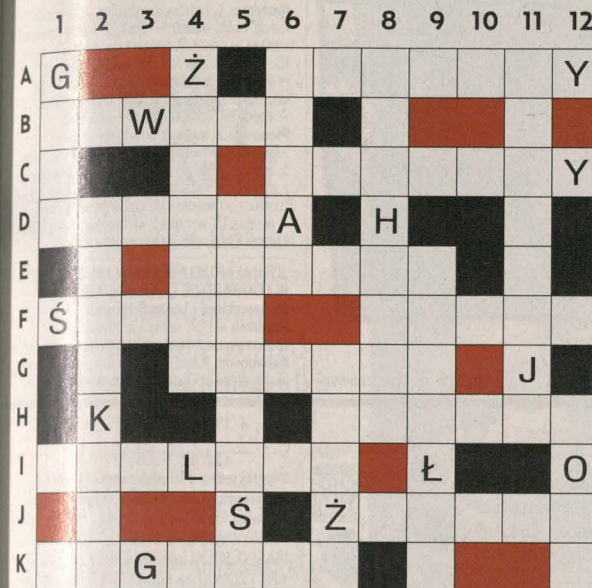
LEWO
MYŚLNI

A MOŻE NIE POWINNIŚMY SIĘ DZIWIĆ, ŻE NOWO wybrana Rzeczniczka Praw Obywatelskich, oprócz takiego drobiazgu, że zapewne nie zgodziłaby się na formę żeńską swojej funkcji, nie wie nawet, a raczej nie rozumie, że pełni funkcję fundamentalnie i głęboko, i istotowo polityczną. W wywiadzie udzielonym Ewie Siedleckiej z „Gazety Wyborczej” Pani RPO twierdzi z pewnością godną lepszej sprawy, że w jej instytucję wbudowana jest twarda apolityczność. Horrendum pudendum!!!, jak mawiali starożytni Rosjanie... RPO ma stać na straży przestrzegania praw człowieka. Prawa człowieka to co, jak nie polityka??? To tak czysta polityka, jak tylko mogą o tym marzyć polskie rzeki. Gdyby nie ta polityka i żądania polityczne, to można by zapomnieć, że przed stu laty Pani Irena Lipowicz miała kłopot z ukończeniem studiów, że o byciu posłanką nie wspomnimy. Ale ówczesne elity, wśród nich nawet mężczyźni, rozumiały, że odsłaniają się nowe pola, przestrzenie, grupy społeczne dotknięte różnymi formami dyskryminacji, której należy stawić czoła. I dzisiaj dla ludzi z otwartymi oczyma, sercami, umysłami odsłaniają się

takie zjawiska i potrzeby. Wystarczy patrzeć, słuchać, czytać, obserwować. Wczuwać się. Tego Pani RPO życzymy z całego serca. I przypominamy, że inaczej może odczuwać obecny status quo serce geja czy lesbijki, osoby o innym niż Pani RPO kolorze skóry, serce osoby, dla której akurat świat wartości chrześcijańskiej nie musi być czymś oczywistym i naturalnym. Kategoryczność niezainteresowania wieloma sferami życia publicznego niepokoi. Prokościelne deklaracje Pani RPO kładą zadanie, czy Pani RPO będzie RPO tylko tych, których wizję świata Pani RPO podziela, tych, którzy i tak są w większości, tych, którzy z rytuałami tożsamości polsko-katolicko-biało-heteronormatywnej są za pan brat i za pani siostra? Polityka to żywioł, szkoda byłoby go sztywno zabiurować. Pani RPO: nie lekaj się! Odwagi! Może Pani zmieniać oblicze tej polityki! Politykę można uprawiać w tej instytucji z prawdziwą misją! Bo w instytucję RPO polityka jest wbudowana fabrycznie. Proszę patrzeć władzy na ręce, proszę patrzeć większości na ręce. My będziemy patrzeć na Panią. Politycznie bardzo. Politycznie.

JOLKA NR 32

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY 8-LITEROWE:

• ŻYWIŁE FARSZEM
• PRZECIOWALNIA X
• DANTON, KALISZ
• TRALALOKAT
• POTOMEK WINOJACY

WYRAZY 7-LITEROWE:

• PO LESIE SIĘ NIESIE
• STRACONE WWW
• MIŁOŚCI
• WIECZÓR W STOŁOWYM

• PŁACHTY SENSACJI • PUŚĆ
MU OBIAD PŁAZEM
• ZAPĄKI • CHORĄGIEWKA =

WYRAZY 6-LITEROWE:

• POPRAWINY
U GUTENBERGÓW
• CHŁOPAKI DO STARCIA
• ZAWIESZONA WYŻEJ NIŻ
PORZECZKA • W SZAFIE
LESIAKOWEJ • ZADŁUŻONY
U WETERYNARZA

• NOSZONY ZAMIAST
ZEGARKA

WYRAZY 5-LITEROWE:

• BANK BEZ KLAMEK
• MIĘDZY SAMEM A WANIA
• STARUSZEK MŁODYCH
• DO RANI PRZYŁOŻ

WYRAZY 4-LITEROWE:

• Z CZYM SIĘ JE JE?
• KAWAŁEK CZERWONYCH
GITAR

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

A6_G9_B8_B3_C1_E2_K9_H8_J12_C10_C4_F3_F11_
D11_A7_K12_G4_E6_A10_H5_D3_F12_I6_J2_C9_G6_J11_E7_

LAUREACI Z NR. 28

KRZYŻÓWKA:

Ligia Bauman, Mława;
Łukasz Dzieńkowski, Olsztyn; Irena
Frołowicz, Gliwice;
Urszula Puszczynska,
Warszawa; Iwona Wilk, Oleśnica

JOLKA:

Weronika Grodecka, Warszawa;
Bożena Malik, Sucha;
Anna Pojda, Rybnik; Piotr Sosnowski,
Warszawa; Magdalena Tarasiewicz,
Warszawa

ZEJŚCIE 2. HORROR PONOWOCESNY

WYSTĘPUJĄ: PRZEWODNIK

WYCIECZKI oraz TURYSY

MIEJSCE: przed wejściem do jaskini

CZAS: ostatecznych porachunków

PRZEWODNIK WYCIECZKI: – Tam już nic nie ma. Było, ale poszło.

TURYSY: – Hura. Zstąpmy więc pod ziemię.

(Wchodzą do jaskini i nikną w ciemnościach. Po chwili na powierzchnię wychodzi Wojciech Kuczek w kasku z latarką. Otrzępuje ubranie. Sprawdza sprzęt. Uśmiecha się)

(Odsłania zęby)

(Groza)

KURTYNA zapada nieczym śmiertelny całun.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA



Skarpetki do sandałów
Głównym trendem nadchodzącej mody jest pogrywanie ze złym smakiem

OBYCZAJÓWKA MICHAŁ WITKOWSKI

W TYM SEZONIE MODOWY HIT POLAKÓW – skarpetki do sandałów – narreszcie doczekał się akceptacji! A to dlatego, że jednym z głównych trendów nadchodzącej mody jest dysonans i pogrywanie ze złym smakiem. Co więc należy robić, aby być na czasie w najbliższych sezonach? Sprawiać wrażenie, jakby ubierało się po ciemku, sięgając na chybił trafił po leżące wokół ciuchy. Spodnie od dresu połączmy ze starymi, klasycznymi skórzanymi butami pasującymi tradycyjnie tylko na pogrzeb lub obronę pracy doktorskiej. Do nich koniecznie założymy jaskrawoczerwone lub zielone odbłaskowe skarpetki, a na górę koronkową czarną koszulę i tatuaż w kształcie logo najka. Sportowo, klasycznie i staroświecko naraz! Jak najbardziej na czasie są dziadkowate, brązowe szydełkowe sweterki z kieszonkami zapinane na opalające guziki, lekko dziurawe podkoszulki z lumpeksów, tanie rógowe i za duże oprawki do okularów, zegarki z targu staroci nakręcane ręcznie (ekologiczne) lub elektroniczne z kalkulatorem. Medaliki na łańcuszku i klucze na szyi. No i hit największy – pederastki i bilonki (ta ostatnia to torebka na bilon na pasie używana zwykle przez ukraińskich przemytników papierosów i dawnych cinkciarzy). Włosy czesemy tak, jakbyśmy właśnie wstali z łóżka (*out of bed*), a zamiast biżuterii wzorem Madonny zawiązujemy na nadgarstku nitkę lub zakładamy zwykłą gumkę apteczną. Manifestujemy więc nonszalanę i pogardę dla zasad klasycznego dobrego gustu. Najgorszą rzeczą jest ubrać się „jak pańcia do kościoła” – wszystko pod kolor, wszystko do siebie pięknie pasuje, włoski ślicznie uczesane, polakierowane i do tego zapach rozchodzący się na kilometr. Uwaga: używanie perfum, które dostępne są na każdym lotnisku w duty-free shopie, jest zakazane. Pryskamy się tylko niszowymi, dostępnymi w małych i zakamuflowanych perfumeriach. Perfumy o zapachu rozgrzanego betonu, garażu, kościoła czy w ogóle bez zapachu. Mile widziane są dodatki stare i zjechane, przede wszystkim pierścienki, z których odpadło oczko (można je wydłubać), paski i trampki popisane długopisem, nadwerżone torebki. Z ramek okularów przeciwsłonecznych powinien schodzić lakier, co jest efektem wyjątkowo trudnym do uzyskania. Wzory z kultury masowej: przede wszystkim Amy Winehouse. Należy skończyć z polskim ładnym ubrankiem. Z ubrankiem nowym, czystym, ślicznym, zagranicznym. To samo dotyczy motorów, rowerów i samochodów – nie muszą już być nowiutki. O wiele bardziej romantycznie jest jeździć czymś nieco bardziej rozklekotanym. Zamiast walentynek i innych różnowitkich, lukrowanych świąt obchodzimy pogańskie noce kupały i dziady. Nie latamy samolotami do ciepłych krajów, tylko odwiedzamy Kartuzy albo Syberię. Zamiast oglądać w telewizji amerykańską siećkę, czytamy grube powieści. Podczas zakupów przestrzegamy zasad fair trade i wybieramy produkty krajowe, które nie musiały lecieć do nas samolotem zatruwającym środowisko. No i oczywiście nosimy skarpetki do sandałów. Z lubością.

MYŚLNIK

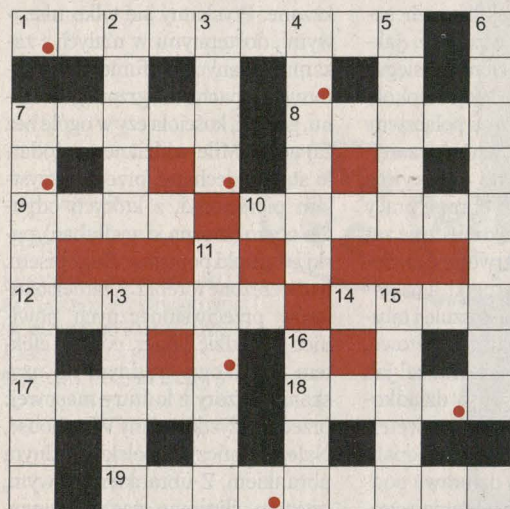
Między pytaniem
a odpowiedzią pojawia się
czasem podpowiedź.

Krzysztof Bilica



JESZCZE RAZ RACZKOWSKI

KRZYŻÓWKA NR 32



Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest płyta **Leszka Możdżera** „Impressions on Chopin” (Magic Records).

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

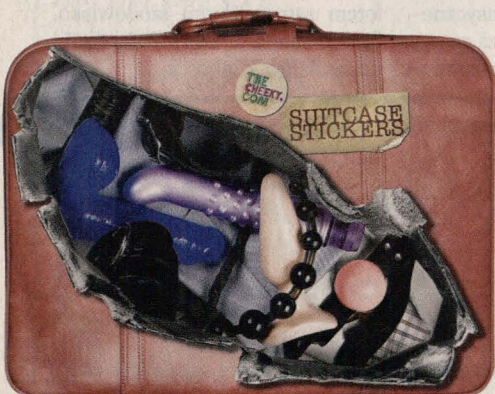
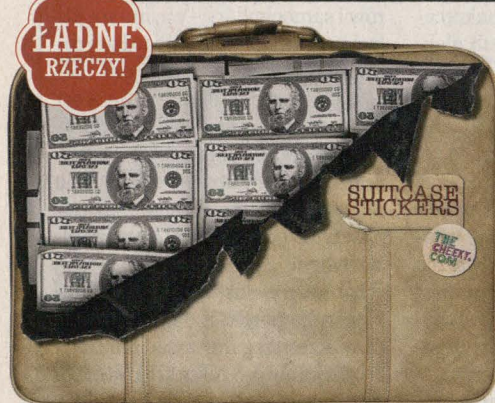
POZIOMO:

1. ZJADA DZIECI
7. CHODZI O TO, ŻE NIE IDZIE
8. STOI NA WARCIE
9. SOBOTWÓR
10. ŻYWIŁ I BRONIA
12. POTWÓRKA Z ROZRYWKI
14. DO ZAWIJANIA
17. SŁYNNA MOWA
18. KOŃ DON
19. WKŁADA I WYJMUJE

PIONOWO:

2. PUNKT KARNY
3. NADAJE SIĘ DO „PRZEKROJU”
4. TANI WYCISKACZ ŁEZ
5. 3 MAJA 1791
6. CH BOHATERA
7. NA SERIO DLA JAJ
11. MA ROBOTĘ NA BOKU
13. SZUKAJCIE, A ZNAJDZIECIE
15. ROZRYWKA LUDOWA
16. MA STRACHA

ŁADNE RZECZY!



Pakuj się Oczywiście na wakacje, ale najlepiej w kłopoty! Choćby na niby

JESLI WYBIERASZ SIĘ DO KURORTU LEŻĄCEGO w północnej Afryce, narażasz się nie tylko na po- byt w zagłębiu polskiej turystyki egzotycznej. W pakiecie dostajesz też bezpieczeństwo i nu- dę. Co może być ekscytującego w smażeniu się na plaży, nieustająco uzupełnianych przez przy- stojnych kelnerów drinkach, samotnych space- rach, pomarańczowej opaleniznie i setkach ba- dziewia pakowanego do walizki, która i tak nie chce się domknąć? Najlepiej zaszalej przed wy- jazdem, a dokładnie w trakcie podróży, ozdabia- jąc naklejkami swój ważyący do 20 kilogramów ba- gaż. Odradzamy takie psikusy, tylko gdy za- miast do Egiptu lecisz do USA, bo nie ma nic gorszego niż przygoda z pozbawionym poczu- cia humoru celnikostrażnikiem granicznym. □

Do wyboru jest kilka opcji naklejek: piękna kobieta (choć osobiście wolalabym Vincenta Cassela), koks, kasa lub gadzety ubarwiające letnie noce



ROZWIĄZANIA Z NR. 30

KRZYŻÓWKA: BAWARKA

Poziomo: 1. ZARABIA NA GÓRNIKU — BURMACHER
7. POD WŁOS, WBRĘW — CZOŁO 8. MIĘDZY KOPERNIKIEM
A ZIEMIĄ — COKOŁ 9. DIABŁO FAJNE MIEJSCE — RING
10. ZAPŁACONO MYTO — MYNIA 12. KOWALSKI
— MISTRZ 14. KIERÓNEK W SZTUCE — KIC 17. MA
MUZEUM W WARSZAWIE — NARÓD 18. NIPASTNIK
— TUBKA 19. MUNKĄ ŚLĄSKĄ — PASAŻERKA
Pionowo: 2. MA PIŁKĘ DO NOSA — KŁOHN
3. PRAWOZIWA PASJA — AMOK 4. NARYBIK — HACZYK
5. MORZE UGRYŻĆ — REKIN 6. MAŁY ŻÓŁTY WÓZEK
Z JEDNYM LUB TRZEMA KÓLKAMI — ŻÓŁTA CZ. 7. MOJA
ŚLUBNA — CEREMONIA 11. CZŁOWIEK BEZ MIĘDNICY
— BRUDAS 13. W GARDŁO NA ZDROWIE — SYROP 15. ALZ
KORZEŃ — IMBIR 16. PRZED ROBOTĄ — SZŁAZ

JOLKA: MOJEJ PEŁERYNY NIE CHYBA JUŻ
W LOMBARDZIE (z piosenki Mieczysława
Srokowskiego i Leona Schillera).
Rzędami: NESTOR, MOTYKA, STATYKA, ZAROSY,
ROZPLECINY, LUSTRZANKA, FIOŁKI, SANKCJE, POZEM, ŚCIEŻKA
Kolumnami: PLASY, SOWA, PRYSZNIC, DYSIO, SZPACHA,
NASYP, AFERY, STAJENNI, KOBZA, ORYGINAL, KUE, PARYŻ

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 40

KUBA DĄBROWSKI

Penisy i kwiaty

W twórczości Roberta Mapplethorpe'a najtańszego sortu pornografia spotyka się z antyczną rzeźbą, a obyczajowy skandal idzie w parze z komercyjnym sukcesem

NOWY JORK, POCZĄTEK LAT 70. HEDONISTYCZNY styl życia bohemy Greenwich Village osiąga apogeum. Robert Mapplethorpe żyje w centrum rozrywko- wych wydarzeń. Nieskrywający swo- jej orientacji gej, przyjaciel Andy'ego Warhola, mieszkaniec Chelsea Hotel, współlokator Patti Smith... Zgodnie z duchem czasów i środowiska chłop- pak chce zostać artystą. Nie fotogra- fem, ale właśnie artystą. Tworzy prze- strzenne instalacje z wykorzystaniem zdjęć wycinanych z magazynów por- nograficznych dla homoseksualistów. W 1973 roku kupuje polaroida SX-70 i zaczyna fotografować. Portretuje przyjaciół (to on jest autorem legen- darnego zdjęcia na okładce płyty Pat- ti Smith „Horses”) i rozpoczyna pra- cę dla wydawanego przez Warhola magazynu „Interview”. Robi wysma- kowane martwe natury (po prawej „Parrot Tulips”, 1985) i męskie akty (tu dołu „Lowell Smith”, 1981). Orchi- dee i lilie zestawiane są na jego wy- stawach ze zbliżeniami ogromnych czarnych penisów i praktyk sadoma- zo (na przykład autoportret z pejszem w odbycie). Wszystkie zdjęcia są pię- k-



Duże wystawy Mapplethorpe'a rzadko możemy oglądać w Europie. Tym bardziej warto odwiedzić czynną do 15 VIII retrospektywę fotografa w NRW Forum w Düsseldorfie

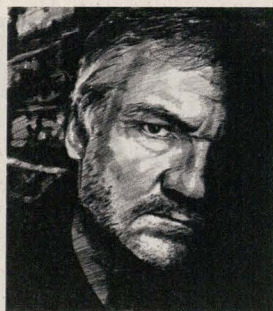
nie oświetlone, klasycznie skomponowa- ne. Krytyka zachłystuje się twórczością Mapplethorpe'a — pisze się o estetyza- cji pożądana, odwołaniach do antycznej rzeźby i technicznej maestrii. W ciągu dwóch lat fotograf zyskuje status gwiaz- dy, jednak szeroka publiczność nie jest przekonana o jego wielkości. Wystawy Amerykanina są oprotostowywane, zda- rza się, że zamykane. Policja przesłuch- je piszącego pracę magisterską o foto- grafie studenta historii sztuki, na które- go donos złożył laborant drukujący zdję- cia do opracowania... Szum i aura skan-

dalu wzmacniają pozycję Mapplethorpe'a na uwielbiającej tego typu sytuacji artystycznej scenie. W tym samym czasie bezpieczne, nadające się do powieszenia w salonie martwe natury i portrety za- pewniają mu komercyjny sukces.

W 1989 roku, w wieku 42 lat, będąc u szczytu kariery, Robert Mapplethorpe umiera na AIDS. Po śmierci jego arty- styczne akcje rosną jeszcze bardziej. Por- tret Andy'ego Warhola jest ósmą najdro- ższą odbitką w historii, w 2006 roku dom aukcyjny Christie's sprzedał go za 643 ty- siące dolarów. □

Kiedy uprawiam seks, zapominam, kim jestem. Są nawet chwile, w których zapominam, że jestem człowiekiem. To samo dzieje się, kiedy stoję za obiektywem. Zapominam, że istnieje

ROBERT MAPPLETHORPE



Jestem panem od opowiadań, powieści i felietonów w przeważającej mierze literackich; jeśli zdarza mi się jakiś „polityczny” tekst napisać, to jedynie wtedy, gdy w materii politycznej widzę jakiś szczególnie karykaturalny wymiar

JERZY PILCH

24 LIPCA

KOLEJNA – CORAZ MNIEJ RÓŻNIĄCA SIĘ OD poprzednich – wersja odzegnania się od polityki: nie przepadam za polityką, ale ci, co polityką gardzą, nie są moimi idolami. Jeśli z koniunktury tej wynika, że nie przepadam za samym sobą – proszę bardzo.

Nie znam się na polityce; wielce się z alfabetyzmem politycznym nie obnoszę, ale też żadne ambicje, by w tej dziedzinie uzupełnić choćby elementarne braki, mnie nie trawia; żadnych zgubnych marzeń o politycznej edukacji nie mam – piłka nożna i literatura starczą mi aż nadto; nie jestem panem od polityki, jestem panem od opowiadań, powieści i felietonów w przeważającej mierze literackich; jeśli zdarza mi się jakiś „polityczny” tekst napisać, to jedynie wtedy, gdy w materii politycznej widzę jakiś szczególnie karykaturalny wymiar.

Rozchwyłany przeto, wąpiący i w wiecznym kłopotcie – Bogu dziękuję, że choć to kłuczowe pasmo tożsamości udało mi się wypracować i zwłaszcza zachować. Wygląda, jakbym się zbyt mocno tłumaczył – w istocie wytyczam własne granice, przyszedł czas, że własnych granic trzeba pilnować, powtarzać je sobie, zaniedbane raz po raz wylatują z głowy. Poetyka zatem – nie polityka; estetyka – nie polityka; w najgorszym razie poetyka i estetyka polityki.

Prawdopodobnie liczba argumentów antypolitycznych jest niebotyczna, tysiące powodów przemawiają za olewaniem polityki – jeden z pierwszych jest taki, że wymaga ona oglądania telewizji. Czyli zło podwójne w zaraniu – telewizja ma tylko dwie dobre strony: prognozy pogody i transmisje piłkarskie; polityka – poza obniżaniem podatków, ale to bywa rzadko – nie ma praktycznie żadnych dobrych stron – wystarczająco, jak na początek, podwójna pustka. No ale polityki bez telewizji nie ma; nawet najwięksi jacyś polityczni eremici, polityczni erudyci, polityczni nobliści, zaszczyt w bibliotekach omszali historycy idei, zamknięci w politycznych wieżach z kości słoniowej wybitni teoretycy polityki (nie wspominając o nałogowych politycznych dyskutantach, monologistach czy innych namiętnych uczestnikach wszelkich debat) – nawet oni muszą przed telewizorami, i to nieraz z obu stron ekranu, siadać i siedzieć jak nie całymi dniami, to codziennie. Gazety też mu-

szą pilnie czytać – nie dobrego, ale co robić, takie wstydlive hobby, taka kłopotliwa pasja, taka robota – po kolana w mule.

25 LIPCA

ILOŚCI POLITYCZNYCH MIELIZN DORÓWNUJE JEDYNIĘ ILOŚĆ politycznych komunalów, co zresztą nie dziwota: język polityki ma małe zasoby – pewne frazy, jak przychodzi ich sezon, powtarzają się rozpaczliwie; eksplozywnie rosnąca frekwencja czyni z nich wszechobecne, migające trupim neonowym blaskiem, oślepiające, a nieraz nawet odbierające rozum frazesy. Co tam frazesy – zakłęcia! Prawdziwie obywatelniające i inne szkody czyniące zakłęcia.

„Inny język” jest obecnie taką szamańską kłutwą, taką frazą kluczem, frazą wytrychem, frazą otwierającą i frazą zamykającą.

Można takie rzeczy mówić, ale innym językiem. Powiedziałbym to samo, ale innym językiem. Potrzebny jest inny język. Jakby JP (zbieżność inicjałów nie tylko z Józefem Piłsudskim, Janem Pawłem czy Jerzym Putramentem – przypadkowa) mówił to, co mówi, ale innym językiem, byłby do przejęcia. Kandydat mówił zupełnie innym językiem. Kandydat przestał mówić innym językiem. O katastrofie trzeba mówić innym językiem. Kampania wyborcza operowała innym językiem. Pamiętajmy, że jesteśmy w sytuacji, która wymaga innego języka. Inny język jest prawdą czy iluzją? Obróńcy krzyża mówią innym językiem. Wewnątrz partii obowiązują inny język. Jaki? Inny! Inny! Inny!

Co to jest? Choroba nowa jakaś? Zaraza, na którą nie ma szczepionki? Gaworzenie bez umiaru? Podział na treść i formę wrócił? A może w parlamencie przez parlamentarzystów i w niektórych redakcjach przez niektórych redaktorów dopiero teraz został odkryty?

26 LIPCA

CO SPECJALNIE KOMICZNE, A TEŻ ZUPEŁNIE ZROZUMIAŁE: o innym języku specjalnie perorują, innego języka specjalnie się domagają, inny język specjalnie zaklinają ci, którzy innych języków nie tyle nawet nie znają, ile wręcz nie odróżniają. Idzie – ma się rozumieć – o języki wewnątrz polszczyzny; polszczyzna to nie jest jeden język, to jest języków mnóstwo – dla nich jeden, władają nim kiepsko, winni być oratorami, znawcami retoryki, szkoda gadać – nie odróżniają języka ironicznego

od potocznego, szyderczego od żartobliwego, nie słyszeli o języku streszczającym – tendencyjnie lub nie – czyjeś poglądy, nie znają języka przytoczeń i jego życzliwych lub wrogich odcieni, nie wiedzą, co riposta, co obrona; cudzysłów czy nawias to są dla nich znaki nieczytelne, nie słyszą tonacji ani wymownie położonego akcentu; jakiś język symboliczny, jakieś specjalne językowe figury, jakieś przydane językowi rekwizyty – to jest dla nich czarna magia. Każdą metaforę, każdą przenośnię, każdy skrót i każdy obraz wezmą dosłownie. Klepią wszystko, wszystko słyszą i wszystko czytają jeden do jednego, jednobarwnie i jednowymiarowo; ledwo pełnią ich język, ale do wzmożenia języka będą nawoływać niczym poligłoci polszczyzny, niczym jej władcy, niczym jej złotouści, a może nawet poetycy suwereni.

Przeczcucia jakieś mają? Skazani na dożywocie w jednowymiarowej – tak jednowymiarowej, że płaskiej jak mowa-trawa – kłacie za wolnością tęsknią? Instynkt samozachowawczy podpowiada, że prędzej czy później gazetowa breja gęby pozakleja? Wiadomy narząd skołceje? Z przedśmiertnego strachu o inny język się dopominają?

A skąd! Ten rzekomo inny język, którego im w cudzych ustach brakuje, to jest przecież ich trywialne narzecze! Do niego nawołują! Nielicznych, nieco tylko barwniejszych odstępów piętnują! Ci, co mówią innym niż oni językiem, na inny – czyli w istocie na ich codzienny i jedyny – język przejść winni!

Potrzeba innego języka! Jakiego? Naszego! Pięknego! Godnego! Dostojnego! Nie tylko demokracji niepsującego, ale ją wzbogacającego! Nie tylko parlamentaryzmu na łopatkach nierozkładającego, ale go wzmacniającego!

Wołanie o inny język jest wezwaniem do zrezygnowania z jakiegokolwiek językowej inności, jest apelem o trwanie w językowej sieczce, o wierne stanie po kolana, po pas i po szyję w językowym mule.

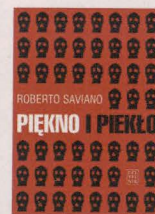
Można takie rzeczy mówić, ale innym językiem. Jakim? Naszym. Obowiązującym. Kto innego ergo nie naszego użyje, kto choć raz jakąś ironiczną, cudzysłowową, metaforyczną frazę się posłuży – temu takie zdanie do ryma na wieki się przycepi, temu na czole takie znamie – bez ironii, bez przenośni i – rzecz jasna – bez żadnego cudzysłowu – zostanie wypalone.

PRZEKROJ

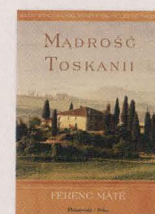
Konkurs Przekroju!

Kulturalne niespodzianki dla naszych Czytelników!

Wpadła Ci w oko dobra płyta, książka czy gra recenzowana w Przekroju? Jeśli jest poniżej, może być Twoja! Wystarczy wysłać odpowiedni SMS. Co tydzień nowe atrakcyjne nagrody!



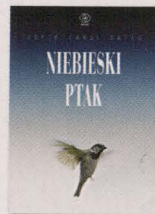
Roberto Saviano książka: „Piękno i piekło. Teksty z lat 2004-2009”; Czytelnik; 10 egz
PKR. 1



Ferenc Máté książka: „Mądrość Toskanii”; Prószyński Media; 10 egz
PKR. 2



Layori płyta: „Origin”; Magic Records; 10 egz
PKR. 3



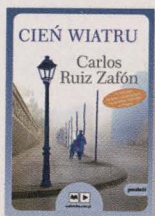
Joyce Carol Oates książka: „Niebieski ptak”; Dom Wydawniczy REBIS; 10 egz
PKR. 4



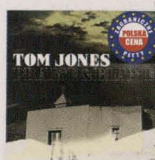
Herbie Hancock płyta: „The Imagine Project”; Sony Music Entertainment; 10 egz
PKR. 5



Gorillaz płyta: „Plastic Beach”; EMI Music; 10 egz
PKR. 6



Carlos Ruiz Zafón audiobook: „Cień wiatru”; Muza S.A.; 10 egz
PKR. 7



Tom Jones płyta: „Praise & Blame”; Universal Music Polska; 10 egz
PKR. 8



Toy Story 3 gra komputerowa CD Projekt; 5 egz
PKR. 9

Jak otrzymać nagrodę?

Wyslij SMS o treści: **PKR. X** pod numer 7243:

Gdzie: **PKR** – prefiks; **X** – kod nagrody np.: **PKR.1**
W odpowiedzi dostaniesz pytanie, na które należy odpowiedzieć

Koszt SMSa to 2,44 zł z VAT.

KRAKOWSKIE KAMIENCE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska

Zawsze do usług

www.mieszkaniowy.as